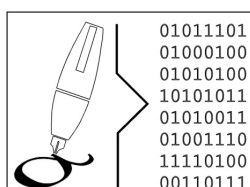


Piers Anthony

Pamięć absolutna



ROZDZIAŁ 1

Mars

Na ciemnoczerwonym niebie wisiały dwa księżycy — jeden był w pełni, drugi przybierał. Średnica pierwszego wydawała się cztery razy większa od średnicy drugiego. Żaden nie był idealnie okrągły. W rzeczywistości przypominały jaja albo ziemniaki.

Więszemu księżycowi nadano imię Phobosa, bóstwa uosabiającego ten rodzaj strachu, który opanowywał całe armie powodując ich klęskę. Mniejszy — Deimos, uosabiał trwogę.

Były to odpowiednie imiona dla dwóch towarzyszy starorzemiejskiego boga wojny i uprawy roli — Marsa.

Krajobraz planety był szkaradny. Aż po linię horyzontu, znajdującą się znacznie bliżej niż na Ziemi, widać było tylko formacje zwietrzałych głazów, sterczące złomy skalne i pył. Cały teren wyglądał tak, jakby przeszła tędy wojna, nigdzie też nie było śladów rolnictwa. Była to ziemia niczyja, w najprawdziwszym znaczeniu tego słowa.

Douglas Quaid stał na pobrużdżonej szerokiej równinie. Miał na sobie lekki skafander kosmiczny zaopatrzone w aparat tlenowy, gdyż ciśnienie tutaj wynosiło tylko jedną stopięćdziesiątą ciśnienia ziemskiego, a temperatura spadała poniżej stu stopni w skali Fahrenheita. Już dawno zalegałyby wokół arktyczny śnieg, gdyby w rozrzedzonej atmosferze były wystarczające zasoby pary wodnej. Jakikolwiek defekt skafandra, niewielkie obtarcie o krawędź którejś ze skał zabiłyby Quaida równie szybko jak głęboki Kosmos. Przewagę nad próżnią dawało Marsowi tylko jego przyciąganie odpowiadające mniej więcej jednej trzeciej przyciągania ziemskiego. Ale przynajmniej umożliwilo chodzenie i orientację.

Jednak Quaid nawet w tak nieznacznym przyciąganiu mocno stał na nogach. Był potężnym mężczyzną, tak znakomicie umięśnionym, że skafander kosmiczny nie mógł skryć jego sylwetki. Wydawał się emanować surową siłą. Ostre rysy twarzy, nieruchome wewnątrz hełmu, odzwierciedlały jego nieugiętą wolę. Jasne było, że przebywał tu nieprzypadkowo. Miał do spełnienia misję i nawet piekło, jakim była ta planeta, nie

powstrzymałoby go przed jej wykonaniem.

Przeszukał wzrokiem horyzont. Odwracając się ujrzał, że nierówny teren przechodzi w najbardziej niezwykłą górę w Układzie Słonecznym, wznoszącą się dziesięć mil ponad miejscem w którym stał. Miał przed sobą Olimp. Cała góra liczyła prawie piętnaście mil wysokości, a więc była trzy razy wyższa od najwyższego ziemskiego wulkanu Mauna Loa na Hawajach, którego większa część ukryta była pod powierzchnią Pacyfiku. Jak jej ziemski odpowiednik, marsjańska góra była wulkanem, lecz o niespotykanych na Ziemi rozmiarach. Podstawa jej stożka miała 350 mil średnicy. Wokół podstawy rozbiegały się promieniście języki zastygłej lawy. Potężna, wysoka na dwie mile skarpa otaczała podstawę góry znacząc w ten niezwykły, lecz wyraźny sposób jej granice.

Na widok tego cudu nawet taki człowiek, jakim był Quaid zamarł w zachwycie.

Za jego plecami rozległ się dźwięk, uchwytny bardziej jako wibracja w skale niż fala rozchodząca się w rzadkiej atmosferze.

Ktoś się zbliżał. Kobieta.

Quaid odwrócił się, tak jakby jej oczekiwał. Spojrzał na nią z podziwem.

Była tego warta. Była równie doskonale zbudowaną przedstawicielką swojej płci, jak on swojej. Mimo kosmicznego skafandra wyglądała niesamowicie zmysłowo. Pod hełmem połyskiwały kasztanowe włosy. Miała duże ciemne oczy.

Odwzajemniła mu spojrzenie, sugerując zainteresowanie, jeśli jeszcze nie była w nim zakochana, to z pewnością była tego bliska.

Ale ta planeta nie była odpowiednim miejscem na romans! Zresztą skafandry uniemożliwiałyby każdy intymny kontakt, nawet gdyby o nim pomyśleli. A poza tym, pierwszeństwo miała misja.

Kobieta odwróciła się i podążyła w kierunku góry przypominającej piramidę, na którą Quaid nie zwrócił wcześniej uwagi. O wiele niższa niż Olimp była jednak wystarczająco wielka, by zrobić odpowiednie wrażenie. Była tak symetryczna, że wydawała się sztucznym tworem.

Skąd taki dziwny obiekt znalazł się na Marsie?

No cóż, było to taką samą tajemnicą jak na przykład ludzkie wizerunki wyrzeźbione w skałach, lub mnóstwo drobnych śladów obcych cywilizacji, rozrzuconych wokół, dowodów, że człowiek nie był tu pierwszy.

Quaid poszedł za kobietą żałując, że tylko jej hełm był przezroczysty. Ale i tak przyjemnie było patrzeć na jej chód. Poprowadziła go ku poszarpanemu otworowi w boku góry, który najwyraźniej powstał wskutek jakiegoś wybuchu. Weszli do jaskini o stromych ścianach. Szczeliny wpuszczały akurat tyle światła, że mogli znaleźć bezpieczne oparcie dla stóp w wijącym się korytarzu prowadzącym w głąb góry. Znaleźli się w ogromnej, prawie okrągłej grocie. Nie, to było zagłębienie, dziura, w górze lśniło marsjańskie niebo, w dole znajdował się szyb tak głęboki, iż wydawał się nie mieć dna.

Oczy Quaida przyzwyczajające się do głębokiego cienia, jaki tu zalegał, dostrzegły tylko kolistą krawędź i skalny komin biegnący ku górze, zakończony otworem, przez który przeświecało marsjańskie niebo. Czy był to twór natury, czy komora wydrążona ręką człowieka? Odpowiedź byłaby trudna.

Quaid czuł lęk, częściowo tylko wywołany przez rozmiary i tajemniczą atmosferę panującą w grocie. Odczuwał niezwykłość tego miejsca. Przewyższała ona wszystko, co mógł zrozumieć. Wiedział też, że to, co robiła tutaj ich dwójka było ważniejsze niż ktokolwiek na Ziemi mógł przypuszczać.

Kobieta sięgnęła pod nogi. Wyciągnęła cienką linę przymocowaną do występu skalnego. Odwróciła się i Quaid zobaczył, że jej drugi koniec połączony z aparatem przypominającym kołowrotek wędkarski, jest zaczepiony na mocnym pasie.

Kobieta podeszła do Quaida. Oplotła go pasem. Teraz lina wybiegająca z kołowrotka łączyła Quaida ze skałą.

Quaid sprawdził linę. Rozwinął ją nieco. Była dość długa, lecz ważyła tylko kilka funtów.

Quaid szarpnął, linatrzymała. Zwiększył nacisk napinając muskuły. Lina nadaltrzymała. Gestem dał znak kobiecie, aby podeszła. Zrobił z liny pętlę i zasygnalizował, żeby w nią weszła. Zrobiła to niezgrabnie przytrzymując się ramienia Quaida, by nie stracić równowagi.

Quaid podniósł ramię podrzucając kobietę z łatwością w górę. Na Marsie ważyła tylko czterdzieści pięć funtów, ale równie łatwo podniósłby ją na Ziemi. Uśmiechnęła się.

Opuścił ją zadowolony. Lina wytrzyma.

Uścisnęli sobie ręce w geście pożegnania. Objęli się, ich hełmy zetknęły się w kosmicznym pocałunku.

Quaid odczekał, aż kobieta się cofnie, po czym podszedł do krawędzi. Oparł się na rękach, zamachał nogami, wykonując manewr, który trudno byłoby powtórzyć na Ziemi, i znalazł się po drugiej stronie krawędzi. Złapał linę ustawiając się twarzą do ściany i zaczął zjeżdżać w ciemną otchłań.

Lżejszy mężczyzna osuwałby się wolno przepuszczając linę pod lewym udem i nad prawym ramieniem. Quaid nie zawracał sobie tym głowy, po prostu zwisał na rękach jakby schodził po drabinie. Za każdym razem jego stopy wykonywały jardowy skok, utrzymując go z dala od skalnej ściany. Dziecinada!

Po kilku jardach zatrzymał się i spojrzał w górę. Kobieta pochyliła się nad krawędzią. Widział zarys jej sylwetki. Wydawało się, że jej przejrzysty hełm świeci. Wyglądała jak anioł. Okrągły Phobos płynął w górze tworząc aureolę wokół jej głowy.

Przyłożyła rękę do hełmu i przesłała pocałunek.

Quaida zalała fala uczucia. Boże, ależ ona była piękna!

Musiał jednak wracać do swoich zajęć. Pomachał jej, potem ustawił kołowrotek tak, żeby rozwijał linę ze stałą prędkością i pojechał w dół. Ufając zabezpieczeniu zjeżdżał z tą samą prędkością, co wcześniej. Ręce miał teraz wolne, gdyby ich do czegoś potrzebował.

Odprężył się i rozejrzył wokół. Światło księżyca iluminowało szyb ukazując szczegóły, których Quaid nie mógł dostrzec z góry. Tuziny gigantycznych pionowych rur wyrastały z głębin, przypominając potężne organy. Quaid był jednak pewny, że nie służyły do gry! Lecz co one tu robiły?

W okolicy talii poczuł gwałtowną wibrację. Coś działo się z kołowrotkiem! Sięgnął do niego, lecz w niewygodnych rękawicach nie mógł nic zrobić i tylko pogorszył sprawę. Lina zaczęła rozwijać się z przerażającą szybkością.

Quaid poleciał w bezdenną przepaść, wściekle młóćąc rękoma. Stopy utraciły oparcie. Skalna ściana, rury i otchłań zawirowały dziko wokół niego.

— Doug! — krzyknęła przerażona kobieta. Próbował jej odpowiedzieć, lecz był zbyt zszokowany. Spadał niczego już nie kontrolując.

— Doug! — jej zrozpaczony głos nikł w dali.

Głębia wypełniła się nagle jasnym białym światłem. Quaid wiedział, że nadchodzi koniec. Lecz nie odczuwał strachu, mógł jedynie wyjść naprzeciw przeznaczeniu.

ROZDZIAŁ 2

Lori

Quaid obudził się przerażony. Był w łóżku, na Ziemi, zupełnie bezpieczny. Sypialnia była skąpana w świetle poranka. Gdy zorientował się gdzie jest, a jego serce znów zaczęło bić normalnie, zrozumiał, że niesamowite przeżycia to tylko sen. Nigdy w życiu nie był na Marsie, więc jak się tam znalazł? Pojawił się na jałowej planecie, spotkał jakąś dziewczynę, z którą poszedł do jaskini, czy szczeliny znajdującej się w boku góry ukształtowanej jak piramida, a potem samotnie zjechał w ogromną dziurę. Jak to wytłumaczyć? We śnie zaakceptował wszystko, lecz był to tylko sen, aż nazbyt realny.

Odtworzył w pamięci wszystkie sceny aż do momentu upadku. Czy to świecił księżyc? Może. Skąd miał wiedzieć skoro tam nie był? A lina — dlaczego po prostu jej nie złapał i nie zapobiegł upadkowi? Przecież mógł to zrobić. Powinien dłonią w rękawicy chwycić linę przy kołowrotku, zamocować i zatrzymać się. Nie byłoby to specjalnie trudne zadanie, zwłaszcza że ważył zaledwie ułamek tego, co na Ziemi, a nadal miał tyle samo sił w ramionach. To atmosfera snu sprawiła, że upadek wydawał się nieuchronny.

Jeszcze jeden drobny szczegół zaprzętał jego uwagę. Skąd ta kobieta znała jego imię, skoro on nie mógł wygrzebać z pamięci jej imienia. Nie krzyczała panie Quaid, czy Douglas, lecz Doug, a w jej głosie brzmiało uczucie, które wzruszyło go nawet teraz, gdy już nie śnił. Była dla niego ważna, bardziej niż ważna, ona...

W tym momencie pojawił się następny element łąmigłówki. Jak mógł słyszeć jej głos na prawie pozbawionym atmosfery Marsie? Przez cały czas nie zamienili ze sobą słowa. Pod koniec snu zatarły się pozory rzeczywistości.

Jasne, silne światło jakie ujrzał spadając było światłem ziemskiego dnia, a nie marsjańskiego. W chwili śmierci nie zobaczył nieba czy piekła, lecz blask zwykłego dnia, jak zawsze, gdy pospał sobie dłużej. Odetchnął z ulgą.

Niepokoił go tylko jeszcze ten głos. Ta kobieta...

Niespodziewanie pochyliła się nad nim wspaniała istota. Miała na sobie cienką koszulę nocną, rozchylającą się z taką łatwością, że chyba celowo odsłaniała fragmenty

cudownego ciała. Nie była to dziewczyna ze snu, miał przed sobą oszałamiającą blond Amazonkę, swoją żonę, Lori. Jak mógł o niej zapomnieć!

— Miałeś zły sen — powiedziała ze współczuciem, wyciągając rękę, żeby obetrzeć mu pot z czoła.

Nie odpowiadał zaprzątnięty widokiem jej pełnych piersi pod luźną koszulą nocną. Oczywiście widywał je wiele razy przedtem, lecz ciągle sycił się nimi. Były imponujące...

— Znowu Mars? — spytała zaniepokojona. Jej piersi podążyły za opuszczanym ramieniem, gdy skończyła wycierać mu twarz.

Skinął głową, ciągle zdenerwowany snem. Powoli zaczynał odzyskiwać kontrolę nad sytuacją. Co posiadała kobieta ze snu, czego brakowało Lori? Może kasztanowe włosy, nic więcej. Poza tym Lori nie nosiła akurat kosmicznego skafandra.

Nagle zrozumiał, że głos kobiety z Marsa nie był wcale sennym majakiem. Byli ubrani w kosmiczne skafandry, które mają interkomy, czy jak to się nazywa. Słyszeli się dzięki systemowi łączności zamontowanemu w hełmach! Po zestawieniu tych faktów, okazało się, że jego sen nie był całkowitą fantazją, jak wcześniej myślał.

Lori błędnie oceniając jego oszołomienie, stała się jeszcze milsza. Zjechała ręką po jego karku i ścisnęła umięśnione ramiona. Lubiła jego mięśnie i lubiła ich dotykać, podniecała się, a on nie miał nic przeciwko temu.

— Mój biedaku, dręczą cię koszmary — wymruczała, głaszcząc go po klatce piersiowej.

Pochyliła głowę i pocałowała zgięcie między szyją a ramieniem w sposób, który miał go odprężyć, a który coraz bardziej go podniecał.

— Lepiej teraz?

Ustami przejechała przez jego pierś zatrzymując się w pobliżu brodawek. Oczami łowiła wyraz jego twarzy. Nie chciał, żeby przestała.

— Mmhm — wymruczał.

Lori całowała go nadal posuwając się w kierunku brzucha. Wiedział, że próbowała zainteresować go sobą, oderwać od sennych koszmarów

Robiła to całkiem zręcznie. Był zadowolony, że jej nie przerwał. Ach, gdyby tylko kobieta z Marsa nie nosiła kosmicznego skafandra! Wyobraził sobie, że to ona...

— Czy ona tam była? — spytała niedbale Lori. Oho, czyżby czytała w jego myślach? Poczul się winny, że myślał o innej kobiecie, gdy jasne było, że Lori była wszystkim, czego mógł pożądać mężczyzna. Lecz zainteresowanie Lori tą drugą kobietą było na swój sposób zabawne.

Udał głupiego.

— Kto?

— Wiesz — Lori podniosła głowę, robiąc zamyśloną minę.

Też grała, udając, że nie pamięta, czy też nie potrafi opisać tamtej kobiety.

— No, ta dziewczyna z... — zgięła ręce w uniwersalnym geście oznaczającym duży biust.

Uśmiechnął się.

— Ach ona.

Jak gdyby Lori nie wyglądała tak samo.

Lori nie ustępowała.

— No więc, czy to była ona?

Zaśmiał się.

— Zabawne! Jesteś zazdrosna o sen!

Własne słowa zaintrygowały Quaida, być może dlatego, że dzięki nim fantastyczna postać stawała się bardziej realna.

Lori uderzyła go w brzuch i odwróciła się. Próbował ją schwycić, ale szarpnęła się usiłując wyjść z łóżka. Zawsze grali brutalnie, ale nigdy za ostro, nigdy też jej nie uderzył.

— To wcale nie jest zabawne, Doug — powiedziała, stojąc jedną nogą poza łóżkiem.

— Puść mnie, w tej chwili!

Teraz w sukurs przyszło ciążenie, gdyby ją puścił, upadłaby na podłogę.

— Co noc przebywasz na Marsie! Była to prawda!

— Ale zawsze rano wracam — zaprotestował słabo. Uświadomił sobie, że jeszcze sekunda, a sprawa stanie się nieprzyjemna, gdyż naprawdę pożądał tej nieistniejącej kobiety, a Lori zaczynała to wyczuwać.

Udało mu się przewrócić Lori na łóżko. Pochłonęła teraz całą jego uwagę, do czego z pewnością zmierzała. Mocowali się, oplotła go nogami, ściskając niewinnym, lecz na pewno bardzo interesującym chwytem. Przyszpilił jej ręce do boków i próbował pocałować w usta. Rzuciła głową na boki. To już przestało być zabawne.

— No, Lori, nie bądź taka! — zaprotestował mocując się z jej chwytem. — Ty jesteś dziewczyną z moich snów!

Lori od razu przestała się szarpać. Spojrzała zachwycona.

— Mówisz poważnie? — jej chwyt zelżał.

— Oczywiście

I teraz była to prawda. Zapasy dopełniły to, co zaczęło się od jej rozkosznych pocałunków i w tej chwili pragnął jej ze wszystkich sił.

Doskonale o tym wiedziała. Przecież czuła to dotykiem. Oplotła mu biodra swoimi długimi, mocnymi nogami, tym razem nie ściskała, lecz obejmowała, i wsunęła go w siebie. Pocałowali się.

— Jesteś głupi jak byk — westchnęła. Zaśmiał się. — Wiesz, co byk robi z krową?

— Krową! — krzyknęła z udanym oburzeniem. — Czy widziałeś kiedyś, żeby krowa

robiła coś takiego? — dosiadła go i zrzuciwszy nocną koszulę rozpoczęła jazdę. Miała najwspanialsze ciało na świecie i on o tym wiedział.

— Albo to? — zeskoczyła i piersiami pieściła jego członka.

— Albo to? — gwałtownie rzuciła się na Quaida i pocałowała go dziko.

Jej delikatne jak jedwab włosy ześlizgnęły się po jej twarzy i szyi, łaskocząc rozkosznie.

— Nie — musiał przyznać. — Krowy, które znam tylko stoją i czekają.

Podniosła głowę, w oczach błyszczały iskierki.

— A ile to krów znasz?

— Tylko jedną — poczuł, jak jej ciało napina się ostrzegawczo. — I to we śnie.

Lori odprężyła się. Podobało się jej to porównanie. Nazwał krową dziewczynę ze snu, a nie dziewczynę prawdziwą. Stała się znów miła. Z pewnością, Lori nie była bierna, zadała sobie sporo trudu, żeby otrzymać to, czego chciała. Bardzo lubiła tę pozycję. Położył ręce na jej pośladkach i poczuł jak się na przemian napinają, drażniąc go, ośmielając do akcji, w której potrzebne są nie tylko ręce.

Przytulił ją. Krzyknęła jakby ją gwałcono, przerwała tylko na chwilę, żeby go pocałować, gdy dochodził do kulminacji. Tańczyła biodrami, lecz nie poruszając przy tym brzuchem, wszystko rozegrało się w środku. Jej język uderzał go w usta w rytm tego dziwnego tańca.

O tak, nie była krową — lecz Quaid czuł się jak byk, przynajmniej w tym momencie. Ale nawet teraz, kobieta ze snu tkwiła w jego myślach i pragnął, by z nim tu była. Zamknął oczy i spróbował wyobrazić sobie, że obejmuje kobietę z Marsa.

Co się, u diabła, z nim działo?

ROZDZIAŁ 3

Sen

Skończyli, jak zawsze, w odpowiednim czasie. Lori wstała i poszła wziąć prysznic, zawsze dbała o siebie, a on czochrał jej włosy, rozmazywał usta i robił kilka innych rzeczy, gdy się kochali.

Lori była Kobietą — Plus!

Jak takiemu zwykłemu prostakowi, jak on, udało się zdobyć taką istotę? Pytanie pojawiło się nie po raz pierwszy. Pochodzili z dwóch różnych światów. On był robotnikiem budowlanym, specjalistą od przygotowywania terenu. Właściwie to obsługiwał tylko młot pneumatyczny. Nigdy nie marzył o większej karierze i był dumny, że poszedł w ślady ojca. Był dobry, istny artysta złączony ze swoją maszyną, pracował dwa razy szybciej niż inni, lecz to niespecjalnie podnosiło jego wartość w oczach kogoś takiego jak Lori. Och, miał doskonale rozwinięte mięśnie i ona je lubiła, ale nie był wybitnym profesorem ani ważnym urzędnikiem.

A Lori? Lori była rozpieszczoną córeczką grubej ryby pracującej w reklamie. Przywołał w myślach dzień ich pierwszego spotkania, osiem lat temu. Pograżony był w ciężkiej pracy na terenie starego, zbudowanego ze szkła i stali wieżowca, rozbieranego, by zrobić miejsce dla nowego centrum biznesu z plasplexu. Budynek stał w dzielnicy banków, w której Quaid nie bywał zbyt często. Z przyjemnością spoglądał na elegancko ubranych ludzi, najnowsze modele pojazdów powietrznych, automaty sprzątające, dzięki którym można było „jeść z ulicy”. Okolica przyjemnie różniła się od jego własnej obskurnej dzielnicy, w której mieszkały niedobitki proletariatu.

A potem zobaczył Lori. Stała po drugiej stronie ulicy i patrzyła na niego. Nawet z tej odległości dojrzał błysk aprobaty w jej oczach, które nie mogły oderwać się od jego spoconego torsu. Przyzwyczyił się już do spojrzeń rzucanych mu przez piękne damy w drogich sukniach, jednak w spojrzeniu Lori było więcej zuchwałości. Przeszła przez ulicę i przywitała się z nim. Trzy miesiące później pobrali się ku jego nieskończonemu zdumieniu.

Nalegał, żeby przez kilka pierwszych lat żyli z jego zarobków, ale Lori stopniowo przekonała go, że wspólnie powinni korzystać z jej pieniędzy i wreszcie wyprowadzili się ze skromnego mieszkania do przestronnego apartamentu w jednym z luksusowych wysokościowców. Lori czuła się w nim świetnie, lecz Quaid aklimatyzował się z trudnością. W pracy musiał przełknąć wiele głupich uwag. Ciągłe czuł się źle, jak robot ciemnego wśród ludzi z towarzystwa.

Właściwie nie powinien się skarżyć. Apartament był bajeczny. Leżąc w łóżku gapił się na holograficzny ekran na suficie, wspominając erotyczne hologramy, które zarejestrowali z Lori. Dodawały nieco perwersji prawdziwym scenom miłosnym. Lubił wylegiwać się w ogromnej wannie pod koniec dnia. Kąpiel stała się czystą, zmysłową przyjemnością. Obracał się w wirówkach i pod biczami, czując jak ustępuje zmęczenie mięśni. Wszędzie było pełno pary. Odprężony suszył ciało w strumieniach powietrza. Towarzyska strona nowego życia mogła stwarzać mu trudności, lecz gotów był korzystać z luksusów, jakie się z nim wiązały. A nade wszystko miał Lori, jej uczucie nie osłabło przez lata, które spędzili ze sobą.

Cofnął się myślami do porannych pieszczot. Niespodziewanie powróciło wspomnienie snu, psując mu humor. Zaniepokojony pokręcił głową. Ten sen był zbyt realny! Był nieskończenie głupi, ale nie potrafił się go pozbyć. Dlaczego on, najszcześniejszy z mężczyzn śnił o nieistniejącej kobiecie? W najlepszym przypadku wydawało się to perwersją, w najgorszym — szaleństwem.

Lori wyszła z łazienki. Jej ciało lśniło. Quaid ponownie spytał się w duchu, co ta lśniąca, elegancka i bogata dziewczyna w nim widzi? Wzruszywszy ramionami wyskoczył z łóżka i pobiegł wziąć natrysk. Nie miał teraz czasu na wylegiwanie się w wannie. Szybki prysznic wystarczy. Zakręcił kran, wysuszył się i założył strój roboczy.

Wszedł do kuchni. Światła już płonęły, zaprogramowane zgodnie z tygodniowym rozkładem jego zajęć. Wrzucił owoce do sokowirówki. Kielich miksera napełnił orzechami, kielkami pszenicy, dawką protein, kawałeczkami jarzyn i pół tuzinem surowych jajek. Dodał sok i włączył mikser obserwując jak zamienia masę produktów w papkę.

Uśmiechnął się z przymusem.

Jeśli Lori kocha mnie dla mojego ciała, pomyślał, zrobię co będę mógł, żeby utrzymać się w formie. Obiecał sobie również, że zrobi wszystko, aby pozbyć się skutków tego cholernego snu.

Lori wzięła prysznic przed nim, lecz dłużej się ubierała. Quaid założył spodnie, które nosił wczoraj, świeżą koszulę i buty. Ubiór Lori mógł wyglądać skromnie, lecz zawsze był dziełem sztuki, które wymagało czasu na właściwe wymodelowanie. Bardziej niż mąż zwracała uwagę na wygląd. Samo czesanie zabierało jej więcej czasu niż jemu wszystkie przygotowania.

Po drugiej stronie pokoju leciały wiadomości, lecz Quaid nie zwracał na nie uwagi. Spojrzeniem błędził za oknem po unoszących się w powietrzu pojazdach, estakadach i tych wszystkich, energicznych ludziach spieszących do pracy. Za chwilę będzie wśród nich. Jak co dzień.

Jego życie byłoby bardzo nudne, gdyby nie żył dla Lori — szczerze mówiąc i tak było wystarczająco nudne. Wiedział, że jest umiejętnym zerem, wiodącym lepsze życie niż zasługiwał, a do tego niezbyt za nie wdzięcznym. Spiker prowadzący wiadomości paplał jak najęty.

— *Przechodzimy do wiadomości z frontu. Satelity Bloku Północnego spopieliły stocznię w Bombaju, powodując pożar, który rozprzestrzenił się na miasto. Liczba ofiar wśród ludności cywilnej przekroczyła prawdopodobnie dziesięć tysięcy. Przewodniczący odparł atak wykorzystując broń kosmiczną, jedyny skuteczny środek przeciw liczbowej przewadze Bloku Południowego.*

Przerwał, żeby widzowie mogli obejrzyć wynik rzezi.

W wiadomościach telewizyjnych z prawdziwym upodobaniem nadawali takie „obrazki”. Quaid nie trudził się oglądaniem. Wyobraził sobie, że ludzie za oknem są częścią tej koszarnej sceny, zagazowani i umierający, walczą, by się podnieść i podążyć do pracy, lecz padają i tamują estakady. Pojazdy powietrzne wymykają się spod kontroli, gdy gaz dosięga kierowców i rozbijają się w płomieniach na niższych poziomach. Nie, nie w płomieniach, współczesne pojazdy powietrzne różniły się od pojazdów naziemnych wbudowanym systemem zabezpieczeń, który zapobiegał eksplozji. W każdym razie, mogły zamienić się w kupę złomu.

Odczuwał dziwne zadowolenie, wyobrażając sobie, że miasto przeistacza się w pole walki.

— *Astronomowie twierdzą, że nie są w stanie wytłumaczyć powstania sześciu gwiazd „nowych”* — kontynuował spiker z pobłażliwym uśmiechem. Każdy przecież wiedział, jakimi dziwakami są naukowcy!

— *Wydaje się, że te gwiazdy nie pasują do naukowych teorii. Niektóre gwiazdy stają się „nowymi”, niektóre „supernowymi”, zaś mechanizm powodujący tę przemianę jest w gruncie rzeczy nieznany. Bardziej szczegółowe analizy w ostatnich latach ujawniły, że tych sześć „nowych” nie powinno było w ogóle się pojawić, przynajmniej zdaniem astronomów...*

Znów się uśmiechnął.

Za każdym razem, gdy fakty nie pasowały do teorii, wymyślali po prostu nową teorię. W końcu stworzyliby odpowiednią dla swoich potrzeb. A przecież gwiazdy nie stawały się „nowymi” bez powodu.

— *Ubiegłej nocy zanotowano nasilenie aktów przemocy na Marsie, gdzie...*

Quaid ożywiony odwrócił się w stronę wideo.

Był to wieloekranowy telewizor, najlepszy na jaki było ich stać, to znaczy kolorowy,

ale nie trójwymiarowy. Zajmował całą ścianę, dzięki czemu mieszkanie wydawało się jeszcze większe. Ekran podzielony był na wiele segmentów wyświetlających jednocześnie różne teksty i programy, prognozę pogody, informacje giełdowe, obraz sprzed drzwi wejściowych i z korytarza, program dziecięcy, stały kącik sexy dla sprośnych staruchów, biuletyn sklepowy oglądany przez zapracowane gospodynie domowe i stare filmy.

Quaid bez trudu zignorował pozostałe programy, już w dzieciństwie wyrobił sobie odruch, który umożliwiał swobodne pomijanie dziewięciu dziesiątych wszystkich wydarzeń i informacji. Każdy z programów można było tak powiększyć, by wypełnił cały ekran lub dowolną jego część, ale zwykle nie warto było się tym trudzić, gdyż ludzkie oko i mózg były najlepszymi selektorami. Poza tym, niekiedy poszczególni członkowie rodziny chcieli oglądać różne programy, a ten telewizor pozwalał na to bez niepotrzebnych kłótni.

Przekaz wydarzeń w Kopalniach Marsjańskich wypełnił centralną część ekranu. Reporter prowadził narrację z miniekraniku.

— ... eksplozja zerwała kopułę nad Kopalnią Piramidy, co wstrzymało wydobycie turbinytu, będącego głównym surowcem w programie zbrojeniowym Bloku Północnego, niezbędnym do wytworzenia strumienia cząstek.

Kamery pokazywały brutalne zachowanie żołnierzy wobec górników. Dawało się zauważyć, że władze wojskowe wręcz chciały, aby ktoś im się przeciwstawił.

Quaid poczuł, że jego palce zaciskają się kurczowo, jakby naciskały spust karabinu. Było to dziwne, bo nie pamiętał kiedy po raz ostatni, jeśli w ogóle, używał broni palnej.

— Odpowiedzialność za wybuch wziął na siebie Front Wyzwolenia Marsa — kontynuował reporter — i zażądał całkowitej niezawisłości planety od, tu cytuję, „tyranii Północy”. Front utrzymuje, że jest gotów do dalszych ataków...

Nagle na głównym ekranie rozbłysnął program o środowisku naturalnym. Przekazywano właśnie transmisję z dziewiczego lasu, który wypełnił wszystkie ekrany wielokanałowego telewizora. Obraz był piękny, ale Quaid nie to chciał w tym momencie oglądać.

— Nic dziwnego, że masz koszmary, skoro ciągle oglądasz wiadomości — powiedziała Lori podchodząc z trzymanym w dłoni „pilotem”. Ubrana była w szykowny kombinezon codzienny, gotowa do wyjścia po zakupy.

Quaid usiadł przy stole, Lori posmarowała sobie kromkę chleba.

— Wiesz, Lori, — powiedział Quaid. — Zróbmy to naprawdę.

— Jeszcze raz? Myślałam, że po „porannym wysiłku” będziesz zmęczony przynajmniej przez pół godziny.

— Nie o to chodzi — burknął z niecierpliwością.

Zrozumiała, że mówi serio.

— Co mamy zrobić?
— Przeprowadźmy się na Marsa — powiedział, bojąc się jej wybuchu.
Lori wzięła głęboki wdech, wypuściła powietrze.
— Doug, proszę cię, nie psuj nam wspaniałego poranka.
— Po prostu o tym pomyśl — powiedział. Gdyby tylko mógł ją przekonać...
— Ile razy mamy to przerabiać? — teraz ona była zniecierpliwiona. — Nie chcę spędzić życia na Marsie. Jest suchy, wstrętny i nudny.

Na ekranie jeleń pił wodę ze strumyka.

— Właśnie podwoili premię dla nowych kolonistów — powiedział Quaid.

— No jasne! Przecież inaczej żaden idiota nawet nie zbliżyłby się do Marsa!

Rewolucja może wybuchnąć w każdej minucie! — Lori bezmyślnie dłużyła w śniadaniu, całkowicie straciwszy apetyt. Była naprawdę zdenerwowana. Quaid również. Chciałby, żeby rozważyła jego sen, zamiast go lekceważyć. Była niezrównana w łóżku, ale w tej sprawie będzie musiał obejść się bez niej. Opanował gniew, podniósł „pilota”, którego Lori położyła na stole i przełączył ponownie na wiadomości.

Miał szczęście, nadal przekazywano informacje z Marsa.

— *Jedna kopalnia została już zamknięta* — mówił spiker. — *Administrator Marsa, Vi los Coahaagen stwierdził, że jeśli będzie konieczne to użyje wojska, aby utrzymać produkcję na pełnych obrotach.*

Na ekranie pojawiła się konferencja prasowa.

Quaid rozpoznał sylwetkę Administratora Kolonii Marsjańskiej. Coahaagen był niemal tak potężnym mężczyzną jak Quaid. W tej robocie trzeba tak wyglądać, pomyślał Quaid.

Wyznaczony przez Blok Północny do nadzorowania pracy marsjańskich kopalń, Administrator Kolonii przypominał wojskowego gubernatora z czasów imperializmu. Skupiał w ręku prawie absolutną władzę. Z miną pewnego siebie dowódcy parował pytania reporterów.

— *Panie Coahaagen!* — zawołał jeden z nich. — *Czy będzie pan negocjował z ich liderem, Kuato? Wydaje się, że zbiera on wokół siebie całkiem...*

— *Nonsens!* — przerwał mu ostro Coahaagen. — *Czy ktoś kiedyś widział tego Kuato? Czy ktoś może mi pokazać jego zdjęcie? No?* — czekał, lecz teraz reporterzy siedzieli cicho.

— *Nie wierzę w żadnego Kuato!* — rysy jego twarzy stwardniały. — *Pozwólcie, że coś wyjaśnię, panowie. Mars został skolonizowany przez Blok Północny nakładem ogromnych kosztów. Wynik wojny totalnej zależy od naszych kopalń. Nie zamierzamy ich oddać tylko dlatego, że garstka szalonych lunatyków myśli, iż jest właścicielem całej planety!*

Na ekrany powrócił program o środowisku naturalnym. Lori znów przełączyła telewizor.

— Ma rację — powiedziała. — Z wyjątkiem tego, że lunatycy wariują pod wpływem Księżyca, a nie Marsa. Na Marsie i tak wszystko jest szalone! Podenerwowany Quaid próbował odebrać jej pilota, lecz Lori śmiejąc się uciekła za stół.

— Lori, daj spokój — warknął. — To ważne.

Zatrzymała się i wyduła usta. — Pocałuj!

Zazwyczaj lubił tą grę, która pozwalała na bliski kontakt z jej jędrnym ciałem, a teraz nie chciał sprawić żonie przykrości. Przyjął więc jej warunki, wstał i objął ją ramionami.

Przytuliła się zadowolona.

— Kochanie... — przerwała, by mógł ją pocałować. — Wiem, że trudno się żyje w nowym miejscu, ale przynajmniej spróbujmy.

Znowu przerwa.

— O'kay?

Quaid zmusił się do uśmiechu. Ostatnia podwyżka umożliwiła im przeprowadzkę o dwadzieścia pięter do góry, co łączyło się z awansem w skali społecznej. Lori się to podobało, lecz Quaid musiał przyznać, że z powodu proletariackiego pochodzenia, miał nieco kłopotu z przystosowaniem się do „nowego miasta”. Ale w tej chwili był zły na Lori, że mu przeszkadza. Był naprawdę zainteresowany wiadomościami z Marsa.

Oddała mu w końcu pocałunek. Stała tyłem do ściany wideo. Odnalazł jej dłonie trzymające „pilota”. Całując ją przełączył po raz kolejny na wiadomości i oglądał je, patrząc ponad ramieniem żony.

Cohaagen ciągle mówił.

— Jak może zauważyliście, atmosfera na Marsie nas nie rozpieszcza. Nie jest nic warta. Musimy stworzyć nasze powietrze, i ktoś za to musi zapłacić.

Lori uwolniła się wreszcie od pocałunku, który trwał dłużej niż chciała.

— Spóźnisz się.

Może obawiała się, że Quaid będzie miał ochotę na dalszy ciąg, po tym jak pieczołowicie przygotowała się do wyjścia. Nie było to takie nieprawdopodobne.

Quaid puścił ją powoli, jakby niechętnie rezygnował z myśli o dalszym kontakcie.

Ale chciał tylko wysłuchać wiadomości do końca.

— Słusznie — mówił reporter. — Lecz wasze ceny są wygórowane. Gdy górnik odejmie cenę powietrza od swoich zarobków, nic nie będzie...

— To wolna planeta — przerwał stanowczo Cohaagen. — Jeśli nie chcecie mojego powietrza, to nim nie oddychajcie!

— Panie Cohaagen! — zawołał kolejny reporter. — Proszę skomentować plotki mówiące, że zamknął pan Kopalnię Piramidy, gdyż znaleziono w niej przedmioty pozostawione przez Obcych? — Rozdrażniony Cohaagen potoczył wzrokiem po sali.

— Bob — powiedział. — Chciałbym, żebyśmy znaleźli jakieś miłe przedmioty

należące do Obcych. Nasz przemysł turystyczny mógłby to rozreklamować.

Reporterzy zaśmieli się w odpowiedzi.

— Lecz faktem jest, że to kolejny numer propagandowy terrorystów zmierzający do podkopania ufności w legalnie mianowany rząd na Marsie.

Transmisja powróciła na Ziemię.

Lori pchała męża stanowczo choć łagodnie, w kierunku drzwi. Ustąpił i pozwolił prowadzić się niczym statek holownikowi. Wypchnęła go za drzwi.

— Miłego dnia — powiedziała z czarującym uśmiechem.

Quaid odwzajemnił uśmiech, pocałował ją raz jeszcze i wyszedł. Słyszał, jak wieloczęściowe ekrany podają jednocześnie prognozę pogody, wykres sytuacji finansowej i informacje o stanie bezpieczeństwa lokalnego.

Po jego wyjściu Lori nie przełączyła na program o środowisku naturalnym.

W tym momencie zobaczył niebo wybuchające intensywną czerwienią i rozlatujące się budynki. Cała Ziemia była niszczona przez „nową”! Słońce eksplodowało, spalając strumieniem ognia wszystko wokół. Umierał przerażony — razem z całą ludzkością.

Quaid mrugnął oczami. Świat znów był normalny. To tylko wyobraźnia zaatakowała go prawdopodobnie pod wpływem wiadomości o tajemniczych „nowych”. Oczywiście, taka katastrofa nie mogła się tu wydarzyć. Słońce nie należało do gwiazd tego typu.

A może jednak? Astronomowie przyznali, że „nowymi” stały się gwiazdy, które nie powinny były przejść takiej przemiany. Wyraźnie nie znali się tak dobrze na gwiazdach, jak myśleli. Co więc wiedzieli o Słońcu? Nie, to były szalone myśli.

Odrzucił je od siebie i podążył do windy.

ROZDZIAŁ 4

Praca

Quaid znalazł się w strumieniu pasażerów, których widział przez okno mieszkania.

Nienawidził ich, nie wiedząc właściwie dlaczego, nie było przecież nic złego w nabitych ludźmi estakadach. Może to sen o Marsie obudził w nim zachwyty dla pustynnej, otwartej przestrzeni, gdzie nawet z daleka można było dostrzec inną osobę, szczególnie jeśli była nią wspaniała kobieta w kosmicznym skafandrze. Tutaj nieustannie potracali go tłoczący się ludzie, wdychał ich oddechy i wachał przemysłowe wyziewy, które stale zalegały niższe poziomy, mimo że kampanie reklamowe władz lokalnych twierdziły co innego. Mars był przynajmniej czysty, nie było na nim niczego poza czerwonym pyłem i galimatiasem skał. Na Marsie mężczyzna mógł swobodnie wyciągnąć ramiona nie waląc jednocześnie stojącego obok faceta w zasmarkany nos.

Zjechał długimi schodami, które o tej porze przypominały rwący wodospad głów, pleców i ramion ześlizgujący się ku niższym poziomom stacji metra. Na dole, ludzki strumień rozchodził się na chwilę wokół małej przestrzeni zajętej przez kalekiego skrzypka.

Quaid uśmiechnął się pokrzepiony widokiem kogoś, kto domagał się przestrzeni i szacunku dla siebie wśród anonimowego porannego tłoku.

Quaid zatrzymał się, by włożyć swoją ID do przenośnego rejestru kredytowego skrzypka. Automat zarejestrował jego datek, a Quaid znowu dał się ponieść ludzkiemu strumieniowi.

Wcisnął się w strefę bezpieczeństwa. Tłum ludzi uformował się w kolejkę przed potężnymi rentgenowskimi ekranami. Przez ten zator tracił czas, lecz nie mógł nic na to poradzić. W środkach transportu publicznego zanotowano już tyle aktów przemocy, że należało podjąć stosowne działania, które Quaid popierał, gdyż nie chciał zostać obrabowany lub zabity w metrze przez naćpanego świra, lub znaleźć się w grupie zakładników wziętych przez bojówkę nowego rewolucyjnego ruchu. Liczbę aktów przemocy zmniejszyło zarządzenie, które dopuszczało noszenie przy sobie przedmiotów

metalowych i plastikowych pod warunkiem, że nie była to broń.

Nie mając nic lepszego do roboty Quaid obserwował kolejkę przed sobą.

Ludzie szykowali się do przejścia przez rentgenowskie ekrany.

W ich wnętrzu każdy człowiek tracił ciało i ubranie, stając się żywym szkieletem, który chwilę później odzyskiwał ludzką postać. Quaid ujrzał, jak do ekranu zbliżyła się młoda, atrakcyjna kobieta. Rozczarowany śledził z bliska jej defiladę po ekranie, na którym widoczne były tylko kości. Ciągle miał nadzieję, że pewnego dnia nastąpi awaria, która spowoduje, że znikną będą wyłącznie ubrania, zaś na ekranach pojawią się nagie ciała. Niestety, nigdy się to nie zdarzyło, ekrany pracowały bez zarzutu. Mimo wszystko, młoda kobieta miała sympatyczny szkielet.

Nadeszła jego kolej. Przeszedł przez ekran czując się jak striptizer na scenie. Za ekranami obejrzał się na kolejkę i zobaczył, że inna młoda kobieta taksowała go wzrokiem, igrając koniuszkiem języka po wargach. Chciała ujrzeć jego nagie ciało!

Sprawiło mu to tylko częściową przyjemność. Wiedział, że kości ma równie dobre. Ale co go właściwie obchodziły myśli nieznanej kobiety? Miał cudowną i oddaną żonę oraz wspianą i odważną kobietę ze snu o Marsie. Nie potrzebny był mu kolejny romans. Teraz, choć to było głupie, pragnął ich obu. Przede wszystkim jednak pragnął wyzwolić się od tej kretyńskiej egzystencji. Może tęsknił za pełnymi przygod podrozami, lub podbojem miłosnym? Oddałby wszystko, żeby tylko nie gnać codziennie w tych koszmarnych warunkach do pracy.

Podszedł do ruchomych schodów i zjechał na peron metra. Tu znów był zator, gdyż ciągle brakowało wagonów. Był za daleko, żeby złapać pierwszy pociąg i musiał czekać sześć minut na następny. Metro powinno kursować co trzy minuty, lecz nigdy nie trzymało się rozkładu, prawdopodobnie wysocy rangą urzędnicy nabijali sobie kabzę z funduszu przeznaczonego na remonty i zakupy nowych pociągów. Bezradni pasażerowie musieli więc ponosić koszty dodatkowych trzyminutowych spóźnień. Jeśli trafi na jeszcze jeden zator, spóźni się do pracy i potrąca mu to z pensji.

Wreszcie pociąg nadjechał. Quaid wcisnął się do wagonu i od razu poczuł się jak sardynka w monstrualnej puszcze. Jaki kontrast z Marsem! Wszędzie zainstalowane były ekrany wideo, a każdy wyświetlał reklamy. Przypominały mu wieloczynnościowy ekran w domu, a różnica polegała tylko na tym, że w wagonie metra toczyła się nieustanna walka o klienta. Był to rynek wziętych do niewoli konsumentów, dla których sponsorzy nie mieli litości. Próbował wyciszyć najbliższy ekran, lecz w zamian mógł tylko słuchać oddechów zmęczonych ludzi upchanych wokół i wachać odór ich ciał. Poza tym, na ekranie pojawiła się oszałamiająca dziewczyna. Jego oczy przesunęły się same.

Na okrągłym łóżku obok dziewczyny leżał zadowolony facet. Jego mina mówiła, że albo skończył, albo zamierzał się z nią kochać. Oboje znajdowali się pod szklaną kopułą na dnie oceanu, wokół pływało stado kolorowych ryb. Quaid wiedział, że większość tych

pięknych ryb żyła bliżej powierzchni morza, a nie trzy mile pod nią, i że miały ciekawsze zajęcia niż pozowanie dla turysty, który i tak nie zwracał na nie uwagi. Zwłaszcza że za chwilę miał posunąć luksusową panienkę! Lecz, do diabła, to była reklama. Idiotyzmem było by oczekiwać od niej realizmu.

— Miałbyś ochotę spędzić wakacje na dnie oceanu... — mówił narrator ogłuszającym głosem, jaki specjaliści od reklamy stosowali, żeby narzucać się swoim ofiarom.

Quaid skrzywił się i próbował przepchnąć dalej od ekranu, ale inni pasażerowie nie chcieli go przepuścić. Nie zamierzali dać się ogłuszyć.

Akcja przeniosła się do uboższego mieszkania, znacznie gorszego od apartamentu Quaida. Samotny facet z dna oceanu siedział otoczony stertą rachunków. Wyglądał jak kupka nieszczęścia.

— ...lecz nie możesz spłacić rachunków? — kontynuował spiker spoza ekranu.

Jeden zero!

Quaid przeniósłby się na Marsa, gdyby miał dużo pieniędzy! To był prawdziwy powód sprzeciwów ze strony Lori, doskonale wiedziała, że nie stać ich na przeprowadzkę. Nowym kolonistom dawano premię, lecz był pewny, że szybko pochłonęłyby ją koszty przeprowadzki. Potrzebna była spora sumka na dzień dobry, żeby nie musiał zarabiać jako górnik. Lori dbała o dom najlepiej jak potrafiła i powinien za to być jej wdzięczny.

Był jak ten biedaczyna z reklamy. Wzdychał do odległej planety, bo nie cierpiał życia na przeludnionej Ziemi, a przecież tylko na takie życie mógł sobie pozwolić. Jediną przewagę nad facetem z reklamy dawało mu porządne mieszkanie.

Scena na ekranie przeskoczyła ponownie. Pewna siebie narciarka wykonała elegancki szus i zatrzymała się obok stada pingwinów. Wyglądała atrakcyjnie w narciarskim kombinezonie i wydawała się być u szczytu życiowego powodzenia.

— Miałabyś ochotę pojeździć na nartach na Antarktydzie? — spytał głos z ekranu.

Po kolejnej zmianie sceny widać było tą samą kobietę w biurze. Otaczało ją dziesięciu pracowników domagających się instrukcji. Była kompletnie udręczona. Miała potargane włosy i nie wyglądała atrakcyjnie. Quaid widywał już takie wyczerpane kobiety pracujące na wysokich stanowiskach.

— ...lecz przygniotła cię praca?

Wbrew sobie, Quaid zainteresował się reklamą. Antarktyda leżała wprawdzie daleko, niedostępna i bezludna, ale na swój sposób była podobna do Marsa...

— Miałbyś ochotę powspinać się na Marsie...

Quaid aż podskoczył. Jak zahipnotyzowany zaczął gapić się w ekran. Obraz pokazywał alpinistę wspinającego się po zboczu dzikiej, podobnej do piramidy góry, która do złudzenia przypominała górę ze snu Quaida. Czy znów dała znać o sobie jego wyobraźnia? Czy sen przenikał do realnego ziemskiego świata? Nie, to naprawdę była

reklama! Co prawda on nie brał udziału w tej scenie, lecz mężczyzna w turystycznym skafandrze kosmicznym zapewniającym komfort, lecz mało praktycznym.

W kolejnej scenie sportowiec przeistoczył się w starca pnącego się z trudem po schodach.

— ... lecz teraz jesteś po drugiej stronie szczytu? — kamera cofnęła się ukazując tweedową marynarkę i dostojne oblicze zawodowego gentlemana, narratora reklamy. — Więc przyjdź do spółki „Recall”. Oferujemy wspomnienia z twoich wymarzonych wakacji, tańszych, bezpieczniejszych i lepszych niż w rzeczywistości.

Na ekranie pojawiła się plaża o zachodzie słońca. Narrator siedział wygodnie w dziwnym fotelu, unoszącym się nad wodą.

— Nie pozwól, by życie przeszło obok. Zadzwoń do „Recall”. Będziesz miał wspomnienia na całe życie.

Quaid zafascynował patrzył jak na ekranie przy wtórze sygnału pojawił się dwunastocyfrowy numer „Recallu”.

Quaid był zaintrygowany. Był niewolnikiem głupiego snu. A właśnie sen w formie wspomnień sprzedawała ta reklama. Czy to zda egzamin? Wiedział, że musi znaleźć sposób, żeby porzucić zwykłe życie. Może ten był odpowiedni?

Reklamy grzmiały, zachwalając intymne kosmetyki, rzekomo doskonałe inwestycje, czopki do nosa i inne produkty, ale Quaid nie zwracał już na nie uwagi. Może mimo wszystko znalazł sposób, żeby dostać się na Marsa!

Do pracy dotarł jak zawsze. Prawie się nie spóźnił i wkrótce był na jezdni zajęty tym, co potrafił robić najlepiej. Gdy urzędnicy odpowiedzialni za rozbiórki chcieli, żeby coś zostało rozbite szybko i dobrze, wyznaczano właśnie jego. Nigdy nie zaniedbywał się w pracy, przy okazji ćwiczył swoje mięśnie. Podniecały one Lori, a miał nadzieję, że także kobietę z Marsa.

Spróbował oderwać się od ostatniej myśli, koncentrując się na robocie. Do połowy rozebrali już jedną ze starych fabryk samochodów, które zaśmiecały okolicę. Dopiero przed pięćdziesięciu laty zainstalowano oczyszczalnię ścieków, chociaż twierdzono, że stanie się to wcześniej. Tak długo nikt nic nie robił, aż wreszcie ludzie zaczęli padać jak muchy. W końcu fabryki zostały porzucone.

Pojazdy na paliwo płynne nie były już „regulowane” ani „remontowane” — zakazano ich produkcji. Zaczęto praktycznie stosować technologię czystego spalania, którą znano od lat. Firmy motoryzacyjne ze wszystkich sił przeciwstawiły się zmianom, lecz w końcu uległy naciskowi opinii publicznej i wyprodukowały samochody nie emitujące spalin. Była to kropla w morzu potrzeb, związanych ze zwalczaniem zanieczyszczeń, zaledwie mały krok wykonany z opóźnieniem, choć na początek wystarczył. Producenci samochodów zamienili stare zakłady na całkowicie zautomatyzowane fabryki, w których komputery dyrygowały robotami. Wszędzie jednak pozostały szczątki przeszłości i do

Quaida należało ich usuwanie. Tego ranka pracował na drodze wiodącej do opuszczonej fabryki. Systematycznie zamieniał jezdnię w kupę gruzu, zapominając o upływającym czasie.

Ciężka fizyczna praca odrywała go od głupich snów, koncentrował się na swoim zadaniu, jakby kawałek jezdni był wielkim ekranem, na którym leciało naprawdę interesujące wideo. Czuł radość rozbijając powierzchnię jezdni, wydawało mu się, że roztrzaskuje więzy społeczne, które trzymały go na głupiej Ziemi i nie pozwalały żyć na bardziej interesującej planecie. Przynajmniej czegoś dokonywał.

Lecz teraz sen powrócił i nie znikał. Daremnie próbował go zignorować.

Co było w tym „Recallu”?

— Hej, Harry — starał się przekrzyczeć huk młota.

Harry również pracował przy młocie, był w średnim wieku, miał wydęty od piwskiego brzuch i mówił z brooklyńskim akcentem. Od kilku lat pracowali wspólnie i Quaid polubił tego porządnego, prostego faceta.

— Słyszałeś kiedyś o „Recallu”?

— „Recall”? — odkrzyknął Harry.

Okruchy skał posypały się z jego włosów, gdy potrząsnął głową. Nie bardzo kojarzył.

— Sprzedają fabrykowane sny! — odpowiedział Quaid.

Teraz Harry sobie przypomniał.

— Ach, tak — na cały głos wyśpiewał sygnał spółki. Wyłączył młot. — Zamierzasz tam pójść?

Quaid również zrobił przerwę. Oparł się o syczący młot.

— Nie wiem — powiedział, strzepując czerwony pył z rękawic. — Może.

— Lepiej nie — powiedział Harry stanowczo.

Szczerłość odpowiedzi zaskoczyła Quaida. Harry wyraźnie wiedział coś o spółce „Recall”, o czym reklama nie wspomniała.

— Dlaczego nie? — spytał.

Chciał wiedzieć, czy kryje się za tym coś podejrzanego.

Harry pochylił się ku niemu i ściszył głos.

— Mój przyjaciel skorzystał z ich „oferty specjalnej”. Prawie sam się zlobotomował.

Quaida przeleciał dreszcz.

— O kurwa ...

Harry poklepał go po ramieniu i zatrzymał się na chwilę przy swojej maszynie.

— Nie pieprz się z mózgiem, koleś. Nie warto.

Jego młot powrócił z rykiem do życia. Quaid podkręcił silnik swojego. Wróciwszy do pracy rozmyślał nad słowami Harry’ego. Na pewno dał mu dobrą radę. Tylko idiota by ją zignorował.

Mimo to po skończeniu pracy poszedł do budki telefonicznej. Przeleciał palcami po długiej liście firm i zatrzymał się przy „Recallu”. Jeszcze nie był pewny, czy to zrobi, lecz zamierzał dowiedzieć się czegoś więcej.

Może to nierozsądne, ale mógł to być jedyny sposób, żeby uporać się ze snem.

ROZDZIAŁ 5

„Recall”

Quaid stał przed konsolą komputera dyrekcji budynku. Z listy firm wybrał „Recall”. Na ekranie pojawiła się informacja o lokalizacji biura, lecz Quaid ciągle się namyślał.

Czy uzyska odpowiedź, jakiej pragnie?

Harry odradzał mu przychodzenie tutaj, lecz Harry nie śnił co noc o Marsie. Mars był zmorą, której musiał się pozbyć w ten czy inny sposób. Albo zapomnieć o planecie, co było niemożliwe, lub na nią polecieć, co również było niemożliwe. Musiał więc znaleźć wyjście kompromisowe. Może „Recall” będzie tym wyjściem.

Wiedział, że nawet najbardziej przekonująca iluzja pozostanie tylko iluzją.

Przynajmniej obiektywnie. Subiektywnie — mogła okazać się prawdą. No cóż, za pięć minut miał umówione spotkanie. Musiał się zdecydować, czy ma wejść i kupić to, co mu zaoferują, czy odejść stchórzywszy w ostatniej chwili. Zatłukłby każdego, kto nazwałby go tchórzem, na szczęście nikt się nie odważył, od kiedy Quaid dorósł, jednak teraz sam sobie robił wyrzuty. Mars wywierał na niego szaleńczy urok, ale Quaid pamiętał z jakim przerażeniem spadał w głąb tajemniczego szybu. Czy chciał, żeby sen stał się rzeczywistością? Był tylko jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć. Wciągnął głęboko powietrze, wszedł do windy i pojechał do biura „Recallu”.

Recepcjonistka była miłą blondynką. Właśnie malowała paznokcie. Każdy z nich tryskał intensywną czerwienią. Przez chwilę Quaidowi wydawało się, że dziewczyna jest goła, jej piersi przybrały niebieską barwę, lecz nagle światło przesunęło się i zrozumiał, że padł ofiarą efektu wywoływanego przez bluzki typu „było i nie ma”. Dziewczyna widziana pod pewnym kątem była ubrana, gdy spoglądało się na nią pod innym wydawała się kompletnie naga. Najczęściej wydawała się na wpół rozebrana, a efekt zmieniał się intrygująco przy każdym jej ruchu. Będzie musiał wspomnieć o tym Lori, zapewne zechce kupić sobie identyczną bluzkę.

Bez najmniejszego śladu zakłopotania dziewczyna pochowała swoje drobiazgi. Na jej twarzy pojawił się wyćwiczony uśmiech.

— Dzień dobry. Witamy w „Recall”.

Czy postępował właściwie? Czuł się jak uczeń wchodzący do jaskini hazardu.

— Dzwoniłem w sprawie spotkania. Nazywam się Douglas Quaid.

Dziewczyna sprawdziła listę. Quaid był pewien, że to sztuczna poza, był umówiony, a poza nim w biurze nie było nikogo. Recepcjonistka podniosła wzrok.

— Chwileczkę, panie Quaid.

Powiedziała spokojnym tonem coś do wideofonu, cały czas zerkając z uznaniem na Quaida, który gapił się niespokojnie na plakaty reklamujące podróże wideo rozwieszane na ścianach.

— Panie Quaid? Pan McClane zaraz zajmie się panem. Ledwo skończyła, z wnętrza biura wyłonił się sprzedawca.

— Dziękuję, Tiffany — powiedział. Pomachał recepcjonistce, a potem uśmiechnął się i wyciągnął dłoń do Quaida.

— Doug... Jestem Bob McClane. Miło cię poznać. Proszę tędy.

Quaid wyszedł za nim z recepcji.

McClane był jowialnym, energicznym mężczyzną w średnim wieku. Zgodnie z ostatnią modą nosił szary garnitur ze skór marsjańskich żab. Na Marsie nie było oczywiście żadnego rodzimego życia. Importowane ziemskie żaby hodowano na specjalnych farmach. Mniejsze ciężenie i zwiększone promieniowanie nadały im niezwykle rozmiary, a ostatnio rozwinął się ogromny popyt na ich skóry.

McClane wprowadził go do stylowo urządzonego biura.

— Siadaj, proszę. Czuj się jak u siebie w domu

Quaid opuszczył się na lśniący, futurystyczny fotel, który łagodnie dostosował się do jego wagi i rozmiarów. O tym też trzeba opowiedzieć Lori, ci ludzie nadążali za czasem.

McClane usiadł za wielkim pseudoorzechowym biurkiem.

— Chciałbyś wspomnienia z...?

— Marsa — odpowiedział Quaid, uświadamiając sobie, że przekroczył linię między wątpliwościami, a działaniem. Lecz reakcja mężczyzny zaskoczyła go.

— Słusznie, z Marsa — potwierdził McClane bez entuzjazmu.

— Czy coś nie gra?

McClane zmarszczył brwi.

— Ech, szczerze mówiąc, Doug, jeśli lubisz Kosmos, to chyba byłbyś bardziej zadowolony biorąc jedną z naszych wypraw na Saturna. Wszyscy klienci się nimi zachwycają, a cena jest prawie taka sama.

Oho, a więc kij i marchewka, żeby podbić cenę.

— Nie interesuje mnie Saturn — powiedział Quaid zdecydowanie.

McClane zrobił dobrą minę do złej gry, widząc, że jego próba spaliła na panewce.

— W porządku, w porządku, niech będzie Mars. Poczekaj chwilę...
Postukał w klawiaturę komputera i na ekranie rozbłysły liczby.

— Nasza podstawowa oferta z Marsa kosztuje tylko osiemset dziewięćdziesiąt cztery kredyty. Dwa tygodnie wspomnień, dopracowane we wszystkich szczegółach.
Ponownie rzucił okiem na komputer.

— Dłuższa wycieczka kosztuje nieco więcej, bo musimy wykonać głębszy wszczep.
Znów kij i marchewka.

— Zależy mi na standardowej wycieczce.

W rzeczywistości chętnie pojechałby tam naprawdę, ale nawet mniej wymyślna wyprawa przekraczała jego możliwości finansowe. McClane przybrał minę rozsądnego człowieka, który ma przed sobą nierozsądnego lub po prostu głupiego klienta.

— Nie mamy standardowych wycieczek, Doug. Każda podróż odpowiada indywidualnym wymaganiom.
Cwaniak z niego! Ciągłe starał się podnieść cenę.

— Jaki jest plan podróży?
McClane przeszedł do interesu.

— Po pierwsze, Doug, korzystając z usług „Recallu” podróżujesz pierwszą klasą. Masz do swojej dyspozycji prywatną kabinę na wahadłowcu Międzyświatowych Tras Kosmicznych. Będziesz zakwaterowany w luksusowym Hiltonie. Plus wszystkie zasadnicze atrakcje. Olimp, kanały, Venusville... — spojrzał z ukosa, prezentując ten sam wyćwiczony uśmiech co recepcjonistka. — Wystarczy, że wymienisz nazwę i już ją zapamiętasz.

— Jak bardzo te wspomnienia są prawdziwe? — Quaid słyszał o Venusville, jednej z najbardziej zakazanych dziur w Układzie Słonecznym. Wątpił, czy odnajdzie tam kobietę ze snu.

— Tak prawdziwe, jak wszystkie wspomnienia w twojej głowie.
Quaid nie ukrywał sceptycyzmu. — Tak, słusznie.

— Mówię ci, Doug, twój mózg nie dostrzeże żadnej różnicy — albo oddamy ci pieniądze. Będziesz miał nawet namacalne dowody. Odcinki biletów, kartki pocztowe, filmy jaki nakręciłeś w atrakcyjnie turystycznych miejscach na Marsie wypożyczoną kamerą. Pamiątki. Wiele innych rzeczy. Otrzymasz wszystko, co będzie niezbędne dla wsparcia twoich wspomnień. Gwarantujemy...

— A co się stało z tym facetem, któremu prawie zrobiliście lobotomię — przerwał Quaid — Zwróciliście mu forszę?
McClane'owi nawet nie drgnęła powieka.

— To stara historia, Doug. Dzisiaj podróże z „Recall”-em są bezpieczniejsze od podróży raketami. Popatrz na statystykę.

Wywołał na ekranie dla Quaida liczby i grafiki. Ich gwałtowne ukazanie się i

kompleksowość zdumiały Quaida, co było niewątpliwie zamiarem firmy, miały zrobić wrażenie na klientach, a oni powinni być przekonani o prawdziwości podsuniętych informacji.

— Nie mówiłem?

Szybki był w te klocki! Lecz Quaid nie zamierzał łatwo się poddać.

— Nie jestem pewien. Jeśli będę miał wszczep, nigdy nie polecę tam naprawdę.

McClane pochylił się nad biurkiem.

— Doug, czy możemy być ze sobą szczerzy? To znaczy, że do tej pory kłamałeś?

Quaid nie zmieniał wyrazu twarzy, czekając na następne zagranie McClane'a.

— Jesteś robotnikiem budowlanym, mam rację? — kontynuował McClane.

Facet podchodzi go od złej strony.

— Więc?

— Więc powiedz mi, w jaki inny sposób możesz polecieć na Marsa? Z werbunku? — wykrzywił usta wyraźnie czując wstręt do tego określenia. — Spójrz prawdzie w oczy, kolego. „Recall” jest twoim biletem. Albo siedź w domu i oglądaj telewizję.

Słowa były przykre, lecz prawdziwe. To było jedyne wyjście dla robotnika budowlanego, specjalisty od przygotowania terenu, mówiąc krótko „kafara”. Zanim zdążył się zniechęcić, McClane wstał, pochylił się nad biurkiem i położył mu dłoń na ramieniu.

— Poza tym, pomyśl, jak przesrane mogą być zwykłe wakacje. zgubiony bagaż, wstrętne pogoda, obskurne pokoje hotelowe. „Recall” proponuje ci wszystko najwyższej jakości.

Trafił w dziesiątkę! Quaid doskonale znał wakacyjne udręki i nie musiał lecieć na Marsa, żeby znów ich doświadczyć.

— Okey. Całe życie miałem taki zamiar, ale rozumiem, że nigdy go nie zrealizuję. Myślę, że muszę się zgodzić na wasze propozycje.

— Nie myśl w ten sposób — powiedział ostro McClane. — Nie akceptujesz namiastki. Prawdziwa pamięć, mglista, dziurawa, powikłana, nie mówiąc o zniekształceniach — to jest namiastka.

Jeszcze raz trafił w dziesiątkę. Czym to się różni od prawdziwej wyprawy? Po niej też miałby wspomnienia i splukane konto bankowe. „Recall” przynajmniej gwarantował wysoką jakość wspomnień. Jednak ciągle miał drobne wątpliwości.

— Skoro wiem, że tutaj byłem, w pańskim biurze, będę wiedział, że moje wspomnienia z Marsa są nieprawdziwe. A to oznacza, że...

— Doug, nie będziesz pamiętał, że spotkałeś się tu ze mną, nie będziesz nawet pamiętał, że słyszałeś o naszym istnieniu. To część naszej oferty. Wszystko będzie świadczyć o prawdziwości twoich najnowszych przeżyć, nie będzie żadnych wątpliwości.

Kupił go.

— Biorę wyprawę dwutygodniową.

— Nie pożałujesz — powiedział ciepło McClane.

Włączył klawiaturę znajdującą się przed Quaidem.

— Gdy będziesz wypełniał kwestionariusz, zapoznam cię z niektórymi propozycjami.

Quaid zaczął wypełniać różnorodne rubryki widoczne na ekranie, musiał podać szczegóły dotyczące upodobań w wielu drobnych sprawach, takich jak ulubiony kolor ubrania, a także w kilku poważniejszych, jak wymiary kobiety, którą chciałby spotkać.

— Dajmy sobie spokój z propozycjami — powiedział zniecierpliwiony kwestionariuszem.

— Po prostu odpowiadaj na pytania — powiedział poważnie McClane.

— Co jest wartością niezmienną twoich wakacji?

Quaida nie interesowały zgadywanki.

— Poddaję się.

— Ty. Ty się nie zmieniasz — przerwał dla sprawdzenia efektu. — Nie ma znaczenia dokąd jedziesz, gdzie jesteś. Ciągle ten sam stary Quaid.

Zagadkowo wyszczerzył zęby.

— Powinieneś wziąć urlop od samego siebie. To ostatni hit. Nazywamy to Wyprawą Ego.

Słowa McClane'a były podejrzane.

— Nie jestem zainteresowany, naprawdę.

Lecz McClane zamierzał mu to sprzedać.

— Spodoba ci się — wyprostował się, jakby zdradzał wielką tajemnicę. — Oferujemy ci wybór alternatywnych tożsamości w trakcie wyprawy.

Nadal było to podejrzane. Jaki sens miały wspomnienia o podróży, w której uczestniczył ktoś inny?

McClane rzucił na monitor Quaida listę propozycji gasząc kwestionariusz.

A — 14 — playboy milioner

A — 15 — idol sportowy

A — 16 — potentat przemysłowy

A — 17 — tajny agent.

— Zastanów się, Doug, dlaczego masz być zwykłym turystą na Marsie, skoro możesz wystąpić w roli playboya, sportowca...

— Ile kosztuje tajny agent? — mimo wątpliwości Quaida ogarnęło zainteresowanie.

— Trochę cierpliwości, Doug. To jest jak film, a ty jesteś gwiazdą. Miłość, dreszcz emocji, podwójna tożsamość, pościgi! Jesteś tajnym agentem, głęboko zakonspirowanym, wykonującym najważniejszą misję w życiu — przerwał.

— Dalej — powiedział Quaid, był niecierpliwy.

McClane usiadł.

— Nie chcę psuć ci niespodzianki. Pewne jest tylko to, że zanim wyprawa się skończy, będziesz miał dziewczynę, zabijesz złych facetów i uratujesz planetę — uśmiechnął się zwycięsko. — I powiedz, czy to nie jest warte głupich trzystu kredytów?

Quaid niechętnie odwzajemnił uśmiech.

W końcu dał się złapać na haczyk.

ROZDZIAŁ 6

41 A

Było jeszcze kilka rutynowych szczegółów, które Quaid puścił mimo uszu niczym nudne programy w multitelewizorze. Okazało się, że po podjęciu decyzji, nie musiał już zwlekać, gdyż była to czysto wewnętrzna procedura. Przeprowadził ją w głowie. Za kilka godzin wróci z Marsa, co było równie pewne, jak jego udział w tej wyprawie. McClane obiecał, że przygotuje wyjaśnienie na okres kilku brakujących godzin. Jak mógł być dzisiaj w pracy, skoro dopiero teraz wróci po dwóch tygodniach z Marsa?

McClane zapewnił go, że nie będzie żadnych niezgodności. Zachowa wspomnienia dla siebie, żeby nie wywoływać zazdrości u kolegów, a oni nie będą mówić o jego nieobecności, przypuszczając, że kryje się za tym jakaś wstydliva choroba. Nigdy nie będzie starał się porównać daty wycieczki z datą zatrudnienia, dlatego, że pamięć ją dokładnie zarejestruje. Gdyby ktoś chciał udowodnić, że nigdzie nie był, mógłby skonfrontować Quaida ze zgromadzonym materiałem, co oczywiście wywołałoby konflikt — ale kto chciałby zrobić coś takiego? Ani jego koledzy, ani Lori, która poczuje ulgę, gdy zobaczy, że przestał myśleć o podróży na Marsa.

Powiadomi się ją o tym, co robił, gdyż była jego najbliższą krewną i miała prawo wiedzieć na co poszły pieniądze, lecz ona to zaakceptuje. Dorzucą nawet premię dla niej. Będzie pamiętać, że widziała go na kosmodromie i że czuła się samotnie po jego odlocie, tak że potem odpowiednio doceni wpływ przeżycia, którego doznał jej mąż. Nie będzie żadnych problemów. Gdyby zapamiętał cokolwiek z pobytu w tym biurze, mógłby zażądać później zwrotu pieniędzy. Postarają się, żeby nic takiego się nie przytrafiło, a jeśli, to wtedy oni poniosą straty.

System sam się korygował.

Zapadł wieczór, byli gotowi. McClane poprowadził go do innego biura na tyłach budynku, w którym stało coś, co przypominało staromodny hotel dentystyczny. Pokój wyglądał jak skrzyżowanie sali operacyjnej ze studium dźwiękowym.

Pielęgniarka ubrała Quaida w fartuch lekarski.

— Proszę się nie martwić, panie Quaid — powiedziała, gdy McClane wyszedł.

— Nie chcemy, żeby pańskie ubranie poplamiał IV. Nie jesteśmy na chirurgii.

— IV?

— Musimy pana trochę uśpić, żeby pański umysł był gotów przyjąć wszczep. Byłoby to niemożliwe, gdyby był pan całkowicie świadomy — uśmiechnęła się.

Nie była tak ładna jak recepcjonistka i nosiła nieprzezroczystą bluzkę, lecz miała miły i dodający otuchy uśmiech.

— No tak, oczywiście — zgodził się, siadając na fotelu.

Miło, gdy wokół krząta się kobieta, jakakolwiek, kiedykolwiek. Lori była w tym dobra, bardzo dobra, lecz na Marsie...

Pielęgniarka upewniła się, czy Quaid siedzi wygodnie, położyła jego ręce na oparciach i sprawdziła podgłówek. Podwinęła mu lewy rękaw i nasmarowała przedramię zimnym alkoholem.

— Boże, ależ pan silny — powiedziała, przykładając do umięśnionego ramienia środek znieczulający.

Większość kobiet twierdziła, że interesuje się bardziej charakterem niż wyglądem, dokładnie to samo twierdziła większość mężczyzn, lecz dobry wygląd zawsze miał swoje znaczenie.

— Jestem robotnikiem budowlanym, pracuję przy młocie.

— Oho! To wszystko wyjaśnia! Musi być pan w tym bardzo dobry.

Wiedział, że się z nim przekomarza, żeby odwrócić jego uwagę od przygotowań, ale mu się to podobało. Z łatwością wyobraził sobie, że leży z nią w łóżku. Znajdował się w pozycji pólężącej w niezwykle wygodnym fotelu i czuł na skórze delikatny dotyk pielęgniarki. Nawet nie zauważył kiedy zaaplikowała mu IV.

Poczuł niezwykle odprężenie, gdy z tuby zaczął sączyć się preparat znieczulający. Umknęło mu wyjście pielęgniarki, zresztą mało go to obchodziło, było mu zbyt błogo. Do pokoju wszedł młody mężczyzna. Ruchy miał szybkie, jakby się spieszył. Był chudy, miał włosy w trudnym do opisanego odcieniu brązu i szare oczy, rzucające szybkie spojrzenia. Quaidowi przypominał trochę ruchliwą mysz, szukającą pożywienia.

— Cześć — powiedział mężczyzna. — Jestem Ernie, pański asystent techniczny. Dr Luli przyjdzie za chwilę. Wygodnie panu?

— Tak — rzeczywiście było mu wygodnie ! Jeszcze odrobina komfortu, a zaśnie.

— Założę tylko panu „Helm kosmiczny” — powiedział Ernie z nagłym uśmiechem, wyciągając jakiś aparat podwieszony do metalowego ramienia. — To taki żart, zobaczy pan, to przypomina...

— Kapuję — powiedział Quaid.

Traktowali go jak dziecko. Było to zabawne, jeśli miał do czynienia z kobietą, ale nie z gamoniowatym wyrostkiem.

Ernie obniżył lśniąca czarę nad głowę Quaida.

— Pierwsza wyprawa?

— Mmhmm.

Rzeczywiście czara przypominała Helm kosmiczny i wyobraził sobie, że spaceruje po jałowym gruncie Marsa z tym dziwnym urządzeniem na głowie. Wiedział, że w rzeczywistości czara była skanerem fal mózgowych, używanym do odczytywania i korygowania pracy tych fragmentów mózgu, które związane były z procesem pamiętania. Ten Helm był wart prawdopodobnie tysiące kredytów.

Ernie ostrożnie ustawił skomplikowaną aparaturę naukową we właściwym miejscu. Quaid rzucił asystentowi pełne irytacji spojrzenie, gdy szorstka taśma obtarła mu głowę.

— Proszę się nie martwić — powiedział Ernie, sprawdzając taśmę. — Tu się nic nie spieszy.

Włączaj, baranie, pomyślał Quaid. Gotów był jak najszybciej wyruszyć na Marsa. Otworzyły się drzwi i weszła podobna do ptaka kobieta w średnim wieku. Nosila elegancki spodniom, który jednak nie tuszował braku jej urody. Była zbyt chuda, włosy miała zbyt rude. Zachowywała się sztucznie, w najgorszym znaczeniu tego słowa. Próbowwała wyglądać jak pewna siebie kobieta sukcesu, lecz mimo usilnych starań, efekt był odwrotny od zamierzonego.

— Dobry wieczór, panie... — sprawdziła kartę wideo, gdyż oczywiście zapomniała jego nazwiska. — ...Quaid. Jestem dr Luli.

Mówiła ze szwedzkim akcentem i traktowała Quaida jakby w ogóle nie istniał, co doprowadziłoby go do wściekłości, gdyby nie był w takim błogim nastroju.

— Miło mi — powiedział niepewnie.

Po tej wymianie uprzejmości, dr Luli założyła kitel chirurgiczny, a potem pstryknęła palcami w kartę Quaida.

— Ernie, połącz w matrycy 62b, 37 i ... — spojrzała na Quaida.

— Chciałby pan spotkać Obcych?

— Dwugłowe potwory? — spytał ogarnięty wątpliwościami. Zachichotała, zdradzając rzeczywiste uczucia.

— Nie ogląda pan wiadomości? Właśnie zbieramy ślady po Obcych.

— Pewnie, dlaczego nie?

Zaintrygowała go własna uwaga. Może to powodowało zainteresowanie Marssem. Miał nadzieję, że to zbada, odkryje pozostałości ogromnej opuszczonej kolonii Obcych, ślady supernauki, i zaskoczy świat tym odkryciem, okrywając się sławą.

Dr Luli rzuciła matrycę Erniemu. Jej ruch sugerował, co myśli o takich uwagach — były dla niej tylko odrobiną fantazji, zapisaną w ładunku matrycy.

— Proszę bardzo — powiedział Ernie.

W czasie, gdy Ernie grzebał we właściwych ładunkach, dr Luli ścisnęła taśmy wokół ramion, nóg i torsu Quaida, tak, by bezpiecznie przylegał do fotela. Lekko go to zaalarmowało. Spodziewają się, że dostanie konwulsji?

— Długo jesteśmy żonaci? — dr Luli była rzeczywiście tym zainteresowana.

Może kobieta o tak pokracznych kształtach czuła się lepiej w towarzystwie kogoś, kto wziął ślub, zwłaszcza że sama miała z tym trudności.

— Osiem lat — zaskoczył go własny głos.

Była to prawda, lecz uświadomił sobie, że Lori ciągle wyglądała na 25 lat, prawie się nie postarzała. W jego pamięci z taką samą ostrością, co dzisiejsze poranne igraszki miłosne, zachował się obraz jej ciała w dniu ślubu. Dziwne, że wcześniej o tym nie pomyślał. Ale nie martwił się tym, byłby szczęśliwy, gdyby Lori mogła zachować swój wygląd przez następne czterdzieści lat. I znów przypomniał sobie kobietę ze snu o Marsie — ile miała lat? Na pewno nie przekroczyła trzydziestki.

— Urywamy się na mały skok w bok? — dr Luli polizała usta.

Ton jej głosu był bardziej życzliwy, niż potępiający.

Quaid zrozumiał, że nawet nieatrakcyjne kobiety w średnim wieku mają sny. Folgowala sobie przy nim, być może wyobrażała sobie, że leży z nim w łóżku, podobnie jak on wyobrażał siebie w łóżku z każdą młodą i seksowną kobietą, którą przypadkowo spotykał na ulicy. Po raz pierwszy uświadomił sobie, że ten rodzaj fantazji może dodawać kobietom otuchy, nawet jeśli nie zdradzały tego ani jednym słowem. Czasami pozwalał sobie na żarty wobec młodych kobiet, tylko po to, żeby obrażone od niego odeszły, choć to oczywiście nie było jego celem. Teraz, gdy przywiązany do fotela wyobraził sobie, że stał się obiektem żądź targających dr Luli — zrozumiał punkt widzenia kobiet na tę sprawę. Nie dbał jednak o to, co zrobi z nim „wyobraźnia” dr Luli.

— Niezupełnie — odpowiedział krótko.

— Wszystkie systemy włączone — powiedział Ernie.

Dr Luli zajęła się pracą.

— Dobrze. To zaczynamy.

Nacisnęła dźwignię i tył fotela obniżył się, a Quaid znalazł się w pozycji leżącej.

— Gotowi do krainy snów?

Quaid skinął głową. Nagle wydało mu się, że Helm cały czas odczytywał jego myśli. Czy dr Luli wiedziała, co o niej myśli? Miał nadzieję, że nie. Dr Luli sięgnęła tymczasem do tuby i uruchomiła kroplomierz IV. Quaid wystraszył się ponownie, myślał, że kroplomierz został już dawno włączony. Czyżby błogostan przeżywał tylko w wyobraźni?

— Zadam panu kilka pytań — kontynuowała dr Luli. — Będziemy mogli dzięki temu dostroić program pańskich życzeń. Proszę o absolutną szczerość.

Nigdy! Nie dopuści, by poznała jego najskrytsze myśli. Zaczął wreszcie odczuwać

działanie środka usypiającego. Już się nie unosił, lecz opadał. Waliły się bariery ochronne w jego umyśle, przestało go obchodzić, czy dr Luli wie, co o niej myśli.

Dr Luli nie od razu przystąpiła do zadawania pytań. Najpierw sprawdziła wykresy funkcji życiowych Quaida. Doceniał, że troszczy się o jego zdrowie. Martwił się tylko tym biedakiem, któremu prawie zrobili lobotomię, nie chciał, żeby i jemu przytrafiło się coś podobnego.

— Pańskie upodobania seksualne? — dr Luli była bardziej stanowcza.

— Hetero — powiedział spokojnie.

Przeszła do ofensywy, żeby sprawdzić, czy jego reakcje są zgodne z ich wskazówkami.

Skinęła głową.

— Teraz proszę spojrzeć na ten monitor.

Quaid spojrział ospale na niewyraźny kształt kobiecego ciała widoczny na ekranie komputera, którego nie zauważył wcześniej.

— Jak ma wyglądać pańska dziewczyna? Blondynka, brunetka, ruda, Murzynka, typ orientalny?

— Brunetka — powiedział zdecydowanie.

Lori była blondynką. To kobieta z Marsa była brunetką. Ciągle był szczery — miał nadzieję, że pani doktor nie uświadamia sobie, jak bardzo był szczery. Nikt nie mógł mieć wątpliwości, że Lori była marzeniem każdego mężczyzny. Czy jego rezerwa wynikała wyłącznie z koloru jej włosów? Będzie musiał nad tym pomyśleć, gdy przestaną go szpiegować.

Usłyszał delikatne dźwięki klawiatury zamontowanej z boku. Pewnie Ernie wprowadzał dane do systemu. Schematyczny obraz na ekranie dopasowywał się do życzeń Quaida. Kobieta stała się brunetką o ciemnych oczach i jasnooliwkowej skórze. Nie wyglądała dokładnie tak, jak kobieta w jego snach, ale nie zależało mu na stuprocentowym podobieństwie. Nie był pewien dlaczego. Może dlatego, że niektóre sprawy były zbyt prywatne, by programować nimi komputer. Może nie chciał, aby obraz kobiety ze snu został wykoślawiony przez sztuczną pamięć. Niech to będzie inna kobieta, podobna, ale nie za bardzo, żeby nie doszło do nieporozumienia. Najnowsze wspomnienia mogą okazać się przykre, więc należy uważać.

— Szczupła, gibka, zmysłowa? — pytała lapidarnie dr Luli.

Quaid zasypiał! Ten IV nie tracił czasu.

— Zmysłowa.

— Skromna, agresywna, rozwiązała? Proszę szczerze!

Dlaczego nie miałby być szczery? Miał ku temu powód, ale nie mógł go sobie teraz przypomnieć.

— Rozwiązała... i skromna. — Niech się pomęczą!

— 41 A, Ernie

Ileż zachodu! Gdyby nie był tak śpiący, jeszcze by trochę namieszał! Mówił nadal prawdę, pamiętając ciągle o kobiecie, którą chciał trzymać z daleka od tego wszystkiego.

W ostatnich przebłyskach świadomości zauważył, że Ernie wcisnął kasetę z 41 A do konsoli. Obraz na ekranie komputera przedstawiał teraz schematycznie sylwetkę kobiety ze snu Quaida. Podobieństwo było tak wielkie, że aż się wystraszył. Och, nie! Wiedzieli! Nie mogli! Teraz...

— O kurczę, ale sobie poszaleje — zarechotał Ernie. — Nie będzie chciał wrócić.

Quaid zwiotczał. Wyruszył w nieznane.

ROZDZIAŁ 7

Problem

McClane rozmawiał z kolejną potencjalną klientką, miłą kobietą w średnim wieku. W gruncie rzeczy, kobiety nie przychodziły do niego często, częściej niż mężczyźni ukrywały swoje marzenia i były bardziej skrupowane. Nie znaczy to, że były biedne, po prostu zmęczone nieustannym siedzeniem w domu, podczas gdy ich mężowie prowadzili czynne życie. Miał oferty w sam raz dla takich kobiet.

— Widzi więc pani, pani Killdeer, że naprawdę możemy zapamiętać dla pani wszystko. Będzie to najwspanialsza przygoda w pani życiu.

— Ale nie zostaną po niej żadne pamiątki — zmartwiła się kobieta.

— No, niezupełnie — odpowiedział poważnie. — Za niewielką dodatkową opłatą dostarczamy karty pocztowe, mnóstwo pani zdjęć, listy od przystojnego mężczyzny, którego spotkała pani...

Zadzwoił wideofon, przerywając rozmowę. Cholera! Powiedział, żeby mu nie przeszkadzali, gdy załatwiał interes. Włączył aparat i na ekranie pojawiła się twarz dr Luli.

— Bob? — powiedziała napiętym głosem. — Lepiej przyjdź tutaj.

McClane spojrział wprost w twarz pani Killdeer, jakby zawierał z nią przymierze przeciwko własnej firmie. Nie było w tym śladu przesady, dobry interes nie zdarzał się codziennie. Nienawidził, kiedy przerywano mu w decydującej fazie negocjacji.

— Mam bardzo ważną klientkę.

— Wygląda to na kolejny zator schizoidalny — odparła dr Luli.

McClane był zszokowany. Gorzej, pani Killdeer też była w szoku. Zrozumiała o czym mówią! Prawdopodobnie utracił naraz dwóch klientów. Quaida i panią Killdeer. To okropne, że właśnie teraz mu przerwali!

Wstał i uśmiechnął się uspokajająco.

— Zaraz wracam.

Obawiał się jednak, że kiedy wróci, pani Killdeer już tu nie będzie. Cholera, cholera,

cholera!

Wielkimi krokami wyleciał z biura i pognał do studia pamięci. Głupcy, przerywać mu taką informacją, gdy urabiał klientkę. Skopie komuś dupę! Czy Renata Luli wyobraża sobie, że może mu robić takie kawały...

W drzwiach studia zatrzymał się gwałtownie, zapominając o gniewie. Przerażony patrzył na to, co się działo.

Ich klient Douglas Quaid, oszalał. Wrzeszczał i miotał się w fotelu, usiłując ze wszystkich sił pozrywać krępujące go taśmy. Był silnym mężczyzną — McClane nie uświadamiał sobie wcześniej jak silnym. Cały fotel aż chodził. Co się tu stało? Reagował odwrotnie na środek uspokajający?

Quaid zmienił się nie do poznania. Nie tyle oszalał, co dostał ataku wściekłości.

Jego oczy miały błyskawice, głos miał zimny i groźny.

— Jesteście już martwi, wszyscy — wrzeszczał. — Rozwaliliście mi łeb!

Dr Luli i Ernie kulili się pod ścianą, próbując zachować bezpieczny dystans od szalejącego mężczyzny. McClane miał od nich większe doświadczenie w sprawach, które przybrały zły obrót, były częstsze niż sądzono, a on nie zezwalał na ujawnianie statystyk. Każdy klient stanowił indywidualność o odmiennych synapsach i reakcjach, wpadki nazywano drobnymi nieporozumieniami.

— Co się tu, kurwa, dzieje? — ryknął rozjątrzony. — Nie potraficie nawet zainstalować cholernego podwójnego wszczepu?,

Grzeczność przeznaczyl dla potencjalnych klientów, nie dla ospałego personelu.

— To nie moja wina — zaprotestowała dr Luli. — Trafiliśmy na blokadę pamięci.

— Rozwiążcie mnie, zasrańce — wrzeszczał Quaid. — Zaraz tu będą! Zabiją wszystkich!

— O czym on mówi? — warknął McClane.

— Natychmiast zatrzymajcie tę operację — zawył Quaid.

Jak ten facet mógł się wyrażać tak precyzyjnie? Rozwścieczony wiking powinien krzyczeć i toczyć pianę, bluźnić i bełkocząc, a słowa Quaida były alarmująco spójne.

— Panie Quaid, proszę się uspokoić — powiedział McClane próbując perswazji.

Może udałoby się zmienić miks, ściągnąć go spokojnie z powrotem i potem przebadać cały problem. Blokada pamięci? Kto by się spodziewał?

— Nie jestem Quaid!

Rozszczepienie osobowości? To prawdopodobne i mogło działać jak blokada pamięci pod wpływem wspomnień zebranych przez alternatywne osobowości. Luli powinna była to odkryć! McClane podszedł nerwowo do Quaida i zajrzał mu w oczy.

— Reaguje pan na wszczep — powiedział, chociaż wcale nie był tego pewien.

Musiał zrobić cokolwiek, żeby uspokoić tego mięśniaka i wybrnąć z tej przykrych sytuacji! — Lecz za kilka minut...

Quaid znów napiął mięśnie. Nagle taśma przytrzymująca jego prawe ramię pękła. Ramię wyskoczyło w górę i chwyciło McClane'a za gardło. O Boże, jaką siłę miał ten człowiek!

— Rozwiąż mnie! — Quaid mówił teraz łagodnie, chociaż groźba w jego głosie brzmiała aż nadto wyraźnie.

McClane, dusząc się, próbował zderzyć rękę Quaida ze swej szyi. Lecz nawet dwoma rękoma nie mógł poluzować żelaznego chwytu. Wiedział, że robotnicy budowlani mają silne ramiona. Dlaczego nie kazał założyć podwójnych taśm? Straci przytomność zanim coś powie!

Ernie wylazł z kryjówki. Podbiegł i z całej siły pociągnął za ramię Quaida. Równie dobrze mógłby siłować się z lokomotywą. McClane bezskutecznie walczył o odzyskanie oddechu, czując ogarniającą go słabość.

Dr Luli pospiesznie nabiła pistolet strzykawkowy i z wściekłością wbiła go w udo Quaida. Pakowała w niego dawkę po dawce środka uspokajającego, aż wreszcie Quaid rozluźnił uchwyt i zemdłał.

McClane poleciał na podłogę, studio i cały świat kręciły mu się w głowie. Dr Luli podbiegła z pomocą,

— Wszystko w porządku? — spytała przestraszona kładąc mu rękę na czole.

McClane strzepnął jej dłoń i nadal łapał powietrze. Co za burdel!

— Posłuchaj mnie — powiedziała pospiesznie dr Luli. — Ten facet bez przerwy gadał o Marsie — widać było, że jest wystraszona. — On tam był naprawdę!

Świat powoli przestał wirować i wrócił na swoje miejsce, jednak McClane czuł ciągle uścisk strasznych palców na gardle. Dobrze, że skończyło się na kilku siniakach, a nie czymś gorszym! Co za potwór!

— Rusz swoją pierdoloną głową, durna dziwko! — odetchnął z ulgą. — Quaid jest tajnym agentem w Podróży Ego! Trzeba było przywiązać go mocniej, nawet kiedy myślał...

— To niemożliwe — powiedziała zimno dr Luli.

Nie lubiła mocnego języka. Tym razem to nie jej niedbałość spowodowała katastrofę.

— Dlaczego? — McClane spytał łaskawie.

Nie wywinie mu się pseudomedycznym żargonem.

— Bo jeszcze mu niczego nie wszczepiliśmy.

McClane gapił się na nią, tłumiąc gwałtownie cisnącą się na usta ripostę.

— O, kurwa...

Nagle przeraził się. Nie było wszczepu? A ten facet mówił o prawdziwych przeżyciach na Marsie? To już nie było dziwne, to było niebezpieczne!

— Próbowalam ci to powiedzieć — odezwała się dr Luli wyniośle. — Ktoś wymazał

mu pamięć. Ten człowiek naprawdę był na Marsie! I to nie wszystko...

— Ktoś? — zawołał histerycznie Ernie. — Przecież mówimy o tej pierdolonej Agencji!

— Stul pysk! — dr Luli wymierzyła Erniemu policzek. Odgłos uderzenia oszołomił wszystkich, zapanowała cisza.

McClane próbował zebrać myśli. Lecz jak można przemyśleć coś, co jest w ogóle nie do pomyślenia. Wleźli w straszne bagno. Zator schizoidalny w porównaniu do tego przypadku, był jak zwykły ból głowy. Zdaje się, że Ernie miał rację. Blokadę pamięci musiała wszczepić Agencja. Nikt inny nie dysponował odpowiednią technologią, i każdy, od głowy państwa, po najędźniejszego górnik na Marsie, wiedział, że wścibianie nosa w plany Agencji może mieć poważne, o ile nie fatalne następstwa. Nie trzeba było być Einsteinem, żeby zrozumieć, iż odkrycie, że temu człowiekowi potajemnie założono blokadę pamięci, nawet jeśli było to odkrycie przypadkowe, zostałoby uznane za bardzo poważne wścibstwo. Agencja była na wpół tajną rządową instytucją. Swoimi mackami obejmowała całą Ziemię i sięgała do kolonii na Marsie. Nie obowiązywały jej żadne cywilizowane prawa. Realizowała swoje cele wszelkimi środkami, choć nikt dokładnie nie wiedział, jakie to były cele i kto je stawiał. Miała rzeczywiście agentów takich, jak Quaid. Brutalnych zabójców, których mogli powstrzymać tylko inni mordercy. Fakt, że ujawnienie jednego z jej agentów było sprawą przypadku, nie miałoby żadnego znaczenia. Trójka pracowników „Recallu” mogła już uważać się za martwą. Dlaczego, do diabła, Quaid tu przyszedł?

McClane nie był zabójcą. Lecz teraz — to straszne — w grę wchodziło jego własne życie. Mogliby zabić Quaida podając mu więcej środków uspokajających.

Mogliby to zrobić zaraz. Ale jak się z tego wykręca? Co zrobią z ciałem? W trójkę ledwo by je ruszyli, nie mówiąc już o tym, jak je dyskretnie stąd wynieść? Czy miał pluskwę? Obawiał się bardzo, że tak właśnie było, a to oznaczałoby, że Agencja ruszy do działania dokładnie w tym momencie, gdy impuls oznaczający funkcje życiowe Quaida zniknie z czyjegoś monitora. Czy mogli go znarkotyzować tak, by znalazł się blisko stanu śmierci a potem gdzieś go podrzucić, gdzie nikt go nie znajdzie? Wiedział, że dla Agencji nie ma takiego miejsca.

Nagle doznał olśnienia. Nie musieli go zabijać ani ukrywać! Musieli ukryć się sami, ukryć „Recall” przed Quaidem i Agencją. Skierować to w inną stronę, wymazać całą pamięć o wizycie tutaj, tak jakby poddali go normalnemu leczeniu, jednak z małą różnicą...

— Okay, zrobimy tak — powiedział. — Renata, wymaż całą jego pamięć o nas i „Recallu”.

— Zrobię, co będę mogła — powiedziała nerwowo. — To się zamienia w brudną robotę.

McClane obrócił się do przerażonego chłopaka.

— Ernie, jak skończycie wsadź go do taksówki. Za rogiem. Niech Tiffany ci pomoże.

Ernie skinął głową. Wyprowadzi Quaida do taksówki i poda kierowcy jego adres domowy. Potem trudno będzie dociec, gdzie i kiedy Quaid wsiadł do taksówki, a jeśli dr Luli dobrze wykona swoją robotę nikt nawet nie będzie tego próbował. Agencja na pewno nie przysłałaby tutaj Quaida, zrobił to na własną rękę, pod wpływem jakiegoś przecieku w założonej przez nich blokadzie warunkowej. Nic dziwnego, że ciągle myślał o Marsie. Jeśli wymażą mu z pamięci „Recall”, nie pociągnie to za sobą żadnych reperkusji. Jeśli wszystko pójdzie dobrze!

Tu leżał klucz. Ale dr Luli wiedziała, że ich życie wisiało na włosku. Znała się na swoim fachu, a on na swoim.

— Zniszczę jego kartotekę i zwrócę pieniądze — powiedział McClane, przelatując w myślach szczegóły. Podniósł się i przemierzył niewielką salę.

— Gdyby ktoś o coś pytał,.. nigdy nie widzieliśmy i nie słyszeliśmy o Douglasie Quaidzie.

Spojrzeli na Quaida, leżącego bezwładnie w fotelu. McClane miał szczerą nadzieję, że już nigdy nie zobaczy tego człowieka.

Powrócił do swojego biura. Oczywiście, pani Killdeer odeszła. Nie żałował już, że stracił transakcję, w gruncie rzeczy czuł ulgę. Musiał w tej chwili zająć się pilniejszymi sprawami. Należało skasować nagrania i przekonać każdego kto widział Quaida, że się omylił, poczynając od recepcjonistki. Mogła mu się potem przydać, ponieważ nie mogli wymazać z pamięci Quaida wszystkiego co robił po drodze, a do tego mógłby odzyskać przytomność, gdy będą wprowadzać delikatne poprawki. Tiffany potrafiła świetnie uspokajać ludzi, zwłaszcza mężczyzn. Teraz pieniądze. Chyba uda się wykasować wpłatę zanim zostanie zarejestrowana na stałe w systemie głównego komputera, nigdzie nie byłoby więc jej śladu. Tak będzie o wiele lepiej. Nie było wpłaty, nie ma zwrotu — nic się nie stało.

Jeśli się uda, życie wróci do normy. Jeśli nie, będą martwi zanim się spostrzegą.

McClane wiedział, że nie prześpi spokojnie tej nocy, a może nawet żadnej nocy w tym tygodniu.

ROZDZIAŁ 8

Harry

Zamroczony Quaid dochodził do siebie na tylnym siedzeniu jakiegoś pojazdu. W okno obok jego głowy tłukł deszcz. Próbował dociec, gdzie się znajduje, lecz jego mózg ledwo funkcjonował.

— Gdzie ja jestem? — spytał nie wiedząc, czy ktoś go słyszy.

— Jest pan w „Taksówce Johnny’ego” — odpowiedział czyjś wesoły głos.

Taksówka. Samochód. Tyle to i sam wiedział! — To znaczy, co ja tu robię?

— Przepraszam, mógłby pan wyrażać się jaśniej?

Quaid zamrugał i odwrócił przytępiony wzrok od mokrego okna ku kierowcy. Miał przed sobą nie człowieka, lecz ciągle uśmiechniętego manekina w staromodnym uniformie taksówkarzy. Przypomniawszy sobie, że firma taksówkowa „Johnny’ego” chlubiła się pseudoludzkim stylem, sądząc, że sfabrykowany człowiek był lepszy niż brak kierowcy. Quaid zwykle używał taksówek reagujących na słowne polecenia, w pełni zautomatyzowanych, zamiast półautomatycznych modeli z programowanymi manekinami. Manekiny były bardzo kłopotliwe. Po pierwsze, dlatego że będąc dość prymitywnymi automatami często nie rozumiały poleceń. Zniecierpliwiony wymówił dokładnie pytanie.

— Jak się dostałem do tej taksówki?

— Wsiadł pan przez otwarte drzwi.

Po drugie, manekiny odpowiadały z denerwującą dosłownością. Rozdrażniony, nagle poleciał do tyłu, gdy Johnny przyspieszył, by zdążyć przed czerwonym światłem. Czy był sens pytać tę zidiociała maszynę dokąd go wiezie? Prościej będzie zaczekać, aż tam dojadą. Tymczasem może rozjaśni mu się w głowie. W co się wpakował? Pamiętał, że skończył pracę, a potem... pustka.

Taksówka podjechała do budynku, który rozpoznał — tu mieszkał. Wracał do domu! Ale dlaczego tak późno? Zapadła noc. Stracił kilka godzin!

Drzwi taksówki otworzyły się, manekin odwrócił głowę i zawołał piskliwie.

— Dziękujemy, że skorzystał pan z „Taksówki Johnny’ego”. Mamy nadzieję, że jazda była przyjemna.

Quaid miał wielką ochotę zetrzeć kretyński uśmiech z tej głupiej gęby, lecz był na to zbyt otępiały. Zimny deszcz, który spadł na niego, gdy wysiadał z taksówki, sprawił mu przyjemność. Błyskawicznie przemókł do nitki, ale przynajmniej częściowo doszedł do siebie. Ruszył w kierunku budynku i wtedy usłyszał znajomy głos.

— Hej, Quaid! — ten brookliński akcent rozpoznałby na końcu świata.

Harry.

Quaid był jednocześnie mile zaskoczony i zaintrygowany.

— Harry! Co ty tu robisz?

Harry poklepał go po ramieniu i wyszczerzył zęby.

— Jak się udała wycieczka na Marsa?

— Jaka wycieczka? — Quaid odgarnął z czoła mokre włosy i odwzajemnił uśmiech, spoglądając nieprzytomnie.

— Jak to, jaka wycieczka? Poszedłeś do „Recallu”, pamiętasz?

— Poszedłem? — próbował sobie przypomnieć zdumiony Quaid.

— Tak, poszedłeś — powiedział Harry.

Razem podeszli do budynku. Quaid ciągle nie był przekonany. Może rzeczywiście tam poszedł. Rozmawiali o „Recallu” w pracy i Harry opowiedział o wypadku z lobotomią. Potem Quaid tam poszedł, ale czy poszedł naprawdę? Gdzieś musiał spędzić mnóstwo czasu...

— Chodź — powiedział Harry. — postawię ci drinka. Opowiesz o wszystkim — wyciągnął rękę, by ująć Quaida pod ramię, lecz ten się cofnął. Drink nie pomoże na kłopoty z głową. Chciał jedynie pójść do domu, gdzie zajęłaby się nim Lori. Później mógłby wszystko przemyśleć...

— Dzięki Harry, ale jestem spóźniony — powiedział trochę niecierpliwie.

— Gówno — warknął chrapliwym głosem Harry.

Twarz wykrzywił mu grymas.

Nim Quaid się zorientował, otoczyło go trzech potężnie zbudowanych mężczyzn w roboczych ubraniach. Pchnęli go w stronę budynku.

— Hej! — krzyknął Quaid.

Nie rozumiał co się dzieje i przestraszony starał się wyrwać. Wówczas coś poczuł. Opuścił wzrok. Harry wciskał mu w żebra pistolet.

— Odpręż się — powiedział spokojnie. Quaid zaniechał oporu, serce biło mu jak szalone. Czterej mężczyźni poprowadzili go przez korytarz do wyjścia awaryjnego, które wiodło na położony niżej parking.

Musiał pójść z nimi. Wiedział, nie mając pojęcia skąd, że za chwilę go uderzą i zepchną po schodach, lub zrobią jeszcze coś gorszego. Musiał odzyskać kontrolę nad

ciałem, jeśli chciał ująć z życiem. Należało działać przez zaskoczenie, szybko i sprawnie. Na razie reagował i mówił wolniej niż powinien. Niech myślą, że ciągle jest oszołomiony. To mu zapewni potem przewagę.

— Co się dzieje, Harry? — odpowiedzi nie było.

Pod wpływem uderzenia adrenaliny, Quaidowi rozjaśniło się w głowie. Pamięć zaczęła wracać! Poszedł do „Recallu” — i co? Chciał wspomnień o Marsie. Rozmawiał z mężczyzną — ale dalszego ciągu nie pamiętał.

Quaid spróbował ponownie.

— Jesteś gliną?

Ciągle nie było odpowiedzi. Moment ataku oznaczał, że wiązał się on z wizytą w „Recallu”. Może ktoś nie chciał, żeby o czymś pamiętał. Ale przecież poszedł tam tylko przez sen o Marsie...

— Harry, co ja takiego zrobiłem? — spytał, przestraszony i zły jednocześnie. Tym razem doczekał się odpowiedzi.

— Za dużo paplałeś, Quaid! — powiedział Harry ze złością.

— Za dużo paplałem? O czym? — zanim zdążył rozszyfrować zagadkę, napastnicy rzucili go na ścianę i brutalnie wykręcili mu ramiona.

— Powinieneś być mnie posłuchać, Quaid — głos Harry’ego brzmiał cicho, lecz przez to groźnie. — Miałem cię trzymać z dala od kłopotów.

Jakich kłopotów? Związanych z pamięcią? Jak pamięć może wyrządzić komuś coś złego? A może wiązało się to z jego snem? Nie, to zbyt śmieszne.

Quaid nie znajdował odpowiedzi, w jego pamięci było za dużo luk, żeby bawić się w zgadywanke. Zrozumiał jednak, że to, co pamiętał, nie miało już żadnego znaczenia, tak czy owak zamierzali go zabić. Wydawało mu się, że Harry był jego przyjacielem. Teraz wiedział, że został oszukany. Wykonywali wcześniej zaplanowaną akcję, nie było w niej miejsca na spontaniczność. Harry decydował o wszystkim. Oznaczało to, że pierwszym ciosem będzie musiał wyeliminować właśnie jego.

— Harry, popełniasz błąd — powiedział świadom, że jeśli teraz nie przejdzie do czynów, nigdy już nie będzie miał drugiej szansy. — Pomyliłeś mnie z kimś innym!

Harry nawet się nie uśmiechnął.

— Ech, koleś, to ty pomyliłeś siebie z kimś innym.

Jeden ze zbirów szarpnął Quaida za ramię. Quaid stracił równowagę. Przez chwilę wydawało mu się, że spada.

Zalała go znowu senna wizja i nagle nabrał pewności, że Mars był związany z tym wszystkim! Sen był zbyt realny! Zbyt uporczywy! Może rzeczywiście tam był — ale nie, to przecież niemożliwe, chciał tylko tam polecieć! Całe dorosłe życie spędził na Ziemi, z Lori. Pamiętał to tak wyraźnie, jak mgliste były wizje z Marsa. Ciągle...

Przypomniał sobie recepcjonistkę w przezroczysto-nieprzejrzystej bluzce i

pomalowanych na niebiesko piersiach.

— Panie Quaid, jest pan niezwykle atrakcyjnym mężczyzną, a gniew nie pasuje do pana — powiedziała. — Jeśli poczułby się pan dzięki temu lepiej, to, ech, nie miałabym nic przeciwko temu, żeby mnie pan gdzieś zaprosił...

Nie, nie, to nie tak, nie gniewał się na nią, zaś ona nie zrobiła mu żadnej propozycji. Chyba śnił na jawie, lub wszczepiono mu to wspomnienie. Było to miejsce wszczepianych wspomnień, snów, które wydawały się realną przeszłością. Chciał wspomnień z Marsa. Rozmawiał z mężczyzną — lecz dalej nadal nic nie pamiętał.

Harry przysunął pistolet do skroni Quaida. Powoli zaciskał palec na spuście. Miał taką minę, jakby rzeczywiście było mu przykro, że musi to zrobić, „to mnie boli bardziej niż ciebie” zdawały się mówić jego oczy.

Twarz Quaida stwardniała. Miał wątpliwości, kogo bardziej zaboli. Gdzieś w zakamarkach mózgu uświadomił sobie, że napastnicy ustawili się w idealnej pozycji umożliwiającej mu atak. Należało przewrócić kostki domina... Harry popełnił klasyczny błąd — trzymał broń zbyt blisko celu. Pięść Quaida wystrzeliła w górę, znacząc smugą swój lot i łamiąc ramię Harry'ego. Pistolet wypalił w ścianę i sufit.

Ramię Quaida uderzyło w szyję Harry'ego, miażdżąc mu tchawicę. Harry nie zdążył nawet jeszcze upaść z otwartymi ustami, gdy Quaid wykonał obrót i huknął pięścią, niczym młotem kowalskim, w serce najbliższego napastnika. Mężczyzna ciągle stał, chociaż był już martwy, kiedy Quaid zwrócił się ku następnemu. Schwycił jego głowę, obrócił ją gwałtownie. Dał się słyszeć trzask. Twarz napastnika była teraz po niewłaściwej stronie ciała, a szeroko otwarte oczy patrzyły przed siebie, nic nie widząc. Ostatni zbir miał trzy sekundy na reakcję, pochylił się do przodu wyciągając broń. Na spotkanie z jego głową popędziło kolano Quaida, wbijając nos prosto w mózg. Morderca upadł ze spłaszczoną twarzą. Minęło pięć sekund od momentu, gdy palec Harry'ego zaczął zaciskać się na spuście. Czterech mężczyzn nie żyło.

— Spowolniałeś, przyjacielu!

Co? Quaid potrząsnął głową. Nikogo nie było wokół. Tylko on i zabici mężczyźni, tworzący makabryczną grupę rozrzuconą na schodach. Jeden z nich był kiedyś jego przyjacielem...

Zdumiony gapił się na ciała. Jak to się stało?... Spojrzał na swoje zakrwawione ręce. Czy należały do niego?... Czy to one spowodowały masakrę? A jeśli należały do kogoś innego?

Pamiętał, że myślał o ustawieniu grupy mężczyzn i o dominie. Potem — to.

Zebrał myśli. Cokolwiek się wydarzyło, obwinia jego, jeśli tu zostanie!

Musiał wydostać się z tego koszmaru i wrócić bezpiecznie do domu.

ROZDZIAŁ 9

Żona

Quaid wbiegł po schodach na korytarz. Nie zważał na innych mieszkańców, gapiących się na niego. Zostawili mu windę do wyłącznej dyspozycji. Zdyszany wpadł do mieszkania.

Co za ulga!

Ale jeszcze nie mógł pozwolić sobie na odpoczynek. Skoro dopadła go jedna grupa napastników, to lada chwila mogła zjawić się tu następna. Wiedzieli, gdzie mieszkał.

Lori trenowała wewnątrz holograficznej konsoli, poruszając rakieta tenisową ruchami doskonale zsynchronizowanymi z holograficzną tenisistką. Hologram zajarzył się jasną czerwienią na znak, że zdobyła punkt. Zadowolona z treningu uśmiechnęła się do Quaida.

— Cześć, kochanie — powiedziała.

Quaid przeleciał przez mieszkanie, trzymając głowę poniżej linii okien. Pogasił światła, potem odepchnął Lori i wyłączył konsolę. Spojrzała na niego zdziwiona.

— Jacyś faceci właśnie próbowali mnie zabić! — wykrzyknął.

Zamarła.

— Dusiecie?

— Nie, szpiedzy, czy coś takiego. Harry był z nimi.

Lori cofnęła się o krok, stając na wprost okna. Otworzyła usta...

— Padnij! — schwycił ją i rzucił na podłogę. Zasłonił żonę własnym ciałem.

Teraz każda kula trafiłaby najpierw jego. — Harry, był ich szefem. — wyjaśnił

Lori wydobyła się spod niego, zdumiona próbowała bezskutecznie doprowadzić do ładu pognieciony strój tenisowy i znaleźć jakiś sens w tym, co mówił Quaid.

— Co się stało? Dlaczego szpiedzy mieliby cię mordować?

Świetne pytanie!

Zerknął przez okno.

— Nie wiem — wyszeptał. — To się wiąże z Marsem.

Oto magiczne słowo!

Lori zmarszczyła brwi. Zaczynała wątpić, czy Quaid jest przy zdrowych zmysłach. W tym momencie, nie mógłby ją za to potępiać.

— Z Marsem! Przecież nigdy nie byłeś na Marsie!

— Wiem. To wariactwo. Po pracy poszedłem do „Recallu” i w drodze do domu...

— Poszedłeś do tych rzeźników od mózgu? — nie chciała w to uwierzyć.

— Daj mi skończyć! — krzyknął, jednocześnie w pełni uświadamiając sobie wydarzenia ostatnich minut.

Nie mógł zaprzeczyć, że na dole doszło to małej jatki. Zanim poszedł do „Recallu” jego życie było normalne, nawet nudne, jedynym urozmaiceniem był sen o Marsie. Po wizycie w „Recallu” jego życie pogmatwało się i groziła mu śmierć. Czy nawet najbardziej realistyczna wszczepiona pamięć mogła wyjaśnić pojawienie się bandy Harry’ego?

— Co mieli ci zrobić — zmartwiona Lori żądała wyjaśnień. — Powiedz mi!

— Wziąłem wycieczkę na Marsa — pamięć powróciła, gdy wracał taksówką do domu, nie pamięć o Marsie, która wydawała się nie istnieć, ale jego zgoda na dokonanie wszczepu.

Coś się musiało stać — ale czy tłumaczyło to próbę zabicia go?

— O, Boże, Doug! — pewnie pomyślała sobie, że to ona pchnęła go do tego kroku.

Była przerażona.

— To nie ważne. Ci faceci chcieli mnie zastrzelić... — przerwał, uświadamiając sobie wyraźniej, co się stało. — Ale ich pozabijałem!

Choć z trudem przychodziło mu w to uwierzyć, był przekonany, że wspomnienia sprzed kilku chwil były prawdziwe. Miał na to dowód — zakrwawione ręce. Rozmazane ślady krwi widoczne były także na tenisowym stroju Lori.

W obecnej chwili, Lori wcale się nimi nie przejmowała. Zmusiła się do zachowania spokoju.

— Doug, proszę, posłuchaj mnie. Nikt nie próbował cię zabić. Masz halucynacje.

— Powiedziałem prawdę, do jasnej cholery! — wybuchnął.

Rzucił się w stronę drugiego okna i wyrzwał na zewnątrz.

Lori podeszła i wzięła go za ramię.

— Przestań latać wkoło i posłuchaj mnie!

Quaid stał cicho, patrząc na żonę.

— Ci rzeźnicy z „Recallu” spieprzyli swoją robotę — powiedziała poważnie. — Masz paranoiczne halucynacje.

Podniósł zakrwawione ręce.

— To są paranoiczne halucynacje?

Nie było sensu się sprzeczać. Sam prawie nic nie rozumiał. Pobiegł do łazienki, unikając linii okien. Ich apartament znajdował się wysoko, lecz dobry snajper dałby

sobie radę, zwłaszcza gdyby strzelał na wprost, z innego budynku.

Lori zaczęła, aż zamkną się drzwi do łazienki, a potem szybko podeszła do wideofonu. — Doug — krzyknęła przez ramię — dzwonię po lekarza!

— Nie, nie dzwoń po nikogo — doleciał z łazienki stłumiony głos.

Lekki uśmiech pojawił się na ustach Lori, gdy na ekranie ukazała się twarz mężczyzny.

— Richter — odetchnęła.

W tej twarzy było coś drapieżnego, twardego i okrutnego, lecz złagodniała, gdy Richter usłyszał szept Lori.

— Witaj — powiedział.

Posłała mu cichy pocałunek.

W łazience Quaid zmywał krew z rąk. Należała prawdopodobnie do zbira, któremu wbił nos do mózgu. Ciągle nie rozumiał, jak potrafił zrobić coś takiego. Pewnie, wiedział jak się walczy. stoisz mocno na nogach, wywijając dwoma pięściami osłaniasz twarz i próbujesz przebić się przez gardę innego robotnika, starając się trafić w ramiona lub głowę. Lecz on uderzył kolanem. Innemu po prostu skręcił kark, a Harry'emu zmiażdżył tchawicę. W uczciwej walce nie było miejsca na takie sztuki. A nawet gdyby było, to w dalszym ciągu nie wiedział, gdzie się tego nauczył. Zamiast przepychać się niezgrabnie, zaatakował z ogromną szybkością, uderzył cztery razy, a każdy cios był brutalny i dokładny. Ogarnął go lęk na to wspomnienie. Oczywiście, że był przerażony, na chwilę zamienił się w maszynę do zabijania.

Pogrążony w rozmyślaniach, skończył zmywać krew z rąk. Chlusnął zimną wodą w twarz i popatrzył w lustro. Nawet nie był drażniony! Coraz bardziej przypominało to czystą fantazję.

Wiedział, że to nieprawda. Wytarł twarz i ręce, zgasił światło i otworzył drzwi do łazienki. Z jakiegoś niezrozumiałego dla siebie powodu, zamiast w drzwiach stanął z boku, jakby chciał kogoś przepuścić.

Świetliste pociski rozpruły powietrze wpadając do ciemnej łazienki. Lustro, ściany i armatura rozleciały się na setki części. Wokół Quaida bryzgało szkło.

Skoczył w przód i na czworakach wpełznął w głąb mieszkania. Wróg przysłał następny oddział. Podejrzewał, że tak się stanie, i ostrożność uratowała mu życie. Napastnicy nie skradali się już jak koty, żeby wepchnąć go bez obrażeń do samochodu, lecz stali się bardziej przebiegli.

— Lori — zawołał turlając się po podłodze za sofę — Uciekaj!

Salon był pogrążony w absolutnej ciemności, w której majaczyły tylko blade prostokąty okien, za którymi migotały światła miasta.

Quaid poruszył się, kolana potarły o podłogę wywołując hałas i kule gruchnęły w oparcie sofy, centymetry od jego głowy. Odchylił się w górę, a potem w bok i rzucił pod

stolik do kawy, przetaczając się cicho. Zdumiał się, nie przypuszczał, że potrafi się tak zachowywać. Zastygł w miejscu. Nadśluchował. Słyszał jak zamachowiec porusza się po pokoju. Strzelec był tuż obok. Korzystał z osłony ciemności. Lori nie odpowiadała. Na pewno załatwili ją po cichu, gdy był w łazience. Jeśli zrobili jej krzywdę, będzie musiał wyrównać jeszcze jeden rachunek! Lecz najpierw należało ocalić własne życie.

Poczuł jak twardnieją mu mięśnie twarzy. Jego pamięć mogła być czysta, lecz uświadomił sobie, że nie po raz pierwszy znalazł się pod ostrzałem. Wiedział, co ma zrobić.

Po cichu ściągnął poduszkę z sofy. A potem cisnął przez pokój. Ogniste smugi rozerwały poduszkę na strzępy.

Quaid skoczył. Runął przez fotel na źródło ognia, poruszając się znów z szybkością i pewnością, które go zdumiały. Zderzył się z kimś. Kule latały w powietrzu jak oszalałe, tłukąc w ściany i sufit.

Wyrwał pistolet i odrzucił go precz.

Przygwoździł zamachowca. Walnął w ramię, nogę, próbując zapanować nad przeciwnikiem. Uderzył w korpus i usłyszał jęk bólu u wydobywający się razem z oddechem. Strzelec był szczupły, raczej zwinny niż silny. Quaid wystarczająco przyduślił napastnika ramieniem, by ten zaprzestał walki. Sięgnął do kontaktu. Zabłyśło światło.

Quaid mrugnął. Spojrzał na osobę, którą trzymał.

Była to kobieta, włosy miała w nieładzie. Lori!

Zdziwiony i zdruzgotany patrzył na nią. Nie mógł pojąć, że strzelała do niego własna żona.

— Lori... — zaczął.

Nagle stanęła mu na nodze. Nawet przez but przyniosło to pożądany efekt, Quaid poczuł ból i na sekundę rozluźnił chwyt. Łokciem uderzyła go w twarz, zmuszając, by się cofnął, lecz ucisk jego ramion nie zelżał. Wyteżając siły, obróciła się. Okładała go serią gwałtownych ciosów w pierś, szyję i twarz. Wiedziała, co robi, nie były to delikatne klapsy, lecz dobrze wycelowane i zaskakujące mocne uderzenia, które siały spustoszenie. Lżejszy mężczyzna leżałby już znokautowany.

Quaida chroniła rozbudowana sylwetka, automatycznie napiął mięśnie i odwrócił głowę, broniąc się przed ciosami, które ześlizgiwały się nie przynosząc spodziewanego efektu.

Oszołomiony bardziej tożsamością napastnika niż ciosami, Quaid nie oddawał uderzeń. Jak jego cudowna, kochająca żona mogła zrobić coś takiego? Jeszcze dziś rano była tak miła i pociągająca, jej ręce tak łagodne i podniecające! Mężczyznę uderzyłby zanim pierwszy cios tamtego doszedłby celu. Ale uderzyć Lori...

Lori dopiero się rozgrzewała. Teraz miała okazję poćwiczyć. Kolejne razy przygotowywały ostateczny cios, którego nie będzie można uniknąć ani sparować.

Uderzył ją w brzuch. Cios był mocny, ale nie szybki, jakby Quaid pamiętał o niewielkiej wadze Lori. Uderzył od niechcienia, nadal nie zamierzał jej skrzywdzić, ciągle wstrząśnięty jej gwałtownym atakiem osłabł na sekundę. Narkotyk nie przestał jeszcze działać, co tylko pogarszało sytuację. Ale nawet taki słaby cios rzucił Lori aż do kuchni.

Utrzymała się jednak na nogach, broniąc się wszelkimi sposobami przed upadkiem. Quaid nigdy by nie przypuszczał, że Lori utrzymuje tak znakomitą formę. Chyba nie znał jej dostatecznie. Ale dlaczego przystąpiła do spisku na jego życie?

Nie interesowała się nawet Marsem!

Ruszył ku niej chwiejnym krokiem, wiedząc, że musi ją przewrócić i wypytać. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że ona mogłaby wiedzieć, co kryje się za tą zdumiewającą sytuacją, ale kiedy teraz przekonał się, że Lori jest świetnie zorientowana, musiał wydobyć z niej wszystkie informacje.

Lori chwyciła nóż do mięsa z półeczki na ścianie. Poruszała się pewnie i spokojnie. Quaid cofnął się, rozumiejąc, że ma przed sobą zawodowca. Rozejrzał się w poszukiwaniu pistoletu i dojrzał go po drugiej stronie pokoju. Ruszył w tamtym kierunku, lecz Lori zagroziła mu drogę, a zwinne cięcie noża przejechało po jego ramieniu. Odskoczył w bok i spróbował ponownie sięgnąć po pistolet, lecz ona chlasnęła go przez pierś. Osaczała go, za każdym razem, gdy skupiał uwagę na pistolecie zamiast na niej, cięła go, ale nie potrafiła zadać śmiertelnego ciosu. Quaid zamienił się w masę mięśni pokrytą ranami, z których kapała krew.

Udał, że lewą ręką sięga po pistolet. Lori pchnęła nożem zadając następną ranę — i w tym momencie została trafiona przez prawą pięść Quaida. Solidny cios wyłądował na jej szczęce.

Lori poleciała w tył ogłuszona. Quaid szybko podniósł pistolet i wycelował w nią.

— Mów!

Uparcie milczała. Wsunął lufę pistoletu do jej ucha. Miał teraz do wykonania zadanie. Zawładnęła nim druga, bezlitosna osobowość.

— Dlaczego własna żona próbuje mnie zabić?

— Nie jestem twoją żoną — powiedziała.

Odciągnął kurek pistoletu. Lori wpadła w panikę.

— Przysięgam na Boga! Zobaczyłam cię pierwszy raz sześć tygodni temu! Nasze małżeństwo jest tylko wszczepem pamięci — aaach!

Quaid chwycił ją za włosy i szarpnął do tyłu. Jak mogła twierdzić, że osiem lat małżeństwa nie istniało? Pamiętał je doskonale!

Pamiętał jak w dniu ich spotkania przeszła powolnym krokiem przez ulicę. Pamiętał ślub, rzucający się w oczy kontrast między skromnym ubraniem własnego ojca, i smokingiem ze skór żab marsjańskich jaki nosił jej ojciec. Pamiętał podróż poślubną tak wyraźnie, jakby odbyli ją wczoraj, jazdę transkontynentalną koleją, apartament

w drogim hotelu, gdzie posiłki podawała im istna flota służących. Spał wtedy po raz pierwszy na żelatynowym łóżku i rozkoszował się smakiem wenusjańskiego szampana. Pociągali go z kryształowych kielichów wyrosłych w stanie nieważkości na jednej ze stacji kosmicznych. Ciągle miał przed oczami dziwną formę kryształu, czuł w dłoni jego dotyk i smak musującego niebieskiego wina.

Cofnął się myślami do pierwszych kilku lat, które spędzili w jego dzielnicy. Lori nie pasowała do tego miejsca, wyglądała jak księżycowy brylant na stercie śmieci i przypominał sobie jej zadowoloną minę, gdy w końcu zgodził się przeprowadzić do nowego mieszkania. Nigdy nie zapomni jak świętowali pierwszą noc... Jak Lori mogła powiedzieć, że to wszystko się nie wydarzyło? Pamiętał. A teraz próbowała go zabić i to nie przez pomyłkę. Wiedziała kim jest i chciała jego śmierci. To znaczy, że w tym co mówiła, tkwił jakiś sens.

— Myślisz, że jestem idiotą? — powiedział z goryczą Quaid.

Spojrzenie i sylwetka Lori wskazywały, że dokładnie tak myślała. Stała się zimną dziwką, tak różną od cudownej kobiety, jak różnił się Quaid od maszyny do zabijania, która opanowała jego ciało.

Jej strój tenisowy był podarty, a na twarzy pojawił się siniak. Przybrała wyniosłą minę.

— Pamiętam nasz ślub! — zawołał.

— Wszczepiła go Agencja — odparła stanowczym tonem.

— A miłość?

Pojął teraz, że nie kochał jej naprawdę. Pamiętał, że ją kochał, lecz prawdziwsze uczucie żywił dla kobiety z Marsa. Och, Lori była wspaniała w łóżku, jednak to nie było to samo. Ta nedorzeczna uwaga nabierała sensu!

— Wszczepiona.

— Nasi przyjaciele, moja praca, osiem wspólnych lat? Czy Agencja też mi to wszczepiła?

— Praca jest prawdziwa — powiedziała spokojnie. — Lecz Agencja ją zorganizowała.

— Gównno — Quaid odepchnął Lori, nadal do niej celując.

Starał się zachować sceptycyzm, lecz jego pewność zaczęła się załamywać. To wyjaśnienie rozwiązało zbyt wiele małych — i dużych — tajemnic. Czy dlatego wysmiewała się z jego snu o Marsie, że należało trzymać go z dala od tej planety? Czy dlatego Harry próbował odwieść go od wizyty w „Recallu”, że nie powinien był nawet pamiętać o Marsie? Nie rozumiał ciągle wielu szczegółów, ale podsunęto mu to przynajmniej trochę pomysłów, którymi będzie musiał się zająć.

Był tak pochłonięty życiem, które uważał za prawdziwe — cudowną żoną i miłym przyjacielem — że nigdy nie przypominałby sobie życia, które wiódł kiedyś

rzeczywiście. To tak, jakby zburzono stary gmach, by na jego miejscu wznieść nowy i bardziej solidny.

Lori odezwała się, potwierdzając niektóre z jego podejrzeń.

— Wymazali twoją prawdziwą tożsamość i wszczepili ci nową. Wpisano mnie w nią jako twoją żonę, żebym mogła cię obserwować i upewnić ich, że nic nie pamiętasz. Przykro mi, Quaid — powiedziała bez cienia żalu w głosie. — Twoje życie to po prostu sen.

Osunął się po ścianie. Fakt, że zaczynało to mieć sens nie ułatwiał przyjęcia całej tej prawdy. Przedtem zajmował go tylko sen, teraz snem stało się całe jego życie.

— Jeśli nie jestem Douglasem Quaidem, to kim?

Wzruszyła ramionami.

— Bo ja wiem. Ja tu tylko pracuję.

Dlaczego była taka szorstka? Jej pozę potwierdzały słowa. Udawała miłość do niego, taka była rzeczywistość. Quaid podniósł się z podłogi i usiadł w fotelu. Pocierał czoło, zastanawiając się jak ma zareagować. Stwierdzenie, że życie, które pamiętał było udawane nie zniszczyło jego prawdziwego życia, tyle że nadal było czystą kartką. Nie wiedział dokąd ma pójść ani co robić. Stracił grunt pod nogami i ciągle spadał. Jakie czeka go lądowanie?

Lori zrobiła się nagle bardziej przyjacielska. Jej twarz złagodniała, zgubiła gdzieś swoją obojętność. Przypominała kobietę, którą znał.

— Będzie mi ciebie brakować, Quaid — powiedziała. Byłeś najlepszym zleceniem, jakie kiedykolwiek otrzymałam. Naprawdę.

— Jestem zaszczycony — powiedział, nie ufając w ani jedno słowo.

Pokazała mu dostatecznie jasno, jak mało ją obchodzi, do czego zmierzała teraz?

Wziął ją pod łokieć i pociągnął za sobą, przykładając jej pistolet do głowy, w stronę okna. Wyjrzał. Przygotowany był na każdy fałszywy ruch z jej strony, nie wybiję mu pistoletu, tak jak on wybił broń Harry'ego. Nawet nie musiał na nią patrzeć, czuł jej ruchy.

Gdzie byli inni?

Był pewien, że są na zewnątrz. Chociaż nie pamiętał żadnych szczegółów, wiedział jak wykonuje się takie zadania. Sprawcy nie działali w pojedynkę. Zawsze tworzyli ścisły układ, jeden krył drugiego. Mógł powstrzymać ich na chwilę, zabijając czterech i wyłączając Lori, lecz to nie było jeszcze zwycięstwo, zaledwie pokrzyżował dwa z ich forteli.

— Na pewno nie chcesz...? — spytała. — Jak za dawnych czasów?

Wyciągnęła ku niemu rękę namiętym gestem.

Robiło mu się słabo od ironii w jej słowach. Jeśli to co Lori mu mówiła, było prawdą — a on zaczynał w to wierzyć — to ich światy były sobie obce. Jeśli nie miał przeszłości,

skąd mógł mieć terazniejszość?

Quaid nie był człowiekiem skłonny do głębszych rozmyślań, był człowiekiem czynu. Gdy pojawił się sen o Marsie, poszedł do „Recallu”, żeby coś z tym zrobić, czy też przynajmniej próbował tam pójść. Ale co ma zrobić w obecnej sytuacji? Co zrobić, żeby odzyskać życie, które utracił?

Chwilowo był w kropce. Musiał znaleźć sposób, żeby przeżyć następny atak, zanim będzie mógł poszukać zaginionych fragmentów swojej tożsamości. Zacisnął szczęki. Mogli oszukać go raz, lecz drugi raz nie da się nabrać.

Wyciągnęła ku niemu rękę.

— Wiesz, że nie jesteśmy sobie obcy.

Wyjrzał przez drugie okno, by zająć bardziej umysł niż oczy. Wiedział, że nie zobaczy napastników. Jeśli tam byli, mogliby wkrótce sprzątnąć go z zasadzki. Musiał działać szybko. Ale jak?

— Jeśli mi nie ufasz, możesz mnie związać — powiedziała Lori, obciągając dekolt, żeby piersi stały się bardziej widoczne.

— Nie wiedziałem, że masz takiego bzika, na punkcie seksu.

— Czas, żebyś się dowiedział.

Do czego zmierzała?

Wiedział, że nie interesuje ją miłość z nim. Odwrócił się do niej — i złapał jej spojrzenie na monitor.

Och, Boże.

Jedną z części ekranu był monitor kontroli bezpieczeństwa ukazujący korytarz w budynku. Czterech mężczyzn zdążyło do windy. Dowodził nimi potężny facet, o brutalnym wyglądzie, przypominał psa trenowanego do ataku nieustannym biciem.

Quaid spojrzał na Lori i przycisnął pistolet do jej głowy.

— Zdolna dziewczynka — powiedział przez zęby.

— Nie zastrzelisz mnie Doug, nie mógłbyś — powiedziała, zachowując przyjacielską i nieco bezradną pozę. — Nie po tym wszystkim, co razem przeszliśmy.

Nienawidził się za to, że nadal go pociągała. Nie chciał jej skrzywdzić, chociaż próbowała go zabić.

— Masz rację Lori. Było nam przyjemnie.

Uśmiechnęła się.

— Tak, to prawda Doug. Jeśli chcesz, możemy...

Nie był aż takim głupcem. Wiedział, że ma niewiele czasu.

— Kim oni są?

— Kto?

— Nie zmuszaj mnie, żebym zrobił coś czego nie chcę.

Przestała udawać.

— Ten duży to Richter. To bydlę. Jego współnikiem jest Helm, niewiele lepszy. Słuchaj, Doug, przyznaję, że próbowałam zająć twoją uwagę. To moja praca. Ale mogę pomóc ci uciec przed nimi, jeśli...

Opuścił pistolet i dotknął jej piersi. Uśmiechnęła się zachęcająco, wciągając powietrze. Nagle uniósł pistolet i wyrzucił ją w głowę. Upadła nieprzytomna.

— Miło było cię „poznać” — powiedział, zdumiony własnym postępowaniem.

Jego druga osobowość znów zaczęła dominować, wykonując to, co pożądane. Miał nadzieję, że ten drugi facet w nim wiedział co robi, bo on nie miał najmniejszego pojęcia!

ROZDZIAŁ 10

Metro

Quaid popędził korytarzem, obok drzwi sąsiedniego mieszkania, minął windę. Słyszał jak powoli nadjeżdża, w środku na pewno byli zabójcy. Zginie, jeśli go zobaczą. Miał pistolet, lecz ich siła ognia była dziesięciokrotnie większa. Zanurkował przez drzwi na klatkę schodową, dosłownie na chwilę przed zatrzymaniem się windy.

Wstrzymał oddech i przycisnął się do ściany, nadśluchując. Wypadli z windy i rzucili się do jego mieszkania. Jeden, dwóch, trzech, czterech — nie wiedział, skąd na podstawie głuchych odgłosów ich kroków potrafił tak dokładnie wyliczyć ilość napastników, chyba przeszedł bardzo wyspecjalizowany trening, gdzieś, kiedyś, w wymazanej części pamięci. Może było z nim tak, jak z tym facetem, który na pierwszy rzut oka potrafił podzielić dokładnie stado krów. liczył nogi i dzielił przez cztery. Ale teraz nie było czasu na żarty, słyszał tylko kroki, naliczył ich sporo.

Czterech — tylu napastników widział na monitorze. To znaczy, że nie zostawili nikogo, by pilnował wyjścia. Popełnili kolejny błąd taktyczny. Ale czego można oczekiwać od najemnych zbirów? Nie byli zawodowcami, po prostu najemnicy, którym mózgi nie były potrzebne.

Dobra. Ruszył, zatrzymując się tylko na kilka sekund, by nieco uspokoić oddech. Pognał w dół, biorąc kilka schodów na raz, nieskończoną spiralą, która prowadziła na parter.

Wspinaczka po dwa, trzy schody byłaby łatwiejsza niż zbieganie w ten sam sposób, lecz jego trening obejmował najwidoczniej także takie sytuacje. Dosłownie zlatywał po cztery, pięć, sześć schodów, poruszając się ze swobodą tancerza baletu. Nabyte kiedyś umiejętności ułatwiały mu długą drogę. Zdążył wypytać Lori, gdy napastnicy jechali na górę, bo wiedział, ile zajmie im to czasu. Nawet najszybsza winda nie pokona w ułamku sekundy dwustu pięter. Winda była szybka, prawdziwa rakieta, ale jej przyspieszenie dostosowano do wytrzymałości mieszkańców budynku, co umożliwiało jazdę bez przykrych dolegliwości, nawet jeśli windę przełączano na „pośpiech”. Quaid miał więc

trochę czasu.

Lecz teraz sam musiał pokonać szybko dwieście pięter. Dzięki nabytym umiejętnościom zbiegał z maksymalną szybkością. W linii prostej oznaczałoby to upadek z dwóch tysięcy stóp, a tak miał przed sobą milę schodów. Czy mógł ją przebiec w pięć minut? Miał nieznaczną przewagę nad napastnikami, ponieważ będą potrzebować minuty, żeby upewnić się, iż uciekł, może dwie, by ściągnąć windę i trzy na zjazd. Sześć minut, — mniej, jeśli nie będą musieli czekać na windę. Będzie miał najwyżej minutę przewagi, jeżeli dopisze mu szczęście.

Ruszył więc w dół z samobójczą prędkością. Samobójstwem byłoby, gdyby tego nie zrobił. Wiedział, że kiedy dotrze do pierwszego piętra będzie mógł przeciąć budynek i zbiec po ukośnym dachu osłaniającym podjazd dla dostawców. Dzięki temu szybciej dostanie się do stacji metra. Czuł się w swoim żywiole. Nie uciekał przed pożarem, czy innym kataklizmem, lecz przed mordercami. Pięć, dziesięć, piętnaście pięter — wreszcie stracił rachubę, co i tak było bez znaczenia, jako że najważniejsze było pierwsze piętro.

Jedną minutę! — pomyślał. — Daj mi jedną minutę, a nigdy mnie nie znajdą! Co oznaczało sześć minut dla nich. Czy będą dostatecznie nierozsądni, żeby tracić czas w mieszkaniu. Módl się, żeby byli!

Richter wpadł pierwszy do mieszkania. Twarz wykrzywił mu grymas gniewu, gdy na podłodze zobaczył nieprzytomną Lori. Nie chciał, żeby podejmowała się tego zadania, choć było ono istotne dla jej — ich — kariery w Agencji. Ostrzegał Lori, że człowiek o nazwisku Quaid jest niebezpieczny, a ona po prostu zarzuciła mu, że jest nadmiernie ostrożny. No cóż, teraz już tak nie będzie twierdzić. Ukląkł obok nieprzytomnej kobiety i zaczął ją delikatnie cucić.

— Lori! — zawołał miękko — Lori!

Mrugnęła powiekami i jęknęła z bólu, gdy dotknęła sińca na skroni.

— Dobrze się czujesz?

Skinęła głową.

— Przepraszam — powiedziała słabo. — Chyba narozrabiałam.

— Co on pamięta?

— Na razie, nic.

Helm przygotował tymczasem mały wykrywacz i włączył go naciśnięciem guzika.

Podniósł urządzenie i obracał powoli. Nagle czerwona kropka zamigotała, gdy przesunął się koło okna. Helm nakierował wykrywacz w tym kierunku i wcisnął następny guzik. Teraz mały ekran wykrywacza ożył, wyświetlając trójwymiarowy plan budynku, widziany z miejsca w którym stali. Wyglądał jak model zatopiony w przezroczystym szkłe. Tuż przy podłożu poruszała się z szaleńczą szybkością czerwona kropka, posuwając się ruchem spiralnym, niczym zatruta mucha. Quaid zbiegał po schodach i to w dobrym czasie.

Nagle kropka opuściła budynek. Richter rzucił się do okna, mając przy sobie Helma. Rozpoznali Quaida biegnącego po pochyłym dachu w kierunku stacji metra.

— Gównu! — wrzasnął Richter. — Jazda za nim!

Helm i dwaj agenci wylecieli z pokoju, został tylko Richter. W kompletnej ciszy postawił Lori na nogi i wziął ją w ramiona. Tak dawno jej nie przytulał i tylko jeden Bóg wiedział, kiedy znów będzie ku temu okazja.

— Spakuj się i zmykaj stąd — powiedział, wyzwalając się z jej objęć.

— Co będzie, jeśli go sprowadzą z powrotem? — spytała Lori.

Richter zatrzymał się w drzwiach. Odwrócił się i Lori przeraził wyraz jego oczu.

— Nie sprowadzą — powiedział.

Odwrócił się gwałtownie i wyszedł.

Quaid odetchnął z ulgą dopiero, gdy bezpiecznie dotarł do stacji metra. Miał minutę przewagi, może więcej. Czemu ci głupcy tracili czas w mieszkaniu, z Lori? Winny był jej podziękowanie, chociaż wiedział, że jak na ironię wcale nie stanęła po jego stronie dobrowolnie. Było mu przykro, że ją uderzył, lecz tylko w ten sposób mógł powstrzymać ją przed wywołaniem alarmu, zanim te zbiry dotarły na górę. Nie kochał jej, chociaż ją lubił i za nic w świecie nie zadałby jej bólu. Przynajmniej przed tą dziwną sprawą. Wydawała się zbyt dobra, żeby być szczerą, a teraz wiedział, że była zbyt dobra, żeby być szczerą. Po prostu wykonywała zlecenie. Sześć tygodni — nic dziwnego, że się nie zmieniła w ciągu rzekomych lat, jakie niby razem przeżyli! A to było tylko sześć tygodni! Myślał, że prowadzi nudne życie. Teraz na pewno takie nie było. W tym momencie z wdzięcznością przyjąłby je z powrotem. Przynajmniej byłby bezpieczny i nie musiałby ucieczką ratować życia, nie mając pojęcia dokąd iść. Jeśli przeżyje, będzie trzymał się jak najdalej od „Recallu”, będzie miał oczy i uszy otwarte i po cichu sprawdzi swoją sytuację, dopóki nie dowie się wystarczająco wiele, by mógł żyć nie ściągając sobie na kark najemnych morderców.

Ludzie gapili się na niego. Quaid zwolnił, zerkając od czasu do czasu przez ramię. Zamierzał zgubić się w tłumie, gdyby dostrzegł napastników. Czy byli blisko? Miał nadzieję, że utrzyma minutową przewagę i tak też się stało, ale wiedział, że nie pozwolą mu spokojnie odejść. Musiał złapać pociąg i pozbyć się ich. Jak zwykle minęło kilka minut zanim nadjechał pociąg. Quaid oczekiwał poza obszarem bezpieczeństwa, nie chcąc zdradzić się przedwcześnie. Trzy, cztery minuty — czy to się nigdy nie skończy? Tkwił tu jak idiota! Uciekając z budynku miał pewną przewagę, ale szczęście się odwróciło.

Usłyszał nadjeżdżający pociąg. Uda mu się! Podszedł do wejścia dla pasażerów. Pojął, że lepiej pozbyć się broni, mogła być oznakowana w taki sposób, żeby mogli ją zlokalizować. Poza tym z pistoletem nie przeszedłby przez kontrolę bezpieczeństwa, więc nie mógł wsiąść z nim do pociągu. Jeszcze raz zerknął za siebie — i zobaczył

Richtera, wbiegającego ze współnikami na dworzec. Cholera! Jeszcze trzydzieści sekund i byłby czysty! Jego plan uległ błyskawicznej zmianie. Ruszył się z miejsca, zatrzymując pistolet. Jakie znaczenie miał alarm, skoro rozpoznają go mordercy? Przeszedł obok ekranów rentgenowskich. Patrzył na ekran małego monitora ustawiony na wprost kolejki pasażerów. Był chodzącym szkieletem, a pistolet w kościstej dłoni świecił jasną czerwienią! Zawył alarm i rozbłysły czerwone światła. Strażnicy skoczyli do przodu, by zagrodzić mu drogę. W tej sekcji bezpieczeństwa nie znano słowa opieszałość.

Nie mógł jeszcze biec, bo w wąskim tunelu przed nim kłębili się ludzie. Myślał, że będzie miał wolną drogę, a pasażerowie, gdy zacznie się alarm uskoką na boki, lecz oni zdumieni, stali bez ruchu. Tymczasem strażnicy wypełnili ekran, a ich pistolety błysnęły czerwienią.

Czy mógł uciec inną drogą?

Widoczny na monitorze jego szkielet zatrzymał się i odwrócił, zachowywał się niezdecydowanie.

Zobaczył nadbiegających Richtera i Helma. Coraz gorzej!

Nie miał dokąd uciec, ani w przód, ani w tył. Skoczył w bok, przeskoczył balustradę i rzucił się w kierunku aparatów rentgenowskich. Na ekranie nagle jego szkielet urósł do ogromnych rozmiarów, chwilę później Quaid zniszczył obraz własnych kości rozbijając ekran. Kobiety krzyczały histerycznie.

Przebił się — ale nie do pociągu. Nie uciekł ścigającym. Dokąd teraz? Znowu zadecydowała ukryta osobowość. Pobiegł szybko przed siebie, mijając zwodami tłum gapiów, i podążył w dół klatką schodową. Wiodła do pociągów na niższych poziomach. Lecz nadal nie wiedział, dokąd właściwie pędzi. Mógł złapać pociąg — do której stacji?

Richter i jego grupa pojawili u szczytu schodów. Sięgnęli po wykrywacz. Migocząca czerwona kropka znaczyła drogę ofiary poruszającej się w dół.

Richter przestawił urządzenie, by sprawdzić plan stacji. U podnóża klatki schodowej znajdowały się ruchome schody prowadzące w górę.

Ofiara wybierze jedno z nich, próbując wymknąć się na ulicę, gdzie mogłaby się zgubić w tłumie. Nie będzie wsiadał do pociągu, bo nie ma dokąd jechać. Więc zamiast gonić za nim i ciągle spóźniać się o ułamki sekund, okrążą go. Wtedy już nie będzie miał dokąd uciec. Była to brudna robota, cholerny pech chciał, że będą musieli zabić człowieka w miejscu publicznym na oczach tłumu. Wkrótce robota zostanie jednak wykonana, oni znikną i nikt nie będzie stawiał pytań. Dał znak, by każdy z agentów z wyjątkiem Helma przejrzał ten poziom.

— Jazda, już — polecił, biorąc Helma ze sobą.

Pognali po schodach za Quaidem. Quaid dobiegł do podnóża schodów i ostrożnie rozejrzał się wokół. Po napastnikach nie było śladu. Pobiegł przed siebie, zobaczył ruchome schody jadące w górę i podążył w ich kierunku. Ciągle ani śladu napastników.

To go jednak nie uspokoiło. W każdej chwili zza najbliższego rogu mógł paść strzał. Czy zamierzali go zabić z powodu snów o Marsie? Nie, chcieli jego śmierci, ponieważ nie był tym, za kogo się uważał.

W tym wszystkim nie było sensu. Potrzebował więcej czasu na przemyślenia, na zbadanie najdalszego zakamarka swojej fragmentarycznej pamięci i wydobyć wszystkiego, co w niej tkwiło. Może okaże się, że był przestępcą — lecz nie, kryminaliście nie daliby ładnego mieszkania, przyzwoitej pracy i żony takiej, jak Lori. Chyba że trzymaliby go w niepewności aż do czasu wielkiego procesu. Tak, to mogło mieć sens. Nie chcieli, żeby pamiętał to, co było wcześniej, bo mógłby zwać do swoich kumpli zamiast zeznawać przeciwko nim. To by wyjaśniało dlaczego Lori, której przecież nie obchodził w najmniejszym stopniu, była aż tak serdeczna. Miała zająć się jego myślami lub jego fiutem. Jej zleceniodawcy pomyśleli, że to będzie to samo. Może mieli rację, ale tylko w przypadku dziewczyny ze snu o Marsie.

Wbiegał po ruchomych schodach. Zerknął za siebie, widział tylko zwykłych ludzi.

Gdzie kryli się napastnicy? Powinni tu być!

Spojrzał przed siebie — tam byli! Czterech agentów pojawiło się u szczytu schodów, spoglądali w dół. Próbował się przygarbić, chowając się wśród pasażerów, lecz był zbyt potężnym mężczyzną, żeby mu się to udało. Miał tylko nadzieję, że nie zobaczą go, zanim nie dotrze wystarczająco blisko, żeby... Agenci badali wzrokiem teren. ZOBACZYLI GO!

Nie zastanawiali się ani sekundy, nie zawołali, żeby się poddał. Po prostu zaczęli strzelać.

Quaid rzucił się w bok. Jakiś nieszczęsny pasażer dostał w głowę kulą zdolną przebić drzwi. Upadł do tyłu na Quaida. Nie miał twarzy. Rozległy się krzyki, gdy pozostali pasażerowie uzmysłowili sobie, co się dzieje. Wszyscy kulili się na schodach, próbując zejść z linii ognia. Quaid, widoczny jak na dłoni, był jedynym człowiekiem, który stał.

Nie mógł zrobić uniku, jak inni. W ciągu kilku sekund podziurawiliby go jak rzeszoto. Jego druga osobowość nie zamierzała na to pozwolić. Ruszył, wspinał się po schodach używając martwego ciała bez twarzy jako tarczy. W dłoni ścisnął pistolet, rozległy się strzały i czterech napastników upadło po kolei, każdy trafiony jedną kulą.

Quaid nie wiedział, kim jest jego druga osobowość, lecz zaczynał ją lubić. Facet w nim był prawdziwym wojownikiem! Przez moment był bezpieczny. Wyjdzie ze stacji i...

Tuż koło jego ucha świsnęła kula. Z tyłu! Odwrócił się. Richter i Helm biegli do schodów, strzelając co chwila. Już na nie wpadli, wspinali się między rozciągniętymi pasażerami, nadal strzelając. Gdyby zatrzymali się na podeście i dobrze wycelowali, Quaid byłby martwy, zanim zdążyłby się zorientować, że pościg depcze mu po piętach.

Quaid dźwignął ciało, którego używał jako osłony i zrzucił je na agentów, przewracając

ich. Pokonał resztę drogi do szczytu schodów, a potem pobiegł halą dworca.

Jeśli goniło go tylko dwóch agentów, to miał dziesięć sekund przewagi. Dokąd mógł pobiec? Na górę i na ulicę? Przy wejściach stali prawdopodobnie inni napastnicy. Jeśli to zrobi, ciągle będzie w centrum, będą przeszukiwać każdy samochód i samolot. Nie mógł wrócić do mieszkania, Lori natychmiast zameldowałaby o tym, jeśli wcześniej by go nie zastrzeliła.

Pozostawały pociągi metra. Łączyły wszystkie dzielnice miasta i przedmieścia. Agenci nie mogli obstawić każdego wyjścia w całym systemie metra! Więc gdyby dotarł do pociągu, dziesięciosekundowa przewaga mogłaby zamienić się w dziesięciominutową, a on wydostałby się z miasta, nim napastnicy zauważyliby, gdzie jest.

Jego ciało podjęło już decyzję. Posuwał się wzdłuż przejścia, zmierzając do następnego pociągu. Wsadził pistolet do kieszeni spodni, znajdował się wewnątrz obszaru bezpieczeństwa, nie groził mu więc kolejny alarm. Doszedł do peronu, przy którym stał pociąg. Ostatni pasażerowie właśnie wciskali się do wagonów. Pobiegł szybko wzdłuż peronu, który w tym momencie był na szczęście pusty.

Ostatni pasażer wszedł do pociągu. Zabrział sygnał odjazdu. Drzwi się zamknęły.

Quaid potężnym rzutem w ostatniej chwili wskoczył do wagonu, o włos unikając przytrzaśnięcia drzwiami. Udało się! Potknął się, próbując uniknąć zderzeń z innymi pasażerami. Niemal zgiął się w pół, lecz utrzymał na nogach. W tym momencie kule rozbiły szkło drzwi tuż nad jego głową i poorały drugą stronę wagonu. Richter i Helm dopadli go. Gdyby stał wyprostowany...

— Padnij — ryknął na pasażerów, wiedząc, co się za chwilę stanie. Pociąg ruszył. Rozpadło się kilka okien. Pasażerowie skorzystali z rady Quaida. Chowali się jak mogli.

Pociąg przyspieszył. Quaid wyjrzał przez rozbite okno. Zobaczył Richtera i Helma z wściekłością obserwujących odjazd pociągu. Pokonał ich — na razie. Odwrócił się. Pasażerowie gapili się na niego. Spostrzegł, że wszędzie poplamiony jest krwią z ciała, którego używał jak tarczy. Nie zamierzał nic wyjaśniać. Im mniej wiedzieli o nim, tym lepiej dla niego — i dla nich. Richter nie miał skrupułów, jeśli będzie sądził, że ktoś wie, gdzie przebywa Quaid, zmusi tę osobę do mówienia pod groźbą rewolweru — a potem i tak ją pewnie zabije. Zignorował spojrzenia pasażerów i zwrócił uwagę na reklamę płynącą z najbliższego ekranu. Typowy agent handlowy stał przed statkiem kosmicznym.

— Nie wybierajcie bladych wspomnień! Nie wybierajcie sztucznych wszczepów. Korzystajcie z podróży kosmicznych w starym stylu, podczas prawdziwych wakacji. Stać was na to!

To była odpowiedź na „Recall”!

Quaid potrząsnął głową i westchnął. Chciałby skorzystać z usług tej agencji

turystycznej. Jedyną rzeczą, która się nie zmieniła w całkowicie teraz rozbitym życiu to jego fascynacja Marsem. Nadal zamierzał tam polecieć i znaleźć tę brunetkę, jeśli w ogóle istniała.

Czy istniała?

Mógł tylko żywić taką nadzieję. Jego życie z Lori okazało się iluzją, może więc spełni się sen o innej kobiecie.

ROZDZIAŁ 11

Pomoc

Richter i Helm w złych nastrojach wyszli szybkim krokiem ze stacji metra, i przeszli w deszczu do samochodu. Richterem targała wściekłość. Najpierw zgubili ofiarę, a potem złapali ich strażnicy w metrze, gdyż ich broń znów wywołała alarm. Musieli się wylegitymować, żeby wydostać się na zewnątrz. Źle wypadną na taśmach. Nie mówią o stracie dodatkowych czterech agentów niższego szczebla. Razem ośmiu, plus jeden czy dwóch cywilów. Ale to narobi smrodu! Pierwsze podejście spartaczył Harry, zwykły cymbał, którego nie należało wysyłać pod dom Quaida. Tym razem jednak Richter sam zawinił, a szefowie nie uwierzą, że prawie mu się udało. To „prawie”, zupełnie wystarczało, żeby go zdegradować! Nienawidził człowieka, który uważał się za Douglasa Quaida. Nigdy go nie lubił. Było w nim coś, czemu nie ufał, lecz Coahaagen nie potrafił tego dostrzec! Chryste, nawet awansował tego skurwiela.

Richter prychnął z niezadowoleniem. Ale nienawidzić zaczął Quaida dopiero wtedy, gdy wyznaczono Lori do odgrywania jego „żony”. I to po wszystkich jego dowcipach o Pięknej i Bestii, które trudno było wytrzymać. A teraz przez to, że ten człowiek wymknął się, upokarzając go, nienawiść Richtera zmieniała się w palące i trudne do opanowania uczucie. Nawet widok rozpryskującego się wokół mózgu tego faceta nie dałby mu satysfakcji. Jeśli dopisze mu szczęście, może ujrzy jak Quaid będzie pocił się ze strachu przed śmiercią.

Wsiedli do samochodu. Helm zajął miejsce za kierownicą, Richter na siedzeniu dla pasażera, żeby mieć przed sobą wyposażenie. Deszcz parujący z ich ubrań szybko nasączył wilgocią wnętrze samochodu, potęgując jego zły nastrój. Deska rozdzielcza pokryta była skomplikowanymi urządzeniami wykrywającymi, mapami elektronicznymi i aparaturą łącznościową. Richter z furią przekręcał gałki i wciskał klawisze, próbując wysledzić ofiarę. Niech to cholera, wykrywacz powinien nadal pracować, skąd się brały zakłócenia? Nawalił sprzęt? Łatwo zgadnąć, kogo ochrzanią, jeśli zawiedzie wykrywacz!

Wiedział, że Cohaagen nie pochwała niektórych posunięć w tej sprawie i tylko czeka na pretekst, żeby go z niej wycofać...

Radio ożyło.

— Sześć beta dziewięć, mamy przekaz od pana Cohaagena.

Richter spojrział na Helma i jęknął. O wilku mowa! Nie mógł jednak wykręcić się od rozmowy.

— Tu Richter. Przełączcie.

Startł krople deszczu z twarzy i przygładził włosy, choć to niewiele pomogło. Współczesna nauka miała wspaniałe osiągnięcia, ale w tej chwili Richter żałował, że opracowano sposób przekazywania informacji między planetami z szybkością przekraczającą prędkość światła, co zapewniało nieprzerwaną łączność. Gdyby było inaczej Cohaagen nie mógłby przeszkadzać mu w pościgu.

Monitor zajaśniał, zamigotał i ukazał się ziarnisty obraz twarzy Cohaagena. Nie było zaskoczeniem, że facet nie był ani tak przystojny, ani tak elokwentny, jak w wywiadach telewizyjnych.

Rzucił groźne spojrzenie na Richtera.

— Co ty, kurwa, wyrabiasz, Richter?

Richter zdobył się na najbardziej przymilny uśmiech, który, jak wiedział, nie mógł nikogo zwieść, zresztą nie miał takiego zamiaru.

— Próbuję zneutralizować zdrajcę, sir.

To było odpowiednie wyrażenie! Niech pan to sobie przemyśli, sir.

Groźba widoczna w oczach Cohaagena zmieniła się w otwarty gniew.

— Nie przekazałbym go na Ziemię, gdybym chciał jego śmierci!

Twarz Richtera złagodniała, grał oddanego sługę, nie dbając, czy ktoś w to uwierzy.

— Nie możemy pozwolić, żeby się wszędzie kręcił, panie Cohaagen. Wie zbyt wiele.

— Lori mówi, że on nie pamięta tego całego gówna.

— Teraz — powiedział Richter. — Ale za godzinę może całkowicie odzyskać pamięć.

— Posłuchaj mnie, Richter.

Na linii wystąpiło zakłócenie, zbyt jednak słabe, aby zagłuszyć słowa Cohaagena.

— Chcę, żeby Quaida dostarczono żywego na ponowny wszczep. Zrozumiałeś? Chcę, żeby wrócił do życia z Lori.

— Po moim trupie! — pomyślał Richter.

— Słyszałeś? — naciskał Cohaagen.

Richter wyciągnął rękę i przekręcił tarczę, przerywając połączenie. Na drugim końcu nie zorientują się, dlaczego wystąpiły zakłócenia. To wszystko co mógł zrobić, inaczej wyrwałby monitor z deski rozdzielczej i wyrzucił przez okno.

— Co się stało, sir. Nie słyszę pana.

Cohaagen rzucił wściekłe spojrzenie.

— Powiedziałem xtrb...lsw...rojwf...

Richter nasilił zakłócenia, rozmyślnie broniąc się przed rozkazami Cohaagena. Helm gapił się beczynnie przez okno w deszcz, starając się niczego nie dostrzegać. Podobnie jak Richter nie lubił, żeby ofiara wymykała się z pułapki.

— Hallo? — Richter podniósł głos. — Plamy na Słońcu powodują zakłócenia. Przełączam na zapasową częstotliwość.

Jak to miło, że transmisje nie były odporne na zaburzenia w układzie słonecznym!

Na wykrywaczu wmontowanym w konsolę pojawiła się migocąca czerwona kropka. Helm szturchnął Richtera, który skinął głową. Namierzyli swojego człowieka.

— Panie Cohaagen, jest pan tam? — nawoływał Richter. — Hallo? Hallo?

W jego ugrzecznionym głosie brzmiało zakłopotanie. Nagranie pokaże, że nie wiedział, o zmianie rozkazów.

Z pogardą przekręcił tarczę i przerwał transmisję. Cohaagen niczego nie będzie mógł udowodnić, sygnały przekazywane w przestrzeni międzyplanetarnej notorycznie ulegały zakłóceniom. Za naruszenie prędkości światła trzeba było płacić.

Richter pozwolił sobie na krótki, krzywy uśmiech. Obrócił się do Helma.

— Pieprzony dupek. Powinien był zabić Quaida, kiedy miał szansę. — powiedział.

Teraz on, Richter zrobi to za niego, z przyjemnością.

Zbliżali się do ofiary, i żadne plamy na słońcu, prawdziwe, czy sztuczne, nie wejdą im w paradę.

Helm gwałtownie włączył samochód do ruchu rozpryskując kałuże na chodzących z metra pasażerów. Zabrzmiały nieśmiałe protesty, muzyka dla uszu Richtera. Podniósł rękę powyżej barku i wystawił jeden palec, pokazując przechodniom, co mogą mu zrobić, chociaż wiedział, że nie widzą niczego, co dzieje się wewnątrz wozu. W każdym razie gest sprawił mu satysfakcję. Szkoda, że nie mógł pokazać go Cohaagenowi.

Quaid postanowił nie jechać zbyt daleko. Będą oczekiwać, że ucieknie z miasta, więc popędzą, by odciąć końcowe przystanki. Jednakże on pozostanie blisko — ale nie za blisko. Jego druga osobowość porzuciła go, ujawniała się tylko wtedy, gdy potrzebna była skuteczna akcja, taka jak zabicie kilku facetów w kilka sekund. Był zdany na siebie i na razie sprawiało mu to przyjemność.

Wysiadł z pociągu po kilku przystankach i poszedł do toalety. Wyglądał jak łachmaniarz. Opryskał twarz i ręce wodą, przetaił największe plamy na koszuli, chociaż niewiele to dało. Do głowy wpadł mu świetny pomysł, kucnął, przeciągnął palcami wzdłuż ściany po podłodze i zebrał mnóstwo brudu. Rozsmarował go na koszuli, przykrywając pozostałe plamy krwi. Wyglądał teraz, jak brudny włóczęga, a nie uciekinier z rzeźni. Zaczesał włosy do tyłu i przybrał znudzoną minę, jakby był zmęczonym robotnikiem, wracającym do domu po dniu spędzonym w kanałach. Wsiadł do następnego pociągu,

próbował zmylić pościg. Lecz nie mógł robić tego bez przerwy, musiał dotrzeć do innej dzielnicy. A na to potrzebne były pieniądze.

Niedaleko końcowej stacji metra zatrzymał się przy automacie wydającym pieniądze i podjął tyle, ile się ośmielił. Wystarczyłoby na bilet lotniczy na inny kontynent. Wiedział, że transakcja zostanie zauważona i za kilka minut znów będą deptać mu po piętach, to dlatego nie odcięli jeszcze jego karty identyfikacyjnej. Mimo że nie był fachowcem, jak jego druga osobowość, potrafił zdobyć się na kilka własnych pomysłów. Nie pojechał na lotnisko, lecz złapał następny pociąg do centrum i przejechał prawie do stacji, od której zaczął uciekać. Miał nadzieję, że ich zaskoczy. Może pomyślał, że nie będzie miał odwagi skorzystać z automatu postępując w sposób dający się przewidzieć. Znowu ogarnęła go nadzieja. Wsiadł i pojechał na górę ruchomymi schodami. Wyszedł z bramy oznaczonej napisem METRO na pochodzący z lat osiemdziesiątych dwudziestego wieku, zapuszczony, brudny uliczny pasaż handlowy. Pełno tu było barów, domów noclegowych, klubów bilardowych, lombardów i salonów masażu. W pasażu kłębiły się grupy dzieciaków z deskorolkami i rowerami, a w bramach domów spali włóczędzy. Wydawało mu się, że wkracza w przeszłość, niemal ogarnęła go nostalgia. Zanim skolonizowano planety życie musiało być prostsze.

Miejsce idealnie nadawało się na kryjówkę. Wyśledził obskurny hotelik po drugiej stronie pasażu. Bez zadawania pytań przyjmą tam gotówkę i nie będzie musiał pokazać karty identyfikacyjnej. Odpocznie, przepierze koszulę, a może kupi inne ubranie w sklepie z używaną konfekcją. Zamierzał przetrwać jako anonimowy zbieg. Teren był czysty. Ruszył przed siebie i wszedł do hotelu.

Helm szybko prowadził samochód po zalewanych deszczem ulicach.

— Założę się, Richter, że jesteś zadowolony. Dla Lori skończyło się to zadanie.

Richter zacisnął szczęki, utrzymując wzrok na wykrywaczu.

— Taką ma pracę — powiedział krótko.

— Ale ja tam nie chciałbym, żeby Quaid dymał moją dziewczynę.

Richter warknął. Błyskawicznym ruchem schwycił Helma za ucho i wykręcił je boleśnie. Samochodem rzuciło.

— Mówisz, że jej się to podobało? Czy to próbujesz powiedzieć?

Helm walczył, by zapanować nad samochodem i uniknąć wyrwania ucha.

— Nie, nie, oczywiście, że nie — mówił przez zaciśnięte zęby. — Jestem pewien, że nienawidziła każdą minutę tej pracy.

Richter jeszcze raz okrutnie wykręcił ucho Helma, a potem puścił. Zacerwieniony powrócił do obserwacji wykrywacza, na którym pojawił się bardziej szczegółowy plan miasta.

— Okręg 28. Główny poziom — powiedział bez śladu zdenerwowania.

Uśmiechnął się. Stary Pasaż... Oczywiście, Quaid myślał, że ukryje się w slumsach.

— Wiesz co? — spytał Helma. — On chyba nie skapował, że ma pluskwę.

A miał. W rzeczywistości, to pluskwa zaalarmowała ich o wizycie Quaida w „Recallu”. Alarm rozległ się, gdy Quaid zszedł z normalnej trasy. Zrobili szybki wypad, by przepytac personel „Recallu”, a potem wyprawić ich na tamten świat.

Helm skręcił z poślizgiem, trzymał wzrok utkwiony na jezdni i pocierał bolące ucho.

Quaid wszedł do pokoju. Był taki, jakiego mniej więcej oczekiwał, to znaczy bardzo skromny. Od innych pokoi oddzielony był cienkimi przepierzeniami. Gdyby miał ochotę podsłuchać, dowiedziałby się, co się dzieje w sąsiednich numerach. Stukały kieliszki, toczyła się ostra sprzeczka, grano w pokera, jakaś para uprawiała miłość, ryczały ekrany wideo.

Hotel był doskonałą kryjówką.

Nie zdążył do końca zasunąć brudnych zasłon w oknie, gdy zadzwonił wideofon.

Nie odebrał. Dlaczego ktoś miałby tu dzwonić? Może to do klienta z ostatniej nocy? W tej sytuacji byłoby dobrze, gdyby odebrał udając tamtego gościa, w ten sposób ukryłby własną obecność. Nadal...

Przy czwartym dzwonku stanął z boku ekranu, tak że nie można było go zobaczyć i uderzył w klawisz odpowiedzi. Nie odezwał się. Jeśli pytają o nazwisko, użyje byle jakiego. Kątem oka patrzył na ekran, sam niewidoczny dla obiektywu.

Ekran pokazał dłoń mężczyzny zakrywającą obiektyw. Można i tak.

— Jeśli chcesz żyć, nie wyłączaj się — powiedział chrapliwy głos. To nie wyglądało na pomyłkę! Quaid stał cicho, nie wyłączył się, ale i nie powiedział ani słowa.

— Wszczepili ci pluskwę — powiedział dzwoniący. — I za trzy minuty wyważą drzwi, chyba że zrobisz dokładnie to, co powiem.

Quaid nadal niewidoczny dla obiektywu przeszukał ubranie w poszukiwaniu pluskwy. Co za głupiec, że nawet o tym nie pomyślałem.

— Nie trudź się. Masz ją pod czaszką.

Quaid rozejrzał się wystraszony.

— Kim jesteś?

Jego tożsamość najwyraźniej nie była tajemnicą dla dzwoniącego.

— Nie ważne. Zmocz ręcznik i zawiń w turban. To przytłumi sygnał. Nie jest mocny.

— Jak mnie znalazłeś?

Musiał przyznać, że rozmawiał z przyjacielem, a nie wrogiem. Dlaczego wróg miałby go ostrzegać?

— Radzę ci, pospiesz się.

Quaid zobaczył umywalkę po drugiej stronie pokoju. Przeszedł przed wideofonem. Już nie było sensu się ukrywać.

— To ci da trochę czasu — mówił z aprobatą dzwoniący. — Nie będą mogli cię namierzyć.

Quaid czuł się idiotycznie, ale zmoczył wielki ręcznik i owinął go wokół głowy.

Udało mu się zrobić niekształtny turban, który ciągle zjeżdżał na kark. Helm jechał prowadzony sygnałem przekazywanym przez pluskwę umieszczoną w głowie Quaida. Wykrywacz w pewnym momencie zmienił plan z dokładnego na ogólny... Migoczące światełko zbladło.

Richter patrzył niespokojnie. — Gównno!

— Co się dzieje? — spytał Helm.

Richter zaczął manipulować przy wykrywaczu, wałąc w niego kilka razy.

— Zgubiliśmy go!

Jak, do diabła?!

Może brał prysznic. Richter wiedział, że woda zniekształca sygnał. Zaciśnął pięści na kolanach. Z natury nie był człowiekiem cierpliwym, lecz potrafił się opanować. Quaid nie będzie stał pod prysznicem przez całą noc, a gdy wyjdzie...

Helm jechał spokojnie.

Quaid ścisnął mocniej ręcznik, turban był lepszy, ale nadal zsuwał się do tyłu.

— Wystarczy — powiedział dzwoniący. — Teraz wyjrzyj przez okno.

Quaid ostrożnie rozsunął zasłony. Wyjrzał. To nie był drapacz chmur, chodnik nie był daleko.

— Widzisz budkę telefoniczną przy barze? — spytał głos zza jego pleców.

Quaid popatrzył na drugą stronę pasażu i dostrzegł bar, a potem budkę. Wąsaty najemnik spoglądał prosto w jego stronę. W ręku trzymał lekarską torbę.

— Dałeś mi tę torbę — powiedział.

— Ja ci ją dałem?

— Zostawiam ją w budce — mówił najemnik. — Zabierz ją i znikaj.

Quaid ujrzał, że mężczyzna zamierza się rozłączyć.

— Poczekaj!

Najemnik zatrzymał się. Najwyraźniej chciał stąd szybko odejść.

— Co? — spytał niecierpliwie.

— Kim jesteś? — musiał poznać nazwisko tajemniczego sojusznika. Każdy, komu kiedyś zaufał, okazał się wrogiem. Ten człowiek był prawdopodobnie jedynym przyjacielem, jaki mu pozostał. Quaid musiał wiedzieć z kim rozmawia.

Najemnik namyślał się, potem powiedział gwałtownie.

— Byliśmy kumplami w Agencji na Marsie. Prosiłeś, żebym cię znalazł, gdybyś zniknął. Więc jestem. Cześć.

— Zaczekaj! — zawołał rozpaczliwie Quaid. — Co robiłem na Marsie? —

Połączenie zostało przerwane i najemnik opuścił budkę. Zawiedziony Quaid walnął

pięścią w parapet, gdy zobaczył, że mężczyzna oddala się szybko. Informacje, które przekazał Quaidowi były bezcenne. Jeśli należał do Agencji i ją opuścił...

Nie miał teraz czasu na rozmyślanie. Pędem wybiegł z pokoju, poprawiając opadający turban.

Richter i Helm objeżdżali pasaż. Deszcz lał z niesłabnącą siłą, coraz bardziej obrzydliwy. Richter trzasnął w wykrywacz, lecz nic to nie pomogło. On tu jest, myślał Richter. Czuję go. Znow wałnął urządzenie. Przerwa trwała nadal.

Helm nie robił żadnych komentarzy. Po prostu prowadził samochód.

Quaid wybiegł z hotelu. Wzrokiem szukał najemnika, lecz mężczyzna zniknął. Cholera. Może ten nieznajomy ocalił mu życie — a może nie. Czy mógł mu ufać? Przypuśćmy, że był bezpieczny w pokoju hotelowym, a najemnik zwabił go tam, gdzie mordercy mogli go zastrzelić? Potrząsnął głową. Nie miało to wielkiego sensu, podobnie jak większość mijającego dnia.

Zapomniał o torbie. Może ona odpowie mu na kilka istotnych pytań. Spojrzał w stronę budki telefonicznej i przeraził się widząc, że uprzedziła go jakaś stara kobieta. Trzymała w ręku torbę.

— Przepraszam panią — powiedział — to moje.

Stara kobieta spojrzała na niego z kwaśną miną. — Nie widzę tu pańskiego nazwiska — warknęła.

Quaid chwycił rączkę torby i pociągnął ją łagodnie.

— Ktoś ją dla mnie zostawił.

Mała, stara kobieta nie zamierzała oddać torby.

— Puść! — awanturowała się.

Quaid pociągnął torbę mocniej.

— Proszę pani. Potrzebuję tej torby.

— Znajdź sobie inną! — odparła, przyciskając kurczowo torbę do piersi.

— Powinieneś się wstydzić, byku!

Kilku gapiów przyglądało się z rozbawieniem darmowemu przedstawieniu.

Quaid nie wiedział, co począć. Nie chciał uderzyć kobiety, ale potrzebował torby. Wyszarpnął ją siłą z rąk staruchy, gubiąc prawie turban.

— Przepraszam panią — usprawiedliwiał się. — Bardzo mi przykro — odwrócił się na pięcie i pobiegł.

Za jego plecami huknął głos starej kobiety.

— Pierdol się, dupku.

Najemnik obserwował całą scenę ukryty w pobliskiej bramie. Wstrzymał oddech, gdy Quaid szamotał się ze starą kobietą i odetchnął z ulgą, kiedy Quaid zdobył torbę i odbiegł. Kiedyś sporo razem przeszli, a człowiek znany teraz jako Quaid wielokrotnie ocalił mu życie. I to ten człowiek zwerbował go do Agencji. W tej chwili, najemnik nie

był pewien, czy było to błogosławieństwo, czy przekleństwo losu.

Myślał o tym, jak bardzo zmieniła się Agencja, od chwili, gdy zaczął w niej pracować. Utworzono ją by nadzorowała różne grupy wywiadowcze działające dla rządu Bloku Północnego. Miała zapewnić, żeby nie stały się zbyt potężne.

Potem głową Agencji mianowano Yilosa Cohaagena. Pod jego kierownictwem Agencja działała nie tylko jak pies pasterski wobec innych grup, ale stopniowo je wchłaniała. Pomoc jaką otrzymywała od najróżniejszych biur kontrolujących przestrzeganie prawa służyła kamuflażowi. Biura współpracowały z Agencją, ponieważ, w większym stopniu niż ktokolwiek przypuszczał, były Agencją. Cohaagen miał dość wyobraźni, by dostrzec, co można zrobić mając taką sieć, a co ważniejsze miał dość politycznego rozumu, żeby dyskretnie ją powiększać. Nikt nie kwestionował jego akcji, bo nikt ich nie zauważył. Gdy zorientowano się co zrobił, było już za późno na przeciwdziałania.

Cohaagen wykorzystał Agencję do gromadzenia informacji o brudnych sprawkach ludzi na kluczowych stanowiskach w rządzie. Szczególnie niebezpieczne były dokumenty dotyczące Przewodniczącego. Gdy nadszedł właściwy czas, użył zgromadzonego dossier by otrzymać stanowisko Administratora Kolonii Marsjańskiej. Cohaagen wiedział, że ten kto kontroluje marsjańskie kopalnie turbinytu, włada Blokiem Północnym, wszystkim w Bloku Północnym, a nie tylko kilkoma potężnymi politykami. Bez turbinytu dostarczającego energii do ich broni, Blok Północny przegrałby wojnę.

Przewodniczący wiedział o tym. Wiedział także o tym, że Cohaagen będzie musiał zrezygnować ze stanowiska w Agencji, by objąć swój urząd na Marsie. Sądził, że wysyłając Cohaagena na Marsa odzyska kontrolę nad Agencją i zneutralizuje jej byłego szefa.

Głupiec. Nowy szef Agencji był marionetką Cohaagena, w którego rękach znalazły się teraz również kopalnie turbinytu. I z pewnością zostaną tak długo, jak długo będzie mógł je utrzymać. Najemnik uśmiechnął się lekko. Cohaagen był sprawną Głową Agencji, ale kompletnie nie znał się na zarządzaniu Kolonią. Był tak pochłonięty intrygami politycznymi, że ignorował dobro ludzi żyjących na Marsie, a zwłaszcza górników. Gdy zaprotestowali przeciw pogarszającym się warunkom życia, uderzył na nich bez litości. Ale taktyka terroru okazała się obosieczna. Zrodziła rewolucję, która groziła zatrzymaniem wydobycia turbinytu i podminowaniem pozycji goniące za władzą Cohaagena.

Najemnik pokręcił głową. Nie był politykiem. Nie interesowały go sprawy wagi państwowej, lecz w odróżnieniu od wielu łotrów, których niedawno zwerbowano do Agencji, miał znaczne poczucie osobistego honoru. To, co Cohaagen kazał mu zrobić, żeby stłumić rewoltę na Marsie było nie do pogodzenia z honorem. Uważał się za zawodowca, a nie małego sadystę. Chciał opuścić Agencję i to szybko.

Spełnił swój obowiązek wobec człowieka nazywanego Quaidem i mógł kontynuować

ostrożne przygotowanie do zniknięcia. Dotrzymał danej niegdyś obietnicy, ryzykując życiem. Teraz znów mógł się ukryć. Bez pośpiechu skręcił w boczną ulicę. Starał się wyglądać jak zwykły przechodzień. Był jednak podenerwowany. Wiedział, że Agencja ściga jego przyjaciela i nie spocznie dopóki go nie przygwoździ. Pomógł koledze, bo tak nakazywało poczucie obowiązku, lecz jeśli wyjdzie to na jaw, będzie miał problemy z własnym zniknięciem. Dlatego musiał ukrywać swoją tożsamość, im mniej o nim wiadano, tym lepiej.

Krążąc wokół pasażu Helm ujrzał znajomą sylwetkę. Trącił Richtera, który również rozpoznał przechodnia. Skupił na nim wzrok. Czego, do diabła, Stevens tu szukał. Czy to nie on był kolegą Quaida na Marsie? Czy wspólnie brali udział w tej gierce? Wkrótce się dowie. Helm wprowadził samochód na parking. Wysiedli szybko i po cichu ruszyli za samotnym przechodniem.

Stevens opuścił wewnętrzny pierścień pasażu, przesywając nerwowym wzrokiem zmrok przed sobą. Odwrócił na chwilę głowę, by sprawdzić, czy ktoś go nie śledzi — i wpadł prosto w ramiona Richtera i Helma. Helm chwycił go, uderzył jego głową o ścianę, a potem załadował mu kilka solidnych kopniaków w żebra i nerki.

Stevens osunął się na chodnik.

— Co ty tu robisz, Stevens? — spytał Richter. — Odwiedziłeś starego kumpla, Quaida?

— O czym ty mówisz?

Stevens chociaż oszołomiony rozpoznał Richtera, znanego w Agencji oprawcę, należącego do tych zbirów, którzy ściągali złą sławę na Agencję. Oparł się na rękę, już wiedział, że jest stracony.

— Czy muszę wyjaśniać? — Richter podniósł nogę i opuścił ją na rozpostarte palce Stevensa. Stevens krzyknął, gdy pękły kości. Helm zamknął mu usta kolejnym dobrze wycelowanym kopniakiem.

— Gdzie on jest?

— Nie mogę powiedzieć — wybełkotał Stevens przez krew i wybite zęby.

— To tajemnica.

Miał teraz dowód, że sztuczka z ręcznikiem powiodła się i napastnicy stracili ślad ofiary. I niech tak będzie. Stevens nie zamierzał pociągnąć za sobą przyjaciela.

Richter ponownie wbił obcas w dłoń Stevensa. Ból eksplodował aż do ramienia.

— Stevens, przecież możesz nam powiedzieć — powiedział Richter uspokajająco. — Jesteśmy w tej samej drużynie.

Cofnął się o krok od zmiążdżonej dłoni Stevensa.

— Okay, okay — wycharczał Stevens. — Zadzwońcie do Coahaгена, on wam powie.

Rozwścieczony Richter kopnął Stevensa w gołęń, łamiąc go.

— Czy teraz się rozumiemy? He? — zaśmiał się szyderczo.

Stevens zachwiał się w agonii. Wiedział, że więcej już nie wytrzyma. Nagle poczuł nieśmiały przypływ nadziei. Coś odwróciło uwagę Helma, który stuknął łokciem Richtera, i wskazał na wprost.

— Tam jest!

Richter spojrział i w dużej odległości zobaczył Quaida, mijającego postój „Taksówek Johnny’ego”, po drugiej stronie pasażu. Wokół głowy miał turban, a w ręku niósł torbę. Richter uśmiechnął się złośliwie. Quaid niósł tę torbę.

Helm rzucił się w pogoń z pistoletem w ręku, lecz Richter zwlekał, patrząc na skurczone ciało Stevensa. Pochylił się lekko i postukał Stevensa w ramię. Mężczyzna podniósł wzrok i ujrzał lufę pistoletu Richtera.

Rozległ się wystrzał.

ROZDZIAŁ 12

Johnny

Quaid miał torbę, ale ciągle nie wiedział dokąd iść. Szedł ulicą nie zważając na padający deszcz. Miał nadzieję, że w torbie znajduje się wszystko, czego będzie potrzebował, cokolwiek by to było. Wydawała mu się cienką nitką, na której wisiało jego życie.

Nagle doleciał go odgłos, który znał od dawna — ktoś strzelił z pistoletu. W tej dzielnicy nie było to chyba takie niezwykle, ale Quaid przeszedł ostatnio zbyt wiele, by przyjąć to za pewnik. Rozglądając się w poszukiwaniu źródła strzału, zobaczył dwóch mężczyzn pędzących w jego stronę. Byli zbyt daleko, żeby zorientował się kim są. Nie czekał aż się przedstawią. Obrócił się i wkroczył do czekającej „Taksówki Johnny’ego”, pochylił się próbując ukryć głowę.

„Johnny” odwrócił się ze standardowym uśmiechem.

— Witamy w „Taksówce Johnny’ego”. Dokąd pana zawieźć?

— Po prostu jedź! — warknął Quaid — Szybko!

Manekin odczekał chwilę, a potem powiedział tym samym przyjacielskim tonem.

— Zechce pan powtórzyć dokąd pana zawieźć?

Quaid spojrział przez tylną szybę. Dwaj mężczyźni znajdowali się wystarczająco blisko, aby mógł wyraźnie zobaczyć ich twarze. Ci sami napastnicy ścigali go na stacji metra. Namierzili go mimo ręcznika!

— Dokądkolwiek! — wykrzyknął, ciągle patrząc za siebie. — Jazda! Jazda!

Widział Richtera jak wyciąga ciężką artylerię i składa się do strzału.

— Gównno!

Johnny nie poruszył się, taksówka również.

— Nie znam takiego adresu — powiedział.

Helm także celował z pistoletu. Odległość między nim a mordercami wynosiła nadał pół bloku, lecz pistolety wyglądały niczym najnowsze działa.

— McDonald’s! Jedź do McDonalda! Już!

Richter i Helm otworzyli ogień.

Taksówka nadal stała w miejscu.

— W całym mieście mamy czternaście barów z koncesją McDonalda. Proszę określić...

Co za dużo to nie zdrowo. Quaid wiedział, że jeśli za sekundę nie ruszą, będzie trupem. Chwyił manekina, wyszarpnął z zaczepów i przyciągnął razem z kierownicą na tylne siedzenie taksówki.

Kule roztrzaskały tylną szybę. Quaid zatęsknił do dawnych czasów, gdy we wszystkich pojazdach musiały być wmontowane kuloodporne szyby lub plastik. Pochylił się nad siedzeniem kierowcy i sięgnął niezgrabnie po joystick, do którego przymocowany był kierowca. Taksówka skoczyła do przodu.

Głowa Johnny'ego powiedziała. — Proszę zapiąć pasy bezpieczeństwa.

Quaid prawie nie panował nad pojazdem pozbawionym kierownicy. Jak sobie poradzi?

Tak jak będę umiał — pomyślał ponuro, kiedy kule z gwizdem przelatywały mu nad głową.

Zapalił silnik i manewrując delikatnym joystickiem próbował skrócić w boczną ulicę po lewej stronie. Rozprysnęła się kolejna szyba, Quaid podskoczył wprawiając taksówkę w ruch obrotowy. Poleciał w bok, gdy wóz zatoczył pełne koło. Richter i Helm zwiększyli ogień. Szyby pryskały wokół Quaida, próbującego odzyskać panowanie nad taksówką. Szarpnął joystickiem w drugą stronę — i złamał go.

— Gówno!

Taksówka przestała się obracać i popędziła przed siebie zostawiając z tyłu Richtera i Helma. Przez chwilę Quaid myślał, że się wyrwał. Spojrzał przez przednią szybę.

Pędził prosto na betonowy mur.

— Przygotować się do zderzenia — powiedział z niezmaconym spokojem Johnny.
— Przygotować się do zderzenia.

Quaid usłyszał swój histeryczny śmiech, gdy starał się uchwycić ogryzek, jaki pozostał z joysticka, lecz błyskawicznie ogarnął go zwykły strach. Samochód wymknął się spod kontroli a mur zbliżał się z każdą sekundą. Zderzenie było nieuniknione. Otworzył drzwi, był gotów do skoku.

Wtedy przypomniał sobie o torbie! Chwytając się jedną ręką framugi, sięgnął w tył i ściągnął torbę z uśmiechniętej gęby Johnny'ego.

— Przygotować się do bezpośredniego zderzenia — mówił Johnny spokojnie.

Quaid skoczył! Jego ciało, również teraz, zareagowało odpowiednio.

Upadł czysto i przetoczył się po skarpie, trzymając mocno torbę, jakby od tego zależało życie. Skok, który mógł zabić amatora, przyniósł mu tylko kilka siniaków. Sekundy później taksówka rozbiła się o mur i eksplodowała, stając w płomieniach.

Quaid był na razie bezpieczny. Lecz Richter wkrótce ruszy w pogoń, gdy zorientuje się, że w „Taksówce Johnny’ego” nie ma ciała. Quaid musiał się ukryć i to lepiej niż ostatnio. Podniósł się i zniknął w ciemnościach. Richter i Helm odskoczyli, gdy nastąpił wybuch. Padający deszcz nie mógł ugasić wielkich języków ognia, które strzelały z rozbitego pojazdu. Chwyając oddech, patrzyli na taksówkę, rozkoszując się widokiem zniszczenia. Każda jatka sprawiała im przyjemność, lecz ogień miał szczególny urok.

Helm ruszył przed siebie, ale Richter powstrzymał go za rękaw.

— Jeszcze nie teraz — powiedział, częstując Helma papierosem. — Lubię, żeby mięso było dobrze upieczone. — Zapalił papierosa i z zadowoleniem obserwował „rozeń”.

Tymczasem, poniżej, Quaid wspiał się przez płot, trzymając w ręku torbę, przez nikogo niezauważony. Była to dzielnica przemysłowa. Podążył ku komfortowej osłonie jaką dawały ciemności między dwoma ceglanymi budynkami. Jeśli dopisze mu szczęście, napastnicy będą wystarczająco długo zajęci rozbitą taksówką i zupełnie zgubią jego ślad. Biegł, nabierając coraz większej pewności. Musiał znaleźć dyskretne miejsce, gdzie skryłby się przed posępnym deszczem i sprawdził zawartość torby. Dotknął ręką głowy, poprawiając turban. Był zadowolony, że nie stracił go podczas skoku.

Helm podszedł do samochodu i wezwał przez radio posiłki. Teraz on, Richter i czterech agentów przyglądali się jak strażacy zalewają pianą dymiący wrak i przeszukują resztki. Jeden ze strażaków cofnął się i podszedł do Richtera.

— Nikogo nie ma w domu — powiedział wzruszając ramionami. Richter i Helm spojrzeli po sobie zdumieni.

— Może się kompletnie spalił — powiedział Helm. W tym momencie inny strażak zawołał z wnętrza wozu.

— Poczekajcie chwilę! Coś znalazłem! Richter i Helm podeszli zaintrygowani do strażaka wynoszącego z piany, jakiś zwęglony przedmiot.

Upiorna głowa odwróciła się.

— Dziękujemy za skorzystanie z „Taksówki Johnny’ego”. Mamy nadzieję, że jazda była przyjemna. — powiedziała radośnie.

Ofiara znów wymknęła się z pętli!

Rozwścieczony Richter uderzył pięścią w głowę Johnny’ego, odrzucając ją ze złamaną szczęką. Skrzywił się i szybko cofnął rękę. Ta cholerna głowa była gorąca!

Podbiegł do nich jeden z agentów.

— Złapaliśmy odczyt z cementowni — powiedział. — Jest słaby, ale to on.

— Ruszamy! — wrzasnął Richter.

ROZDZIAŁ 13

Hauser

Quaid posuwał się zygzakami przez dzielnicę przemysłową, starając się unikać otwartej przestrzeni. Rozglądał się za odpowiednim budynkiem. Poszukiwał opuszczonego, lecz niezbyt kojarzącego się z kryjówką. Wiele razy wykonywał pracę w takich miejscach. Był obeznany z drażniącym zapachem chemicznych odpadów przeciekających z pordzewiałych beczek, widokiem splątanego żelastwa, pomarańczowej i zielonej oleistej piany unoszącej się na powierzchni każdej kałuży. Wiedział lepiej niż większość ludzi jak wiele fabryk zamknięto od kiedy zaostrzyła się wojna z Blokiem Południowym. Wielkie pieniądze szły do fabryk zbrojeniowych, zaprzestano produkcji zwykłych towarów. Nie miało to istotnego znaczenia dla bogaczy takich, jak sąsiedzi Quaida w nowym bloku. Luksusowe towary, których łaknęli byli dostarczane przez małe, wyspecjalizowane „butikowe” fabryki. Teraz, podobnie jak w przeszłości, bogaci stawali się bogatsi, a biedni umierali z nędzy. Porzucenie większych centrów przemysłowych oznaczało dla przeciętnych ludzi braki na rynku i deprawację. Coraz trudniej było znaleźć pracę. Nowe fabryki zbrojeniowe były niemal całkowicie zautomatyzowane.

Nic więc dziwnego, że masy ludzi wyjeżdżały do pracy w kopalniach na Marsie. Oferowano tam potężne premie i stałą pracę. Wyglądało na to, że popyt na turbinyt będzie narastał przez długi czas.

Turbinyt, rzadki surowiec nieznany na Ziemi, lecz dość rozpowszechniony na Marsie, był głównym źródłem energii w systemach broni, wykorzystujących strumień cząstek. Informacje o jego właściwościach i przeznaczeniu były tajne, nie wymieniano go nawet w większości oficjalnych informatorów, ale wiadomo było, że zależał od niego system „gwiazdnych wojen” Bloku Północnego. Ten surowiec był cenniejszy niż diamenty, i tak długo, jak długo trwała wojna potrzebni będą górnicy, żeby wydrapać go z wnętrza Marsa.

Quaid zatrzymał się, gdyż dostrzegł stojący nieco w głębi budynek, potężną zrujnowaną fabrykę, w której, czego był pewien, znajdzie kryjówkę. Fabryka pójdzie

niedługo do rozbiórki, żeby zrobić miejsce zakładom przeróbki turbinytu, lecz teraz stała opuszczona. Nie pozamykano nawet okien, w środku nie było niczego wartego kradzieży. Wszedł przez okno, kryjąc się przed nieustannym deszczem. Pochylił głowę, żeby turban się nie zsunął. Stał teraz w ogromnej zdewastowanej hali fabrycznej. Woda kapiała z dziurawego dachu. Był zadowolony. Nie tracił czasu. Na skorodowanej taśmie montażowej postawił torbę i wyjął jej zawartość, pragnąc gorączkowo, aby powiedziała mu coś o jego prawdziwej tożsamości. Może wtedy zrozumie, dlaczego próbowano go zabić.

W torbie były paczki z marsjańskimi pieniędzmi, mnóstwo paczek. Gwizdnął cicho, przeliczając czerwone banknoty. Ponieważ waluta marsjańska była używana na Ziemi, tak jak ziemskie kredytyki akceptowano na Marsie, te pieniądze rozwiążą jego każdy problem finansowy. Ale w tym momencie nie ich potrzebował najbardziej. Potrzebował czegoś, co ocali mu życie.

Następne przedmioty okazały się bardziej interesujące. W ręku trzymał dwie karty identyfikacyjne.

Pierwsza wystawiona na nazwisko Brubaker, była opatrzona zdjęciem jego własnej twarzy. Ręce drżały mu z podniecenia. Czy nazywał się Brubaker? Czy to Brubakera goniły te zbiry?

Przyjrzał się drugiej karcie. Na zdjęciu była kobieta w średnim wieku, o wyraźnej nadwadze i kilku podbródkach. Musiała być kimś ważnym dla niego — z jakiego innego powodu jej karta trafiłaby do torby? Patrzył na twarz kobiety, szukając w pamięci najmniejszego śladu. Krewna? Matka? Przyjaciółka? To do niczego nie prowadziło. Ta twarz nic dla niego nie znaczyła. Kryjąc przed sobą samym rozczarowanie, opróżnił torbę. Znalazł tajemniczy instrument chirurgiczny zapieczętowany w przejrzystym plastiku. Torba wyglądała na lekarską, więc może instrument miał jeszcze bardziej podkreślać jej autentyczność. Mógł zawsze stwierdzić, że jest specjalistą w jakiejś dziedzinie.

Następnie wyjął dziwny kauczukowy przedmiot. Podniósł go i zobaczył, że była to starannie wykonana maska na głowę z zamontowanymi urządzeniami elektronicznymi, które poruszały ustami maski i łatwo zmieniały jej wyraz. Przypominała twarz kobiety z karty identyfikacyjnej. A więc to było przebranie, z odpowiednią „legendą”. Za maską ciągnęły się metry cienkiego plastikowego materiału, miał nadzieję, że to też był element przebrania. Sama maska nie wystarczałaby, żeby zmienić się w kobietę z karty identyfikacyjnej.

Sięgnął głębiej. Zostało jeszcze kilka przedmiotów. Wyciągnął paczkę batonów. Gapił się na nie skonsternowany, ale to były prawdziwe marsjańskie batony. Ktoś miał spalone poczucie humoru. Obudziły w nim głód. Miał nadzieję, że były jadalne.

Potem natrafił na zdumiewającą parę kaloszy. Sięgnął ponownie do wnętrza torby

i wydobyl coś, co przypominało skrzyżowanie zegarka na rękę z minikalkulatorem. Oglądając mały przedmiot dotknął jednego z przycisków. Przestraszył go nagle widok niebezpiecznie wyglądającego mężczyzny.

Mężczyzna gapił się na niego stojąc w cieniu w odległości około trzydziestu stóp. Nie było czasu do namysłu. Quaid wyciągnął broń i strzelił. Mężczyzna wycelował równocześnie i wypalił w stronę Quaida.

Który padnie pierwszy? Quaid nie poczuł zranienia, ale mógł ulec złudzeniu. Człowiek może odnieść wiele poważnych ran i nie paść zanim nie upora się z tym, który je zadał. Zajmie się sobą, gdy dowie się, co zamierza zrobić ten drugi. Miał chyba takie same zamiary, jak Quaid. Z wyciągniętą bronią trzymali się nawzajem w szachu.

Quaid postąpił krok w przód. Mężczyzna również, wchodząc w jaśniejsze miejsce. Na głowie miał niedbale zawinięty turban.

Quaid zdumiał się — ten człowiek to on! Czy raczej hologram o wyjątkowej jakości.

Podszedł w kierunku hologramu, który oczywiście naśladował jego ruchy. Quaid podniósł ramię, hologram zrobił to samo. Quaid wykonał nagły ruch, jakby dla żartu chciał trafić go w najczulsze miejsce. Hologram nie dał się oszukać.

Zegarek! Dotknął przedtem przycisku i pojawił się hologram. Dotknął znowu.

Hologram zniknął z cichym świstem.

Miły aparacik! Jeśli Richter zechce do niego strzelać... Zapiął zegarek na rękę, uważając by ponownie nie dotknąć przycisku.

Helm jechał wolno przez opuszczoną dzielnicę przemysłową. Przeszukiwali okolicę przy pomocy reflektorów zainstalowanych na dachu samochodu. Na razie wykryli tylko przesiąknięte deszczem ruiny. Richter rozmawiał przez radio.

— Widzieliście jakieś ślady?

Czterej agenci w dwóch samochodach jechali po sąsiednich ulicach równoległe do wozu Richtera.

— Słyszałem strzał w starej fabryce toyoty — poinformował jeden z agentów przez radio.

— Ha! Spotkamy się przy rampie załadowniczej — powiedział Richter.

Założyłby się, że to ich ofiara. Może strzelał do szczura, lub do jednego ze zdychających z głodu włóczęgów, którzy pałętali się po okolicy.

Quaid strzelił do szczura, który próbował zbliżyć się do batonów. Dobry znak, szczury były ostrożne, nie tknęłyby zatrutego pożywienia. W torbie było jeszcze coś. Wyjął miniaturowy zestaw złożony z gramowidu i telewizora. W środku była płyta, najprawdopodobniej przeznaczona dla niego. Właśnie informacji potrzebował najbardziej. Ustawił gramowid, tak że ekran miał na wprost twarzy i włączył. W zbliżeniu ukazała się jego własna twarz, bez turbanu. Przemówiła do kamery.

— Witaj, nieznajomy. Mówi Hauser. Jeśli coś nawaliło, mówię do siebie, a ty masz mokry ręcznik owinięty wokół głowy.

Quaid podskoczył, dotykając ręcznika.

Hauser roześmiał się serdecznie. Był bardzo pewny siebie. Miło było wiedzieć, że ktoś myślał, że Quaid wie co robi. Quaid rozerwał opakowanie balonika i zaczął jeść, słuchając.

— Jakkolwiek się nazywasz, przygotuj się na wielką niespodziankę. — kontynuował Hauser przybierając poważną minę.

— Ty, to nie ty. Jesteś mną.

Quaid zakrztusił się batonem.

— Nie pieprz — powiedział, gapiąc się w twarz Hausera.

Samochód Richtera dołączył do pozostałych wozów przed bramą olbrzymiej opuszczonej fabryki, nad którą górował rozpadający się znak Toyoty. Richter sprawdził wykrywacz, na którym widoczny był jasny punkcik.

— Trafiony!

Wewnątrz fabryki Quaid z rosnącą uwagą obserwował mały ekran.

Wreszcie miał jakieś informacje!

— Przez całe życie pracowałem dla marsjańskiej filii Agencji. Innymi słowy, wykonywałem brudną robotę dla Cohaagena. Potem, kilka tygodni temu spotkałem kogoś – kobietę. I dowiedziałem się o kilku sprawach. Uzmysłowiłem sobie, że grałem w niewłaściwej drużynie.

Hauser westchnął, minę miał jak skazaniec.

— Teraz mogę jedynie próbować naprawić szkody.

Quaid rzucił kawałek batonu wytrwałemu szczurowi. To głupie, lecz odczuwał nieco współczucia dla każdego stworzenia, które musiało ukrywać się w miejscu takim, jak to, znieawidzone i ścigane przez człowieka. Szczur podniósł kasek i czmychnął.

Hauser postukał się w głowę.

— Jest tu wystarczająco wiele gówna, żeby przypieprzyć Cohaagenowi — i dokładnie to zamierzam zrobić. Niestety, jeśli słuchasz nagrania, to znaczy, że oni dopadli mnie pierwsi. A teraz kolej na trudniejszą część, koleś. Wszystko będzie zależeć od ciebie.

Quaid przeżuwał baton, niepewny, czy podoba mu się ten pomysł. Jeśli jego obraz na ekranie wiedział przez co przeszedł i myślał, że była to łatwiejsza część...

— Przykro mi, że cię w to wciągają, lecz tylko tobie mogę zaufać — powiedział Hauser przepaszającym tonem.

Richter przeskakiwał schody, prowadząc Helma i czterech agentów do wnętrza budynku. Tym razem nie będzie żadnych pasażerów metra, żadnych wind, czy pociągów, które umożliwiłyby ofierze ucieczkę. Tym razem go dopadną. Richter chciał usłyszeć przedśmiertny krzyk tego gnoja.

Wróciły dwa szczury, szukając jałmużny. Wiadomości rozchodzą się szybko wśród szczurów, pomyślał Quaid. Uśmiechnął się nieznacznie. Rzucił każdemu po kawałek batona. Gdyby tylko mógł się pozbyć szczurów w ludzkiej skórze, które go ścigały, to z łatwością...

— Najpierw obowiązek, potem przyjemność — powiedział Hauser na ekranie. — Pozbędziemy się pluskwy w twojej głowie. — postukał się dokładnie między oczy. — Weź ten drobiazg z plastikowej torby — podniósł identyczną torbę, jaką miał Quaid — i włóż go sobie do nosa.

Do nosa? Co to za kawały! Chyba jednak lepsze niż kula w głowie, którą przyciągnęłaby pluskwa.

Otworzył plastikową torbę i wyjął instrument chirurgiczny. Wyglądał jak metaliczna macka Obcego.

Nacisnął przycisk i z maski wysunęły się cienkie drapieżne kleszcze. Przyrząd kojarzył mu się z czyhającym wężem, który łapie gwałtownie zdobycz i wciąga ją do kryjówek. Do nosa?

— Nie martw się, sam się naprowadza — powiedział uspokajająco Hauser. — Bądź twardy, przesun go w górę prosto do zatoki.

Quaidowi przypomniał się stary dowcip. „Gdy mój pies się źle zachowuje, daję mu stek”, „Ależ on z pewnością lubi steki”, „Ale jego nos nie lubi”.

Pies nie polubiłby na pewno takiego instrumentu w nosie. Quaid miał do wyboru stek lub własne życie.

Trzeba było to zrobić. Ostrożnie wsunął instrument do nosa. Skrzywił się pod wpływem bólu. Operował niebezpiecznie blisko mózgu. Wyobraził sobie jeden z rotacyjnych drenów czyszczących, wpuszczanych do kanału, by przegryzł każdy zator. Lecz zator w jego nosie nie był łątnem, które się gdzieś zaklinowało, ale najprawdziwszą tkanką!

— Ostrożnie — powiedział Hauser z ekranu. — To też jest moja głowa.

Nie pieprz! Quaid usiadł ostrożnie i kontynuował zabieg. Metalowy wąż rzeczywiście sam się naprowadzał, zdaje się, że wiedział dokąd zmierza. Musiał mu zaufać. Cholera, rzygać mu się chciało.

Richter i jego ludzie rozsypali się wewnątrz ogromnej fabryki, rozpoczynając poszukiwania. Używali małych, lecz silnych latarek. Zachowywali się cicho, jednak płoszyli szczury i gołębie. Richter żywił nadzieję, że nie ostrzeże to ofiary, chciał ją zaskoczyć. Choćby z tego powodu, że mogło to ocalić kilka istnień ludzkich. Musiał przyznać z podziwem, że Quaid był niesamowity. Jednego dnia ośmiu agentów zostało zabitych przez człowieka, który nie wiedział kim jest. Dobrze to świadczyło o treningu w Agencji! Żałował tylko, że nie stać ich było na identyczny trening dla wszystkich.

Krzywiąc się niemilośnie, Quaid przesunął instrument. Pokonał ostatni bolesny

odcinek. Nacisnął przycisk.

Chrupnęła chrząstka i ból minął. Zastąpiły go nasilające się katusze. Quaid zatoczył się osłabiony. Czy kula bolała bardziej? W każdym razie, była szybsza.

— Kiedy usłyszysz chrzęst, będzie po wszystkim — powiedział Hauser starając się dodawać otuchy.

— Jezu, dzięki że pan mi to mówi, doktorze!

Quaid oparł się o ścianę i odpoczywał z macką ciągle zaklinowaną w jego nosie. Czuł jak krew przesącza się przez jamę zatokową, niczym wrząca solanka przemierzająca zimne skały wapiennych jaskiń. Boże, co za ból! Nos miał tak nabrzmiały, że oczy chyba przesunęły się na boki, jak u żaby. Tymczasem Hauser ciągle mówił. Podszedł bliżej do kamery.

— Plan jest następujący. Rusz dupę na Marsa. Wynajmiesz pokój w Hiltonie. Posłużysz się kartą Brubakera.

Nastąpiło krótkie ujęcie fałszywych kart leżących w torbie

— Tu jest wszystko. Zrób co ci mówię, a załatwimy skurwiela, który dopieprzył nam obu. — Ton głosu Hausera stał się bardziej osobisty. — Liczę na ciebie, koleś. Nie zawieź mnie.

Telewizor wyłączył się samoczynnie. Quaida ponownie ogarnęły ciemności. Był zdruzgotany, nie tylko w powodu bólu.

Otrzymał informacje, których pragnął. Jest lub był Hauserem, agentem wywiadu marsjańskiego. To wyjaśniało jego umiejętności w posługiwaniu się rękoma i bronią. AGENTAMI nazywano zabójców działających na rozkaz. Był kiedyś po złej stronie, a teraz po właściwej, co oznaczało, że dawni kumple byli teraz jego wrogami. Lecz skoro złapali go po przejściu na drugą stronę, co było najwyraźniej prawdą, dlaczego po prostu go nie zabili? Dlaczego zaakceptowali niezwykle trudności, by ustawić go w życiu, chociaż byli pewni, że dla Ziemi okazał się zdrajcą, dlaczego dali mu lalkę taką jak Lori i stałą, choć nudną pracę? Myślał, że chronią go, by mógł złożyć zeznania przed sądem. Lecz zdaje się, że to nie przyjaciele, ale wrogowie tak się o niego troszczyli. I to właśnie odbierało wszystkiemu sens. Nadal nie znał wielu szczegółów.

Ale przynajmniej orientował się, gdzie szukać odpowiedzi. Wciągnął głęboko powietrze, chwycił mackę i wyciągnął z nosa. Wyszła, ciągnąc za sobą smugę krwi i śluzu, a ból się nasilił.

Oszołomiony patrzył na lśniąca srebrną kuleczkę znajdującą się w małych okrwawionych kleszczach. A więc tak wygląda pluskwa! W pierwszej chwili chciał ją wyrzucić, ale wpadł na lepszy pomysł.

Odwinął ręcznik z głowy i wytarł nim krew z rąk i twarzy. Złapał marsjański baton.

Widział szczury kryjące się w cieniu. Wieści znów się rozeszły. Dają darmowe żarcie. Był w miłym nastroju, chociaż nos go bolał, jakby przytrzasnęła go ogromna pułapka

na myszy.

— Ustawcie się w kolejkę, przyjaciele — wymruczał do szczurów. — Chcę, żeby każdy miał równe szansę.

BIIIP! Jasna czerwona kropka pojawiła się na wykrywaczu.

— Mam go! — wrzasnął Richter. Biegiem poprowadził agentów przez fabrykę.

Quaid zaczął pakować torbę. Zamierzał włożyć do niej gramowid, gdy strumienie światła przecięły mgliste powietrze. Rzucił aparat i pobiegł w kierunku sterty gruzu, w momencie, gdy grad kul zaczął pustoszyć halę. Ktokolwiek strzelał, nie wiedział, czym jest litość. Quaid cicho zeskoczył z okna i pobiegł przed siebie tak szybko, jak mógł.

Richter i jego ludzie wystartowali w prawo i w lewo jak rakiety reagujące na ciepło. Wykrywacz dokładnie pokazywał, kryjówkę ofiary. Głupiec, zapomniał o tłumieniu sygnału, jeśli w ogóle o tym wiedział. Może wcześniej nieświadomie zakłócił przekaz.

— Rusza się — powiedział Richter — Tam!

Popędził przez drzwi do pokoju, na który wskazał.

Coś tam się ruszało. Rozpętali burzę ognia, kule rozerwały na strzępy cały pokój.

Przestali strzelać. Nagle zrobiło się bardzo cicho. Nie widać było żadnego ciała.

Co jest, kurwa? Richter sprawdzał wykrywacz.

Czerwona kropka nadal się poruszała. Rozległ się jakiś dźwięk. W otaczającej ciszy zabrzmiał niezwykle głośno.

— Tam! — krzyknął Richter.

Automatyczne pistolety oddały kolejną serię strzałów. Blaszana puszka poleciała w górę, podziurawiona jak rzeszoto. Znów sprawdził wykrywacz. Czerwona kropka umykała.

— Nie, tam! — wskazał punkt poniżej unieruchomionej taśmy montażowej.

Przebiegli wzdłuż niej, strzelając z biodra.

Ciągle nie mogli znaleźć żadnego ciała — i ciągle kropka poruszała się na wykrywaczu, dokładnie tam, gdzie ostatnio strzelali. Czy ten człowiek był nieśmiertelny?

Rozległ się delikatny dźwięk, coś się poruszało po podłodze w ciemnościach.

Strzelili w tamtym kierunku, trafiając w stertę złomu.

Richter poświecił latarką. Ciała Quaida tam nie było.

Zdumiony jeszcze raz spojrzął na wykrywacz. Migająca kropka wyraźnie wskazywała, że powinien znajdować się bezpośrednio przed nimi. Ale go nie było. Był tylko złom.

Richter przesunął po nim promień światła i oświetlił... przerażonego szczura z kawałkiem opakowania po marsjańskim batonie w pyszczku. Wykrywacz cały czas namierzał szczura.

Richter zrozumiał. Ten sukinsyn nakarmił pluskwą szczura. Ścigali szczura, gdy tymczasem ofiara uciekła.

Znów ich wymanewrował.

Wściekły, rozwalił szczura na strzępy.

Gdy czerwona mgła wściekłości ustąpiła mu sprzed oczu, uświadomił sobie, że Helm stoi obok trzymając w rękach szczątki gramowidu. Trafiła go zabłąkana kula i teraz skrzeczał jak pęknięta płyta. Richter powoli odwrócił głowę i popatrzył na skaczący fragment nagranej wiadomości, powtarzający się na uszkodzonym ekranie.

Pozostał tylko mały kawałek dysku, lecz to wystarczyło, by rozpoznać głos Hausera.
„ ... rusz dupę na Marsa sqwrtrk rusz dupę na Marsa...”

ROZDZIAŁ 14

Statek

Helm prowadził. Richter, wściekły, przygotowywał się do oficjalnego raportu. Nastawił wideofon na nagrywanie i obserwował odbicie własnej twarzy, które pojawiło się na monitorze.

— Sytuacja wygląda źle. Quaid zachował umiejętności nabyte na treningach.

Pomógł mu Stevens i Bóg wie kto jeszcze. Wykrzywił usta niczym fachowiec otoczony przez niekompetentnych amatorów, niech Coahaagen zrobi z tym, co zechce.

— Postawiłem w stan ostrego alarmu wszystkie kosmodromy. Jeśli Quaid nie pojawi się do startu, łapię pierwszy wahadłowiec i będę oczekiwał go na Marsie.

Wcisnął klawisz. Dysk cofnął i odtworzył nagranie...

„...oczekiwał go na Marsie”.

Wystarczy. Odwrócił się do agenta siedzącego z tyłu i wręczył mu nagrany dysk.

— Nadaj to Coahaagenowi, po moim wyjeździe.

Mężczyzna skinął głową. Nie musiał wiedzieć, dlaczego wiadomości przekazywano w ten sposób, miał tylko wykonywać rozkazy. Gdyby Coahaagen spróbował je odwołać, będzie za późno.

Richter zamierzał dopaść swoją ofiarę bez względu na to, kto stanie mu na drodze, nawet jeśli będzie to własny szef.

Przez pracujące wycieraczki widział zbliżający się kosmodrom. Podróż na Marsa miała przynajmniej jedną dobrą stronę, pozwoli mu zapomnieć o tym pierdolonym deszczu! Mars był suchy, pusty, nigdy nie spadnie tam ani kropla deszczu. Następnego dnia Richter przemierzał dużymi krokami sekcję wypoczynkową statku. Spora grupa strażników starała się nadążyć za nim. Statek drżał i huczał gotowy się do startu.

— Szukaliśmy wszędzie — powiedział jeden ze strażników. — Na pokładzie bagażowym, w galerii...

— W kabinach załogi — dorzucił inny strażnik.

— W osłonie podwozia? — spytał zwięźle Richter.

Strażnicy spojrzeli po sobie.

Zdaje się, że ją przeoczyli.

— Ja sprawdzę — powiedział Helm. Zbiegł po kilku schodkach. Richter minął iluminator. Zobaczył za nim silniki i skrzydła kosmicznego liniowca. Był to statek pasażerski o dużej nośności, wolniejszy lecz wygodniejszy od wahadłowca. Turyści zwykle skarżyli się na przyspieszenie i stan nieważkości, chociaż ekonomiczniej byłoby przyspieszyć szybko, a potem żeglować. Czego się nie robi dla cholernych turystów!

Kontynuował przeszukiwanie na pokładzie kabinowym. W każdej kabynie znajdowała się kapsuła z przezroczystego tworzywa, w której sypiali pasażerowie. Stali pasażerowie zwykle spędzali długą podróż w zaciszu komfortowej kapsuły. Większość turystów ustawiała kapsuły na sen i budzenie, żeby nacieszyć się towarzystwem innych pasażerów i niektórymi wspaniałościami Kosmosu, które mogli obserwować przez zewnętrzne iluminatory. Kabiny posiadały również iluminatory od strony korytarza i, na szczęście dla Richtera, większość pasażerów jeszcze ich nie zasłoniła.

Do Richtera przecisnął się kapitan statku, kipiący ze złości.

— Znowu?!

Strażnicy już dwukrotnie sprawdzali kabiny. Richter zignorował kapitana. Szedł korytarzem zaglądając przez iluminatory w twarze pasażerów, którzy ustawiali się karnie do kontroli. Ujrzał, że jeden z nich stoi plecami do iluminatora. Uderzył pięścią w szkło. Wystraszony pasażer odwrócił się natychmiast.

— Nikt nie przybył, nikt nie ubył — powiedział kapitan.

Miał najwyraźniej po dziurki w nosie tej kontroli, ale nie mógł jej przerwać.

Nadal ignorując kapitana, Richter doszedł do kilku zaciemnionych iluminatorów. To było bardziej obiecujące! Gwałtownie otwierał drzwi. Żaden z pasażerów nie przypominał Quaida.

— Mamy ponad dwie godziny spóźnienia! — zaprotestował kapitan.

Kiedy Richter nie odpowiedział, kapitan postanowił działać.

— Włączyć silniki. Startujemy — powiedział spokojnie przez sieć wewnętrznej łączności.

Nigdzie nie wystartujecie, dopóki nie pozwolę — pomyślał Richter. Dalej przeszukiwał kabiny.

Ogromna gruba kobieta szła kołysząc biodrami od strony rufy. Targała za sobą mnóstwo paczek. Gdy kapitan odwiesił słuchawkę, przecisnęła się obok niego. Była tak próżną kobietą, że nosiła wysokie obcasy, chociaż przez to przewyższała większość mężczyzn, a jej baleronowate nogi na pewno nie stały się zgrabniejsze.

— Przepraszam panią — powiedział kapitan z wymuszoną grzecznością — ale będzie pani musiała wrócić do swojej kapsuły.

— Gdzie jest moja kabina? — wysapała gruba kobieta pokazując kartę pokładową.

— Numer dziewiętnaście. Cały czas prosto.

— Dziękuję — kobieta bez pośpiechu ruszyła przed siebie, kołysząc się na obcasach. Silniki huczały coraz głośniej, zwiększając obroty zgodnie z poleceniem kapitana. Richter wyskoczył z kabiny, którą właśnie sprawdzał, odepchnął na bok grubą kobietę, nie kryjąc przy tym niezadowolenia z bliskiego kontaktu.

— Co to za hałas?

— Startujemy, bo nie zdążymy skorzystać z odpychania Księżyca — wyjaśnił kapitan.
— Miło będzie gościć pana na pokładzie.

— Nie wystartuje pan bez mojego zezwolenia! — warknął Richter.

— Kontrola bezpieczeństwa ma pierwszeństwo przed rozkładem lotów.

— Naprawdę? Będę musiał sprawdzić w regulaminie. Proponuję, żeby teraz zajął pan jedną z pustych kapsuł, jeśli nie chce pan wylądować na podłodze, gdy będziemy przyspieszać. Śluzy wejściowe już zamknęliśmy.

Richter zdał sobie sprawę, że kapitan pograł z nim, tak jak on z Coahaagenem. Nie udowodni, że kapitan nie wiedział, iż kontrola bezpieczeństwa ma pierwszeństwo, a zanim ściągną regulaminy, problem stanie się czysto akademicki. I tak będą w Kosmosie. Popatrzył na kapitana, gotów rzucić cierpką uwagę, gdy nadbiegł Helm.

— Sprawdziłem podwozie. Czyste.

Kapitan zatrzymał przechodzącą stewardesę.

— Charlotte, zaprowadź panów do kabin — powiedział wesołym tonem.

Ruszył ku dziobowi.

— Proszę za mną — powiedziała stewardesa obdarzając agentów pięknym uśmiechem.

Richter zmuszony pójść, zgrzytnął zębami. Pocieszał się tylko tym, że Coahaagen będzie musiał zrobić to samo, z jeszcze większą złością. Richter i Helm poszli za Charlottą na tył statku. Kapitan tymczasem minął grubą kobietę, która nie szczędziła wysiłku, by wejść do górnej kapsuły.

— Gdzie jest moja kabina? — spytała.

— Jest pani w niej — odpowiedział cierpliwie kapitan.

Pokręcił głową. To był długi dzień.

Richter spojrzął za siebie i uśmiechnął się. Cieszył się, że kapitan też ma kłopoty. Dobrze mu tak.

Charlotte wskazała im kabinę. Uśmiechnęła się szczerze, wykonywała swój zawód z takim samym profesjonalizmem jak Richter. Co robiły piękne stewardesy w czasie długich godzin podróży po służbie? Może warto byłoby się tego dowiedzieć, skoro już tu utknęli. Byłaby użytecznym sojusznikiem, gdyż stykała się ze wszystkimi pasażerami. Gdyby tak mogła składać mu raporty o tym, co wyda się jej niezwykle... Richter posłał jej czarujący uśmiech, równie obłudny, jak uśmiech Coahaagena.

— Dziękuję pani — powiedział. — Może zobaczymy się wkrótce?

Uśmiech dziewczyny zamarł, jakby właśnie zobaczyła tarantulę w swojej torebce.

— Wątpię, sir — powiedziała cofając się szybko.

Cholera!

Gruba kobieta pośpiesznie zamknęła drzwi i zasłoniła iluminator.

— Gdzie jest moja kabina? — spytała, chociaż nie było nikogo, kto był mógł jej odpowiedzieć.

Podniosła rękę, złapała się za uszy i pociągnęła. Jej twarz pękła pośrodku. Skóra opadła z obu stron nosa, razem z tłustymi policzkami i podbródkiem.

Pod spodem była twarz mężczyzny, twarz Douglasa Quaida. Ściągnął resztki sztucznej twarzy. Fałszywe były nawet włosy i małe kolczyki. Pęknięcie dzielące sztuczną twarz złączyło się, maska wróciła do pierwotnego stanu, wyglądała jakby uszło z niej powietrze.

— Gdzie jest moja kabina? — zagadała znów twarz kobiety. — Gdzie jest moja kabina?

Quaid postukał palcem maskę.

— Gdzie jest moja kabina? — paplała jak nakręcona.

Zirytowany walnął maską o ścianę. Zamilkła. Odsapnął. Po chwili twarz przemówiła. — Dziękuję.

Uśmiechnął się mimo woli. Przynajmniej spełniła swoje zadanie, oszukała napastników.

Nie ściągnął sukienki ani znajdujących się pod nią wypełnionych pianką warstw plastiku, które przeistaczały jego wysportowaną sylwetkę w olbrzymie cielsko grubej kobiety. Nie przeszkadzały mu, a poza tym nie chciał, żeby go schwytano na pokładzie. Zdecydował już, że prześpi podróż i wciągnie maskę po starcie. Nie było więc sensu dokonywać zmian.

Kładąc się w kapsule spojrzął na najbardziej niezwykłą część przebrania, którą dostarczył Hauser. Kalosze, które miał na nogach, pokryte były cienkimi, elastycznymi hologramami, które stwarzały iluzję, że chodzi w pantoflach na wysokich obcasach. W ten sposób jakby zmalał o trzy cale. Wprawdzie nadal był dużą kobietą, lecz jego wzrost już nie raził. Będzie musiał jedynie uważać, aby nigdy nie odsłonić kolan, ponieważ łydki wydałyby się nieproporcjonalnie krótkie. Innych zmartwień praktycznie nie miał. Sukienka sięgała prawie do kostek dokładnie zasłaniając nogi. Quaid ukrył jeszcze kilka innych rzeczy. Wiedział, że będzie mu potrzebny pistolet i że zwykłej broni nie przeszmułowałby do wagonu metra, nie mówiąc już o statku kosmicznym. Na „czarnym rynku” kupił więc specjalny egzemplarz. Wykonany był głównie z plastiku i innych niemetalicznych tworzyw, które nie wywoływały alarmu. Plastik był twardy jak metal, kule też były plastikowe, a w środku miały plastikowy materiał wybuchowy. Od

dziesiątków lat obowiązywał zakaz produkcji takiej broni, lecz można ją było zdobyć — za odpowiednią cenę. Pistolet Quaida był sprytnie zaprojektowany. Po rozłożeniu zamieniał się w niewinne drobiazgi codziennego użytku. Guziki przy sukience, ozdoby na pantoflach, grzebienie we włosach naprawdę służyły innym celom i nawet kontrola osobista nie odkryłaby ich przeznaczenia. Złożenie pistoletu będzie wymagać sporo pracy, ale ta broń może uratować mu życie. Na razie jej nie potrzebował, gdyż był w doskonałym przebraniu!

Chociaż teraz, kiedy miał już za sobą kontrolę pokładową mógł zmontować pistolet i ukryć go w torebce. Po wylądowaniu na Marsie rozłoży go na kilka głównych części i schowa do torebki i kaloszy. Na Marsie nie było wymyślnych aparatów rentgenowskich i ograniczano się do rutynowych, dość pobieżnych kontroli osobistych.

Mógł więc przemycić pistolet i potem szybko go zmontować. Będzie musiał poprawić nieco swój ubiór, na którym zabraknie kilku guzików, ale kobiety były znane z częstych zmian garderoby. Wszystko będzie w porządku, chyba że rozszałe się tornado. Ale na prawie pozbawionym atmosfery Marsie było to mało prawdopodobne.

Silniki ryczały coraz głośniejsze. Statek zdrzął gwałtownie. Te łotry będą miały szczęście jeśli nie potłuką się podczas startu. Pospiesznie przypiął się pasami do koi, gdy statek dźwignął swoje cielsko.

Quaid leżał odprężony. Tylko w ten sposób poradzi sobie z przyspieszeniem. Mógł teraz spokojnie pogrzebać w pamięci, dodając to, czego dowiedział się ostatniej nocy. Nazywał się więc Hauser, był agentem, który zdradził, bo miał sumienie.

Spodobała mu się ta myśl. Znał wystarczająco dobrze metody działania Agencji, i nie chciał być z nią łączony. Ale jaka tajemnica czyniła go tak niebezpiecznym dla nich?

Tu była luka w pamięci. Dlaczego zadali sobie tyle trudu i utrzymywali go przy życiu, dlaczego wysłali grupę agentów, która go obserwowała i dbała, by prowadził spokojne życie. Z jakiego powodu był im potrzebny?

Tu też była luka.

W końcu jednak leciał na Marsa, gdzie były wszystkie odpowiedzi, gdzie żyła kobieta z jego snu. Nie był pewien, czy ona rzeczywiście istnieje. Śnił o niej, ponieważ ją pamiętał, mimo że pamięć stłumił wszczep, który uczynił go Quaidem. Nastąpił jednak przeciek, który obudził pragnienie powrotu na Marsa, wywołał obraz kobiety. Jeśli ją znajdzie, dotrze do reszty swojej przeszłości. Będzie więc miał do czynienia z Coahaagenem.

Gdy Hauser o tym mówił, jego słowa brzmiały prawdziwie. Nie przeżyje, jeśli Coahaagen i jego pacholki pozostaną na wolności.

Przyspieszenie wcisnęło go w koję, oddychanie stało się nagle ciężką pracą. Myślał o trzech sprawach. Dopadnięciu Coahaagena, miłości z kobietą z Marsa i o czymś jeszcze, co miało ogromne znaczenie, lecz nie potrafił sobie przypomnieć, co to było.

Na razie.

Skupił myśli na tej trzeciej sprawie, wiedząc, że była kluczem do reszty. To tego szukał razem z kobietą na Marsie, to w trakcie poszukiwań tego spadł do szybu. To znajdowało się pod powierzchnią Marsa. Ale co to było?

Wszystko to stanowiło tylko jedną stronę zagadnienia. Istniało ich o wiele więcej...

Stracił wątek. Przestał rozmyślać i odsunął zasłonę, by popatrzeć przez iluminator. Wyobraził sobie, że zamienia się w ducha, hologram, wylatuje przez szybę i przemierza statek, a potem wydostaje się na zewnątrz, aby zobaczyć huczące silniki plujące językami ognia. Zbliżał się do nich, aż cały jego świat wybuchnął czerwienią.

Gdyby tylko mógł spalić swoją fałszywą egzystencję i odkryć prawdziwą tożsamość, dowiedzieć się czego poszukiwał w najgłębszych zakamarkach umysłu, co było tak ważne, że mogło zmienić los świata...

ROZDZIAŁ 15

Kosmodrom

Było ciemno i cicho. Potem w polu widzenia pojawił się Phobos, większy z dwóch kartoflanych księżyców Marsa. Jego średnica wynosi około siedemnastu mil. Jest bardzo małym księżycem, ale i tak prawie dwukrotnie większym od swego towarzysza Deimosa. Był tak brzydki, jak brzydka może być zwietrzała bryła skalna wyrwana z większego ciała niebieskiego, zimna i nieregularna. Lecz było to doskonale miejsce na rendez vous, bo był stałym ciałem, chociaż pozbawionym ciężenia.

Do księżyca podpłynął kosmiczny liniowiec. Na tle Phobosa wyglądał jak drobny punkcik. Chwilę później nad księżycem i liniowcem zawisła potężna czerwona bryła Marsa. W porównaniu z nimi stawał się tak wielki, że widać było tylko jego łukowaty fragment. Mars to jedna z najmniejszych planet Układu Słonecznego, a jego masa przekracza zaledwie jedną dziesiątą masy Ziemi. Tak oto perspektywa zmienia wrażenie!

Na pokładzie małego wahadłowca Quaid obserwował Phobosa i odlatujący liniowiec. Inni pasażerowie nie zwracali na widok najmniejszej uwagi, znudzeni zarówno zbliżającym się lądowaniem, jak i resztą kończącej się podróży. Pragnęli turystycznych pamiątek i hazardu.

Ale Quaid był zafascynowany widokiem. Tu znajdowało się rozwiązanie zagadki. Planeta była równie ważna jak ludzie. W krajobrazie Marsa było coś...

Wahadłowiec zmniejszał odległość do planety. Stopniowo przesunęła się pod jego brzuch. Nie wisiała już nad głową Quaida, który teraz poczuł się rażniej. Wahadłowiec przelatywał nad okolicą pokrytą pryszczami kraterów. Quaid nie mógł oderwać od nich wzroku. Wszystko wyglądało jak w jego śnie, tylko, tylko... Potrząsnął głową. Nie mógł sobie przypomnieć. Jego pamięć nie funkcjonowała. Wydawało mu się, że okręcono go grubą, mocną i szorstką liną, która nie pozostawiała swobody, zadawała ból, gdy próbował z nią walczyć. Żeby się uwolnić musiał nie tylko odzyskać pamięć.

Rzeźba terenu była agresywna, jakby wykonano ją specjalnie dla boga wojny. Quaid

zobaczył fragment ogromnego liczącego prawie trzy tysiące mil, przebiegającego wzdłuż równika kanionu zwanego Valles Marineris, przy którym Wielki Kanion Colorado wydawał się kanałem. W niektórych miejscach ściany kanionu zawaliły się, najwyraźniej podmyto kiedyś przez powódź. Dawno temu na powierzchni Marsa było mnóstwo wody, teraz pozostały olbrzymie lodowce przysypane pyłem i piachem. Nikt nie wiedział ile wody w nich zamarzło ani co leżało pod nimi. Ujrzał trzy wspaniałe kratery wulkanów wieńczących Wzgórza Tharsis.

Znał tę okolicę! — pomyślał nagle.

Lecz gdzie była ta rzecz zagrzebana na dnie w jego pamięci? Miała coś wspólnego z lodem...

Wahadłowiec doleciał do szczytu Olimpu. Pamiętał, że góra liczy piętnaście czy szesnaście mil wysokości. Była wspaniała i tak inna od wszystkich gór w Układzie Słonecznym. To dziwne, że planeta o wiele mniejsza od Ziemi miała wulkan wyższy od największych szczytów ziemskich. Powodem było mniejsze ciężenie, i mniejsze niż na Ziemi przesunięcia płaszcz planety. Na Ziemi taka góra już dawno zostałaby zniszczona przez siły ciężenia i pogodę, a przesuwany się płaszcz odcinał wulkany od ich źródeł, uniemożliwiając większą aktywność. Stare skały zapłonęły, gdy wahadłowiec zaczął pionowo podchodzić do lądowania. Na zarzuconej głazami Równinie Chryse otworzył się dach kosmodromu, kryjący pod sobą pas lądowiska. Wahadłowiec nadleciał nad kosmodrom. Dach zamknął się nad nim. Było to konieczne, ponieważ na Marsie było zbyt mało powietrza, żeby można było prowadzić wyładunek na zewnątrz.

Quaid przebrany za grubą kobietę podążył do wyjścia razem z innymi turystami. Pokazał jeden z dostarczonych przez Hausera paszportów, zaopatrzonego w pieczęć Federalnej Kolonii Marsjańskiej Konfederacji Narodów Północy.

Paszporty lustrowano pobieżnie, Mars potrzebował i turystów i kolonistów, biurokratyczną procedurę zredukowano więc do minimum. To znaczy, że każdy przybywający był sprawdzany przez kilka godzin.

Oczywiście, byłoby lepiej, gdyby procedurę skrócono do dwóch minut, ale biurokraci nie byli do tego zdolni. Nawet sprawdzenie jednej małej torby, zawierającej tylko jedyny baton marsjański zajmowało przynajmniej godzinę. Na innych planetach, na których nikomu nie zależało na robieniu dobrego wrażenia, kontrola trwałaby około czterech godzin, a nawet więcej jeśli podróżny zrobiłby najmniejszy gest niezadowolenia. Biurokraci byli małymi tyranami i nigdy nie chcieli zrozumieć dlaczego goście ich nie lubią.

Na szczęście, ciężenie marsjańskie nie utrudniało stania w kolejce.

Nawet taka gruba kobieta jak on, mogła to wytrzymać. W Hali Imigracyjnej kosmodromu podróżni stali w trzech długich kolejkach, czekając na kontrolę przeprowadzaną przez trzech urzędników. Dlaczego nie przysłano im do pomocy

tuzina innych urzędników płaczących się między statkami?

Richter uśmiechnął się z wyższością. Bo odprawa przebiegałaby zbyt sprawnie. Przybywający winni odczuć potęgę biurokracji, którą demonstrowano zmuszając ich do tracenia czasu w wielogodzinnych kolejkach. Popierał takie posunięcia. Cywilom należy ciągle przypominać, kto tu rządzi.

Rozejrzał się wokół. Imponującej wielkości zdjęcie Cohageena wisiało na frontowej ścianie, pozdrawiając wszystkich gości. W całej hali rozstawieni byli żołnierze z bronią w ręku, gotowi wkroczyć natychmiast do akcji, gdyby ktoś miał ochotę zaprotestować przeciw obowiązującym regułom.

Richter przypomniał sobie film wideo o dawnych czasach, pokazujący jak naziści przy pomocy wyszkolonych, ostrych psów radzili sobie z ludźmi stojącymi w kolejkach. Był zachwycony filmem.

Dostrzegł grubą kobietę stojącą w kolejce za matką trzymającą na ręku małe dziecko. Dzięki Bogu, Lori nigdy nie przytyje! Na myśl, że wkrótce ją zobaczy, ożywił się jeszcze bardziej.

Pojawiła się eskorta złożona z żołnierzy. Odsunęli ludzi na bok, żeby zrobić przejście dla Richtera i Helma. Przeszli w stronę czoła najbliższej kolejki. Przechodząc, odepchnęli grubą kobietę, która zabawiała roześmianego bobasa. Richter wzdrygnął się, gdy jej przypadkowo dotknął.

Nadeszło dwóch agentów w cywilnych ubraniach. Pozdrowili Richtera i Helma z ceremoniałem należnym VIP — om. Dlaczego nie!

— Witam w domu, panie Richter — powiedział jeden z nich z entuzjazmem. — Pan Cohaagen, chce pana zaraz zobaczyć.

Richter minął agentów, ledwo zwrócił na nich uwagę.

— Co to jest, do kurwy nędzy? — wskazał napis na ścianie.

„Kuato żyje”.

Właśnie go zamalowywano.

— Sytuacja uległa pogorszeniu — powiedział agent przez zaciśnięte zęby. — Ubiegłej nocy rebelianci zajęli rafinerię. Wstrzymano produkcję turbinytu.

Richter i jego świta przeszli halę. Był oburzony. Ostatnią rzeczą jaką potrzebowali było przesłanie od tajemniczego przywódcy Frontu Wyzwolenia Marsa!

Ściganie tego zdrajcy Hausera było wystarczająco kłopotliwe i nie miał ochoty uganiać się za grupą rzekomych rebeliantów. Największy problem z nieistniejącymi ludźmi polega na tym, że nie można ich zabić.

— Czy są jakieś wieści o Hauserze? — przypomniał sobie o swojej misji.

— Ani słowa.

Zmartwiony nieudanym pościgiem zatrzymał się i spojrzał za siebie na cierpliwie czekających ludzi. Dziecko bawiło się włosami grubej kobiety. Przebrała się, ale nowy

strój nie dodał jej urody. Dziecko nieświadome własnej siły pociągnęło mocno jej włosy.

— Gdzie jest moja kabina? — zabrzmiało absurdalne pytanie. Richter skoncentrował wzrok na kobiecie, odczuwając mglisty niepokój. Czy tylko tyle potrafiła powiedzieć? Kobieta otworzyła usta, robiła wrażenie wystraszonej. Dziecko roześmiało się głośno. No tak, zabawiała bachora. Richter odwrócił się, zapominając o wcześniejszym niepokoju. Jego eskorta prawie opuściła już Halę Imigracyjną.

— Gdzie jest moja kabina? — spytała ponownie kobieta.

Richter zatrzymał się i jeszcze raz obejrzał. Nagle mgliste podejrzenie zamieniło się w absolutną pewność. Czy to możliwe?

Gruba kobieta najwyraźniej próbowała ukryć się w tłumie, zasłaniając twarz, jakby słowa wypływały z ust wbrew jej woli. Dziecko śmiało się na cały głos. Spoglądali na nią teraz inni ludzie, także żołnierze, którym jej zachowanie wydawało się dziwne, ale nie podejrzane. Kobiety szalały za dziećmi, to była jedna z ich najbardziej nieznośnych cech.

Gruba kobieta i Richter skrzyżowali spojrzenia. Teraz zrozumiał!

— To Quaid! — wrzasnął. — Łapcie go!

Kobieta wyskoczyła z szeregu i popędziła na czoło kolejki poruszając się zdumiewająco sprawnie przy swojej tuszy. Jej twarz rozpadła się na dwie połówki. Żołnierzy ogarnęło przerażenie, myśleli, że kobieta cierpi na jakąś obrzydliwą chorobę. Biegła w ich stronę, a oni niemal powpadali na siebie robiąc jej miejsce. Dzięki temu zwiększyła się odległość między nią a Richterm.

Richter przedzierał się za Quaidem, wyciągając pistolet, lecz nie mógł strzelać.

Kolejka rozsypała się. Ci kretyni zasłaniali mu widok.

Przed Quaidem wyrósł żołnierz z wyciągniętą bronią. Quaid podbił mu ramię, pchnął na drugiego żołnierza, trzeciego rąbnął w twarz. Richter podziwiałby sprawność tego człowieka, gdyby nie był zajęty pościgiem. Trening w Agencji nie poszedł na marne!

Lecz tym razem Quaid się nie wywinie. Był uwięziony na kosmodromie, ludzie gromadzili się pod ścianami, za chwilę będzie widoczny jak na dłoni. Quaid pognał korytarzem. Tym razem zrobił błąd! Zamieszanie minęło. Ścigało go sześciu żołnierzy, a za nimi biegli Richter i Helm. Jeszcze moment i zapędzą szczura do rogu!

Przy skrzyżowaniu korytarza znajdowało się olbrzymie okno. Za nim widniał jałowy krajobraz Marsa. Na zewnątrz panowała niemal próżnia, żaden człowiek tamtędy nie ucieknie!

Quaid miał właśnie skręcić za róg, gdy zobaczył młodego żołnierza blokującego drogę. Quaid rzucił sflaczałą maskę, którą żołnierz chwycił instynktownie. Maską załamała się do środka, mówiąc. — Czeka cię wielka niespodzianka! Żołnierz spojrział zdumiony — maska eksplodowała mu w rękach.

Wybuch rozbił okno. Odłamki poleciały na zewnątrz wypchnięte ciśnieniem. Nastąpiła dekompresja kosmodromu. Tornado wywołane ucieczką powietrza pustoszyło halę. Każdy chwycił się, czego mógł, walcząc o życie.

Idiota! — pomyślał Richter.

Prawie zagnali szczura do rogu, a Quaid wywinął im taki numer. Teraz wszyscy mieli kłopoty.

Zobaczył, że Quaid chwycił się balustrady przy schodach prowadzących w dół. Ten człowiek poradzi sobie w każdej sytuacji!

Ucieknie korzystając z balustrady i żołnierze nie będą mogli mu w tym przeszkodzić. Żołnierz znajdujący się najbliżej okna został wyspany na zewnątrz. Sukienka i plastikowy gorset Quaida poleciały w ślad za żołnierzem. Quaid został w koszulce z krótkimi rękawami i podwiniętych spodniach, które nosił pod kostiumem i w dziwacznych pantoflach na wysokich obcasach. Ale utrzymał w ręku torebkę!

Urzędnik imigracyjny przedostał się do konsoly rozdzielczej i włączył alarm. Natychmiast z sufitu zaczęły zjeżdżać metalowe zapory, zasłaniając z głośnym hukiem okna i przejścia.

Boże! pomyślał Richter. To zapobiegnie nie tylko dalszej utracie powietrza, ale zatrzśnie się jak pułapka wokół Quaida, będą więc mogli dokończyć roboty. Nic nie rozbije tych zapór.

Widział, że Quaid rozgląda się niespokojnie. Tak, popatrz sobie gnojku.

Jesteś w ślepych zaułku! A ja...

Obok Quaida zaczęła opadać zaporą przed wejściem na schody. Quaid odepchnął się i przetoczył pod spodem tuż przed uderzeniem zapory o posadzkę. Był po drugiej stronie.

Richter zawył w duchu z wściekłości.

Metalowa zaporą zasłoniła rozbite okno. Gdyby był to myślący system, najpierw zasłoniłby uszkodzone okno i oszczędziłby wszystkim strachu. Tornado ucichło natychmiast. Turyści oddychali ciężko. Pieprzyć ich!

Richter podszedł do zapory przy schodach. — Otworzyć ją!

— Nie mogę — powiedział najbliżej stojący żołnierz. Był młodym, niedoświadczonym rekrutem. — Wszystkie zapory są ze sobą sprzężone.

Sfrustrowany i wściekły Richter wyrzucił go w twarz pistoletem.

ROZDZIAŁ 16

Venusville

Hałaśliwy, staromodny pociąg, prawdopodobnie relikw z dwudziestowiecznego nowojorskiego metra opuścił stację i wjechał w ciemny tunel. Słychać było stukot kół, migotały światła, jakby pociąg chciał wylecieć z szyn i rozbić się o filary tunelu. To wraz z tłokiem stwarzało uczucie niepokoju w pasażerach.

Quaid rozejrzył się, gotów błyskawicznie zareagować na każde niebezpieczeństwo. Nie był odpowiednio ubrany, ledwo udało mu się uchronić torebkę, gdy niezabezpieczone ubranie sfrunęło z niego. Robił teraz co mógł, żeby torebka przypominała zwykłą paczkę. Na szczęście, nikt się nim nie interesował. Zblazowani Marsjanie (każdy, kto spędził tu ponad rok uchodził za tubylca) pogrążeni byli w rozmowach, których fragmenty docierały do uszu Quaida.

— Po twoim wyjeździe Coahaagen znów podniósł ceny powietrza — powiedziała jakaś Marsjanka.

— Znów? — jej towarzysz nie skrywał rezygnacji. — To już trzeci raz w ciągu ostatnich dwóch miesięcy.

— Tak, a nasze pensje ciągle są takie same.

Interesujące, pomyślał Quaid. Nigdy nie wspomniano o cenie powietrza, gdy oferowano premie ewentualnym kolonistom. Kobieta odezwała się znowu, zniżając głos.

— Słyszałeś już o Hamiltonach?

— Zauważyłem, że ubiegłej nocy nie paliło się u nich światło.

— Nie pali się od kilku nocy.

— Może pojechali na wycieczkę?

— Można tak powiedzieć — stwierdziła kobieta z uśmiechem człowieka dobrze poinformowanego.

Mówiła niemal szeptem. Quaid wyteńczył słuch.

— Zobaczmy jak długo pociągnie Administrator, gdy wszyscy jego pracownicy

„pojadą na wycieczkę”.

Quaid podążył spojrzeniem za wzrokiem kobiety, wskazywał na plakaty, którymi wyklejono wnętrze wagonu. Obiecywały wielką nagrodę temu, kto pomoże schwytać tajemniczego przywódcę rebeliantów, Kuato. Nazwisko było wypisane potężnymi, czytelnymi literami.

Ale na plakacie nie było żadnego zdjęcia.

To jeszcze jedna z tych spraw, o których nie wspominały broszury zachęcające do emigracji na Marsa. Quaid nie miał pojęcia, że Front Wyzwolenia Marsa cieszył się tak szerokim poparciem. W wiadomościach przedstawiano powstańców jako garstkę niezadowolonych wichrzycieli. A tu okazywało się, że mieli wyraźne poparcie wyglądającej przeciętnie, jak typowi przedstawiciele średniej klasy, pary w metrze. Z pewnością Vilos Coahaagen nie był kochany przez wszystkich. Trudno się dziwić, skoro oszukiwał ludność na cenach powietrza, którym oddychała. Zapamiętał tę informację, później może się przydać.

Wagon zalało czerwone światło. Stukot ustał, gdy skład wjechał na powierzchnię. Quaid gapił się na niesamowity krajobraz, sycąc oczy. Mars był jałowy, okropny, lecz to był kraina z jego snu!

Przeszedł na drugą stronę wagonu, gdy z okien znikły odbicia. Patrzył zafascynowany, czuł jak zalewa go wzruszenie. Przed nim wznosiła się góra ze snu! Z boku było wejście do kopalni. Sen był prawdą! To o czym śnił, istniało naprawdę na Marsie!

Po chwili odwrócił się i postukał po ramieniu najbliższego Marsjanina.

— Przepraszam, co to takiego?

Mężczyzna spojrzał na Quaida, potem popatrzył przez okno.

— Mówi pan o Kopalni Piramidy? — zobaczył, że Quaid nie odrywa od niej wzroku. — Pracowałem tam kiedyś, zanim znaleźli to całe gówno Obcych. Teraz jest zamknięta.

Przedmioty należące do Obcych? Więc to też była prawda. Był tam, a sen stanowił wspomnienie, o tym co przeżył, nie był fantazją! Ale w jaki sposób przeżył upadek? Może uderzył się w głowę i stąd ta amnezja? Ale to nie wyjaśniało dlaczego chciano go zabić, albo dlaczego Hauser chciał dobrać się do Coahaagena. Ciągle wiedział zbyt mało!

— Można ją zwiedzać? — spytał, ciągle urzeczony widokiem.

— Nie podejdziesz nawet na dziesięć mil.

A więc kopalnia skrywała jakieś tajemnice. Dlaczego nie dopuszczano ludzi?

Wiedział, że jego nie powstrzymają, znajdzie sposób, by dostać się do kopalni i rozwikłać zagadkę przeszłości. I znajdzie swoją kobietę.

Kopalnia Piramidy wywierała równie duże wrażenie, gdy patrzyło się na nią z hallu prowadzącego do biura Coahaagena. Richter gapił się przez szklaną ścianę na górniczy

kompleks, pragnąc określić wartość tej zdumiewającej budowli. Wreszcie wszedł do gabinetu i stanął na wprost oparcia fotela Cohaagena, znajdującego się po drugiej stronie biurka.

— Chciał mnie pan widzieć, panie Cohaagen?

Cohaagen obrócił się z fotelem. Przez chwilę uśmiechał się do siebie.

— Richter — powiedział wreszcie. — Czy wiesz dlaczego jestem szczęśliwym człowiekiem?

Bo jesteś szefem i masz podwładnych, którzy myślą, przemknęło Richterowi.

Służbowy wyraz twarzy nie zdradzał jednak jego myśli.

— Nie, sir — powiedział z szacunkiem.

— Bo wykonuję wspaniałą, pieprzoną robotę — odparł spokojnie Cohaagen. — Jak długo dostarczamy turbinyt mogę robić, co mi się żywnie spodoba. Wszystko. Nikt nie zagłada mi przez ramię. Nikogo nie obchodzi jak żyję. I nikogo nic nie będzie obchodziło, jeśli kilku Marsjan sobie pocierpi. — przerwał.

— Powiem ci prawdę — ciągnął. — Nie zamieniłbym się miejscami z Przewodniczącym.

Z trudem zachowywał powagę. Trzymał Przewodniczącego w garści i wiedział o tym, lecz nie zdradziłby takiej informacji Richterowi. Maskarada jeszcze potrwa. Na razie.

Poza tym, rebelia nie była sprawą zabawną. Powstańcy przysparzali mu więcej kłopotów niż się spodziewał. Jeśli się ich nie powstrzyma... Ale nie warto było ciągnąć tej myśli. On ich powstrzyma.

Stał pochylony, opierając dłonie o biurko.

— Martwi mnie tylko, że wszystko się skończy, jeśli powstanie zwycięży.

Nagle Cohaagen wybuchnął, z furią wałąc pięścią w blat. Kula ze złotą rybką, która dekorowała jeden z rogów biurka podskoczyła.

— A wy, kurwa, pozwalacie, żeby to się stało! Nie słuchacie moich rozkazów! A potem, kurwa, pozwalacie mu zwać!

Richter zachowywał kamienny wyraz twarzy. Cohaagen w żaden sposób nie mógł udowodnić, że transmisja została przerwana, a tym samym, że Richter dopuścił się niesubordynacji. Obaj o tym wiedzieli.

— Miał pomoc, sir — powiedział spokojnie. — Ktoś od nas.

— Wiem — powiedział niecierpliwie Cohaagen.

— Ale myślałem... — Richter nie mógł ukryć zdumienia w głosie.

— A kto ci w ogóle kazał myśleć — warknął Cohaagen — Dostajesz ode mnie za mało informacji, żebyś myślał.

Pomachał wskazującym palcem przed nosem Richtera.

— Masz robić to, co ci się każe! Tylko tyle!

Cohaagen odzyskał spokój. Otworzył szufladę biurka i wyjął małe pudełko. Wsypał

kilka płatków do kuli z rybką.

— Przejdźmy do interesów — powiedział spokojnym tonem. — Kuato chce tego, co tkwi w głowie Quaida i być może dostanie. Krąży pogłoska, że facet sfiksował. Mam pewien plan, który nie dopuści do tego. Czy myślisz, że możesz przy tym współpracować?

Richter najchętniej wsadziłby łeb Cohaagena do szklanej kuli i poczekał aż rybka zje mu twarz, ale musiał odpowiedzieć.

— Tak, sir — wy dobył z siebie.

— Wspaniale! — wykrzyknął Cohaagen, podnosząc wzrok z promiennym uśmiechem. — Bo właśnie byłem gotów cię skreślić.

Quaid opuścił stację metra i wkroczył do skąpanej w oślepiających światłach luksusowej dzielnicy Chryse Planitia. To tutaj, bogaci ludzie prowadzili interesy. Piękny plac wychodził na okazałą Kopalnię Piramidy. Było tu mnóstwo miejsca, a przez czystą kopułę wpadało łagodne światło. Chciałby spędzać czas w takich miejscach, nawet jeśli nie musiałby grzebać się w pamięci. Tłok może panować w metrze, ale nigdy pod gołym niebem Marsa! Ziemia była przeludniona i zanieczyszczona, a tutaj... Ale nie miał czasu do stracenia. Agenci deptali mu po piętach i wkrótce go dogonią. Musiał zniknąć pod przybranym nazwiskiem. Rozejrzał się i zobaczył wejście do Hiltona. Wszedł do środka. Wewnątrz było tak fantastycznie, jak na zewnątrz. Naprawdę to był raj dla turystów!

Podszedł do recepcji. Recepcjonista zajęty był przy komputerze.

Podniósł wzrok i uśmiechnął się, rozpoznając gościa.

— Och, pan Brubaker. Miło, że pan wrócił.

Proszę, proszę! Hauser naprawdę dobrze to zorganizował!

— Również się cieszę — powiedział.

— Czy zajmie pan ten sam apartament, co zwykle?

— Oczywiście.

To było zbyt piękne, żeby być prawdziwe. Oczywiście, to nie była prawda, zawodowo używał przybranego nazwiska. Ale tam, gdzie tworzono „legendy” mogły istnieć przecieki do wrogów. Będzie uczestniczył w tej grze, mając się na baczności.

Recepcjonista sprawdził zapis na ekranie.

— Hmm. Wydaje się, że coś pan zostawił ostatnim razem.

Quaid przez chwilę zamarł w napięciu. Zostawił trupy kilku morderców! A także wspomnienia i kobietę.

Recepcjonista podszedł do przegródek na listy i powrócił z zapieczętowaną kopertą. Wręczył ją Quaidowi.

— Proszę bardzo. — popatrzył w monitor. — Ma pan apartament dwieście osiemdziesiąt w błękitnym skrzydle. Pana klucz — karta będzie gotowa za minutę.

Recepcjonista odwrócił się, by zakodować kartę. Quaid rozerwał kopertę i wyciągnął

kawałek czerwonego papieru złożonego w mały kwadrat. Rozwinął arkusz i znalazł ulotkę reklamową jakiegoś baru.

„Ostatnia Deska Ratunku”, w Venusville.

Ach, tak, to słynne gniazdo rozpusty, magnes dla turystów. Na Wenus była Marsville, ciesząca się podobną reputacją.

Spojrzał na ulotkę. Był na niej rysunek nagiej dziewczyny. Z drugiej strony widniała ręcznie spisana informacja.

„Jeśli chcesz się zabawić, spytaj o Melinę”.

Quaid wziął ukradkiem hotelowy długopis i naskrobał imię dziewczyny pod informacją. Przebiegł go dreszcz, gdy zobaczył, że charakter pisma był identyczny. To była informacja przeznaczona tylko dla niego. Pomyślał o kobiecie ze snu.

Czy to możliwe? Nie, oczywiście, że nie. Jeszcze...

Zanim się spostrzegł, szedł w kierunku wyjścia. Otwierając drzwi, spojrzał za siebie. Recepcjonista właśnie się odwracał.

— Oto pańska klucz — karta, panie Bru...

Mężczyzna mówił do pustej przestrzeni. Był tym bardzo zaskoczony. Drzwi zamknęły się za Quaidem. Stał przed hotelem, zrobił krok w kierunku postoju taksówek.

W tym momencie podszedł do niego ciemnoskóry mężczyzna w ubraniu przypominającym erę starożytnego jive'a. Miał około czterdziestu lat.

— Potrzebujesz taksówki, stary? Jestem Benny i mam to, czego chcesz.

Quaid skinął głową w kierunku pierwszej taksówki na postoju.

— A co z tą?

— On nie musi wykarmić sześciu dzieciaków.

Quaid zobaczył, że kierowcą taksówki był dwudziestokilkuletni punk. Nie był bardziej sympatyczny niż Benny. Quaid skinął.

— To zaraz za rogiem — powiedział ochoczo Benny. Gdy Quaid ruszył do niezarejestrowanej taksówki, punk zrozumiał że stracił kurs.

— Hej! — zawołał.

Zobaczył, że protest nie ma sensu.

— Dupki!

Mimo wszystko Mars nie bardzo różnił się od Ziemi!

W interesach, które Quaid mógł mieć tutaj, ścigany przez agentów, kurs „na łebka” był lepszy od jazdy oficjalną taksówką. Benny nie będzie miał ochoty go wydać i prawdopodobnie znał zaułki Marsa lepiej niż ktokolwiek inny. Kiedy podchodzili do starego grata, który udawał taksówkę, potężna eksplozja rozerwała górny poziom Kopalni Piramidy. W pobliżu wyleciały szyby z okien, a Benny został rzucony na ziemię. Zawył alarm. Quaid z trudem ustał na nogach.

Benny podniósł się niepewnie, lekko oszołomiony.

— Witamy na Marsie — powiedział wykrzywiony.

Nagle wszędzie pojawili się żołnierze, strzelali do niewidocznych powstańców, którzy odpowiedzieli ogniem. Benny spiesznie otworzył porysowane drzwiczki taksówki.

— Zjeżdżajmy stąd, stary!

Quaid wsiadł.

Benny szybko włączył stacyjkę i ruszył, dopiero potem odprężył się nieco.

— O co tu chodzi? — spytał Quaid wykręcając szyję, by popatrzeć na dym unoszący się z kopalni.

— Och, jak zwykle — powiedział nonszalancko Benny. — Pieniądze, wolność... powietrze.

Zmienił pas ruchu.

— A więc dokąd?

— Venusville.

Benny przyjrzał się Quaidowi.

— Jak mówisz, stary?

Quaid wyciągnął ulotkę.

— Venusville.

Benny pokręcił głową.

— Stary, to jest Venusville! W każdym razie, jej lepsza część.

— To zawieź mnie do gorszej.

— Oho! Wiesz, czego chcesz! Coś specjalnego...?

— „Ostatnia Deska Ratunku”

— Możesz mieć coś lepszego niż to!

— Taki adres mi podano.

— W porządku, stary!

Benny zgodził się nieprzekonany. Poprowadził wóz w kierunku granicy miasta.

Quaid skorzystał z okazji, by zdjąć niezgrabne kalosze. Pod spodem nosił własne buty. W kaloszach ukryte były dwie części plastikowego pistoletu, przełożył je do kieszeni, a potem dorzucił jeszcze dwie części z torebki. Nie chciał już targać jej ze sobą, wyrzucił do rowu po drodze. Był zadowolony, że udało mu się utrzymać w rękach wszystko, co miało znaczenie dla dalszej akcji, gdy na kosmodromie wyleciało okno.

Po chwili wjechali do jednego z wielu ogromnych tuneli, które przecinały próżnię dzielącą dwie części miasta. Teraz wszystko się wyjaśniło — dzielnica slumsów leżała po drugiej.

— To pierwsza wycieczka na Marsa? — zapytał Benny, chcąc podtrzymać rozmowę w podobny sposób jak zrobiłby to przestarzały manekin z „Taksówki Johnny’ego”.

Jeśli nawet zauważył, manipulacje Quaida z kaloszami i torebką, to był zbyt dyskretny, żeby o tym wspomnieć. Turyści miewali dziwne zwyczaje.

Quaid spoglądał przez okno, ciągle oszołomiony widokiem. Wszędzie dostrzegał potężne góry, szczeliny, pokryte głazami równiny, to całkowite pustkowia miało swój wielki urok. Mógłby gapić się na nie godzinami, dniami! A to jeszcze nie była nawet połowa. Niedawno śnił o Marsie, tęsknił za podróżą na Czerwoną Planetę. Wreszcie tu był, zafascynowany, ale tęsknota pozostała. Za prawdziwym nazwiskiem, za kobietą i za czymś jeszcze. Ale mimo usilnych prób nie mógł przywołać pełnego obrazu w pamięci. Jak gdyby pod powierzchnią jego wszystkich trosk, jak bazalt pod powierzchnią ziemi, leżała jeszcze jedna, wiążąca się ze straszliwym zdarzeniem z przeszłości, które zlekceważył na własne ryzyko. Jak gdyby to, czy przeżyje było bez znaczenia w porównaniu z tą zapomnianą sprawą. Wrócił do rzeczywistości, uświadamiając sobie, że taksówkarz coś do niego mówił.

— Mmhm. No nie... Coś w tym rodzaju.

Benny przełknął to zdziwiony.

— Chyba się wie czy się było na Marsie, czy nie — wymruczał pod nosem.

Quaid zrozumiał, że to co powiedział, brzmiało zdumiewająco. Ale to była prawda. Ktoś w jego ciele był na Marsie, ale on jako Quaid — nigdy. Jeśli odtworzy swoją pamięć, wtedy będzie mógł twierdzić, że był...

Pokręcił głową. Im więcej się dowiadywał, tym mniej był pewny tego, co wie. Tunel kończył się na placu w biednej dzielnicy miasta. Kontrast z zamożną częścią był szokujący. Lepsza dzielnica była rozległa, miała czyste ulice i wspaniałe widoki, tutaj były ponure ulice zakończone tunelami w zbczu góry.

Panowała tu niekończąca się noc. Latarnie dawały nikłe światło, a jedyne naturalne światło napływało przez odległą bramę. Powodem tego nie był upływ czasu, zbiegiem okoliczności dzień marsjański był dłuższy tylko o pół godziny od dnia ziemskiego i większość ludzi łatwo się do tego przystosowywała, nie dostrzegając prawie różnicy. Powodem było na wpół podziemne położenie miasta. Ludzie żyli tu jak w kopalni. Bez przesady była to Kraina Cieni.

Ludzie poruszali się apatycznie pod zawieszonymi nisko sufitami. Znaczny odsetek ludności, jeśli uznać za typowe to, co było widać na ulicy, miało różnego rodzaju deformacje. Quaida przeszedł dreszcz.

Wszystkie domy znajdowały się w opłakanym stanie, pokryte były znakami i rysunkami. Sporą popularnością cieszyły się salony parapsychologiczne. Niezliczone listy gończe obiecywały nagrodę za głowę Kuato i podobnie jak na plakacie w metrze, nie było na nich zdjęć. Kuato, legendarny przywódca Frontu Wyzwolenia Marsa.

Quaid potrafił zrozumieć ogromną tęsknotę mieszkańców dzielnicy, takiej jak ta, za wyzwoleniem! Może pokładanie nadziei w nieistniejącej postaci było lepsze od braku wszelkiej nadziei.

Niespodziewanie coś uniosło się na powierzchni jego umysłu, lecz zanim zdążył to

uchwycić, przeminęło. Czy wiedział jak wyzwolić Marsa? Wyzwolić od czego?

Miejscowe ubóstwo było faktem, podobnie jak w wielu miejscach na Ziemi. Nie istniała czarodziejska różdżka, przy pomocy której można byłoby wyzwolić uciskane masy na Marsie.

A może jednak istniała?

Widział żołnierzy patrolujących parami ulice. Wrogość między nimi a ludnością była prawie namacalna. Czy znalazłby się sposób, żeby wyprowadzić tych biedaków z getta na słoneczną stronę? By im wszystkim zapewnić wystarczająco dobre warunki życia?

Pokręcił głową. Nie był pracownikiem opieki społecznej. Jak długo potrzebne będą kopuły, żeby można było dostarczać atmosferę umożliwiającą życie, tak długo zwykli ludzie będą niewolnikami tych, którzy budują i kontrolują kopuły. Po prostu Mars taki już był.

Taksówka wyprzedzała atrakcyjną kobietę, idącą seksownym krokiem. Trzymała za rękę małe dziecko.

— Niezła, co? — spytał Benny.

Quaid musiał przyznać, że nawet to piekło miało swoje jasne strony. Gdy minęli kobietę, odwrócił się, żeby zobaczyć jej twarz.

Była okropnie zdeformowana. Jej dziecko miało taki sam genetyczny defekt.

Ciemność i ubóstwo nie były tutaj jedynymi nieszczęściami!

Quaid zwrócił się do Benny'ego.

— Powiedz mi coś. Dlaczego jest tu tak wielu...?

— Potworów? — Benny pospieszył z pomocą. — Kiepskie kopuły, stary. I za mało powietrza, żeby wyekranować promieniowanie.

Odpowiedni materiał używany w porządnym kopułach ekranował szkodliwe promieniowanie słoneczne, dopuszczając niegroźne dla ludzi światło. Kiepska kopuła przepuszczała wszystko. Mars okrążał Słońce w większej odległości niż Ziemia, światło było więc mniej intensywne, lecz nadal zawierało szkodliwe składniki. Na Ziemi rolę filtru pełniła warstwa ozonu. Swego czasu pojawiły się problemy, gdy ludzie w swojej beztrosce uszczuplili ją i dopiero pięciokrotny wzrost liczby zachorowań na raka skóry zmusił ich do przeciwdziałania. Politycy wreszcie zwrócili na to uwagę i zaczęli słuchać naukowców, którzy przez całe dziesięciolecia wykrzykiwali ostrzeżenia, i uruchamiali programy mające na celu odbudowę warstwy ozonu. Były one drogie i pochłonęły mnóstwo czasu, prowadzono je zresztą nadal, ale liczba zachorowań na raka zmalała. Tutaj na Marsie najwyraźniej szerzyło się coś gorszego od raka — zaburzenia genetyczne. Tej plagi nie mógłby złagodzić nawet doskonały system społeczny. Tkwiła ona w warunkach planety.

Jeśli tylko istniałoby proste, uniwersalne rozwiązanie! Jedna zmiana, która rozwiązałaby problemy bezsilnych. Ale to było niezbyt rozsądne marzenie.

Taksówka zaparkowała przed „Ostatnią Deską Ratunku”. Była to spelunka rozlatująca się za bardzo, nawet jak na standardy tutaj obowiązujące.

— Jesteś pewny, że chcesz tam wejść, stary? Sam będziesz winny, jeśli coś złapiesz. Rozsądna uwaga!

Quaidowi to miejsce niezbyt przypadło do gustu. Ale gdzie miał zacząć poszukiwania, jeśli nie w miejscu, które było wskazane w niezwyklej informacji?

Może miało to sens. Gdyby koperta dostała się do niewłaściwych rąk i ktoś zobaczyłby reklamę, a potem dotarł tutaj, szukając obiecanej dobrej zabawy, w tym momencie poczułby obrzydzenie i zrezygnował. Ale właściwa osoba nie odejdzie. Informację zredagowano w dobry sposób.

— Znam o wiele lepsze miejsce przy końcu ulicy — zaoferował swą pomoc Benny. — Dziewczynki są czyste, drinki nierozwodnione, a...

— ...szef daje taksówkarzom prowizję — dokończył Quaid.

Benny odwrócił się, na jego twarzy wykwitł szeroki uśmiech. Gębę miał pełną popsutych zębów, wśród nich świeciły dwie złote koronki, na jednej był półksiężyc, na drugiej gwiazda.

— Stary, ja muszę wykarmić szóstkę dzieciaków.

Quaid dał mu duży napiwek.

— Zabierz je do dentysty.

Benny podniecił się, gdy przeliczył pieniądze. Quaid otworzył drzwiczki i wysiadł. Zanim Benny podniósł wzrok, odszedł.

— Hej stary — zawołał za nim Benny. — Zaczekam na ciebie. Nie spiesz się. Nazywam się Benny.

— Tak, pamiętam.

Quaid odwrócił się lekko, by pomachać taksówkarzowi. Potem wszedł do „Ostatniej Deski Ratunku”.

Miał nadzieję, że nie popełniał wielkiego błędu.

ROZDZIAŁ 17

Melina

Quaid wszedł do środka i oszacował wzrokiem spelunę. Był to pospolity burdel dla górników. Dziewczyny wchodziły i wychodziły, brały klientów i prowadziły ich na górę. Ulotka nie obiecywała mniej — ale i nic więcej.

Usiadł przy barze obok dwóch górników. Podszedł barman o wyglądzie praktycznego człowieka i czekał aż Quaid coś zamówi. Mężczyzna był wystarczająco wysoki i odrażający, żeby szybko zagwarantować sobie posłuch, prawdopodobnie pełnił też funkcję wykidajły.

— Szukam Meliny — powiedział Quaid.

Twarz mężczyzny zachmurzyła nagła podejrzliwość.

— Jest zajęta. Ale Mary jest wolna.

Mary, seksowna, dobrze zbudowana prostytutka, pojawiła się znikąd i zbliżyła się do Quaida.

— Nie jestem wolna — wymruczała. — Dostępna. Spojrzał na nią. Zauważył, że miała trzy pełne piersi, wystawione na pokaz w specjalnym kostiumie bikini. Dla każdego kto zaspokoił w tym przybytku swoje najsłodsze pragnienie, było to coś w superrozmiarach. Ale Quaid pamiętał o Lori, i chociaż ich małżeństwo okazało się iluzją, wiedział, że kobiety paliły się do niego, nawet jeśli seks był jego jedynym atutem.

— Dzięki, zaczekam.

— Ziemski dupek — powiedziała.

Był to rodzaj odpowiedzi, jakiej oczekiwał.

Po czym pierdnęła i strzyknęła śliną na swojego niedoszłego klienta. Tego Quaid nie oczekiwał. Może nie miał dostatecznego doświadczenia w miejscach takich, jak to.

Ponownie zwrócił uwagę na barmana. Tym razem wcisnął mu w dłoń czerwony banknot.

Barman stał się bardziej przyjacielski.

— Widzisz, kolego, Mel to naprawdę sama śmietanka, daje tylko stałym klientom.

Jeśli kobieta mogła pozwolić sobie by należeć do śmietanki w miejscu takim, jak to, musiała być kimś specjalnym!

— Dawaj ją. Polubi mnie.

Lekko drżąc, co Quaid zauważył z zainteresowaniem, barman zawołał w kierunku stolika przy schodach.

— Hej, Mel.

Nastąpiła przerwa, jakby ktoś ignorował wołanie.

— Melina.

Quaid spojrział w kierunku, w którym wołał barman. Przy stoliku razem z kilkoma górnikami, siedziała kobieta, śmiejąc się na całe gardło. Siedziała na kolanach ponurego, nieogolonego faceta, była zwrócona plecami do baru. Jeden z górników patrzących w stronę baru, zobaczył, że barman próbuje przywołać Melinę. Dał jej znak i kobieta odwróciła się.

Quaid był zdumiony. To była dziewczyna z jego snów!

— Jest z Tony'm — wymruczał barman. — Ostrzegam pana. Jeśli nie lubi pan się bić...

— Są rzeczy, o które warto się bić — odpowiedział Quaid.

— To wyjdźcie na zewnątrz. Mój pracodawca bardzo sobie ceni wyposażenie. Śmiech Meliny zamarł gwałtownie, a na twarzy odbił się szok. Jej oczy wbiły się we wzrok górnika po drugiej stronie stołu, a potem powróciły do Quaida. Podjęła decyzję. Wstała z kolan Tony'ego i ruszyła do baru.

Quaid stał oczekując na to, co się wydarzy. Wiedział już, że nawiązał bezcenny kontakt — ale jakiego rodzaju?

Ta kobieta jedynie z wyglądu przypominała senną wizję. W nieszczerym, kuszącym uśmiechu jakim go obdarzała przemierzając salę, był jednak ślad godności.

— No, jeśli ci jeszcze nie stanął... — powiedziała Melina.

Zrobiła krok ku niemu i obdarzyła wilgotnym, powolnym pocałunkiem. Oparła się o Quaida, czując napięte mięśnie pod koszulą.

— Hm, rozwija się.

Spojrzała w dół.

— Ooo. A czym go karmiłeś?

Uzmysłowił sobie, że tutaj nie było miejsca na sprawy prywatne. Można było powiedzieć cokolwiek — jeśli w ogóle było coś do powiedzenia. Poszedł na to.

— Blondynkami.

Była to szczerza prawda, Lori była blondynką.

— Chyba ciągle jest głodny — pociągnęła go w stronę schodów.

Gdy mijali górników siedzących przy stole, Tony wyciągnął nogę i zablokował przejście.

— A ty dokąd się wybierasz? — zapytał z pretensją.

— Spokojnie, Tony — powiedziała Melina. — Jeszcze sporo dla ciebie zostanie.

Tony'ego to nie zadowoliło. Chwycił ramię Meliny i pociągnął ją na kolana.

— Byłem tu pierwszy! — Zwrócił się do Quaida. — Stań w kolejce, koleś.

Quaid złapał Tony'ego za nadgarstek i pochylił się nad nim.

— Tu nie piekarnia.

Tony wyglądał, jakby zamierzał poddać to w wątpliwość.

— George — powiedziała Melina z rozdrażnieniem — przemów tej małpie do rozsądku.

Górnik po drugiej stronie stołu odchylił się na krześle. Wyglądał na odprężonego i pewnego siebie.

— Czy nie masz dokąd pójść? — powiedział George rozsądnie. — Zostaw go w spokoju.

Tony niechętnie puścił ramię Meliny.

Wtedy Quaid puścił jego nadgarstek.

— Pieprz się — powiedział gburowato Tony.

Melina podniosła się i poszła do schodów. Quaid podążył za nią, czujnie obserwując Tony'ego i resztę sali. Jeśli pojawi się choć jeden agent .. — zgubił wątek zaskoczony widokiem kobiety schodzącej po schodach. Była karlicą. Sięgała Quaidowi do pasa i ubrana była tylko w gorset. Z zainteresowaniem spojrzała na Quaida.

— Paluszku, kochanie — powiedziała Melina — zajmiesz się Tony? Swędzi go w spodniach.

Karlica skinęła głową, lecz nie spuszczała wzroku z klatki piersiowej Quaida. — Może potrzebujesz pomocy? — powiedziała z sugestywnym uśmiechem.

W korytarzu na górze Melina obejrzała się na Quaida. Jej kuszące spojrzenie obiecywało wspaniałą zabawę. Otworzyła jedno z drzwi, które biegły wzdłuż korytarza i wpuściła go pierwszego.

Ostrożnie zamknęła drzwi za sobą, odwróciła się do Quaida — i spoliczkowała go.

— Ty draniu! — wybuchnęła. — Ty żyjesz! Myślałam, że Coahaagen zadręczył cię na śmierć!

— Przepraszam — powiedział Quaid, cofając się.

Ton jej głosu i postawa zmieniły się całkowicie. Tania dziwka zniknęła za zamkniętymi drzwiami. Miał przed sobą nagle inteligentną i poruszoną kobietę, która nawet w gniewie panowała nad sobą z wyraźną dumą.

Quaid nie wiedział, co powiedzieć, w obliczu tej nagłej przemiany.

— Nie mogłeś podnieść cholernego telefonu?! Nigdy się nie zainteresowałeś, czy ze mną jest wszystko w porządku? Nie byłeś tego ciekawy nawet odrobinę?

Quaidowi brakowało słów. Ta kobieta podobała mu się tysiąc razy bardziej niż

dziwka w barze, ale nie rozumiał jej lepiej niż tamtej. Po prostu spoglądał na nią.

Gniew Meliny ustępował. Napięcie spadło. Spojrzała na niego, jej postawa znów się zmieniła.

Nagle zarzuciła mu ramiona na szyję. Pocałowała namiętnie.

Quaid nadal był zbyt zmieszany, by oddać jej pocałunek.

— Och, Hauser — dzięki Bogu, żyjesz! — zawołała. A więc znała go!

Inaczej nie wymieniłaby jego nazwiska. Bez przekonania starał się uwolnić z jej objęć. Nie przyszedł po to, chociaż jej teraz pożądał.

— Melina... Melina — czy to rzeczywiście było jej imię?

Wydawało się prawdziwe, w pamięci nie nastąpił przeskok. Serce mu biło, wytężył siły, żeby ją odsunąć.

— Melina!

Puściła, zaczerwieniona i zdyszana.

— Co?

— Muszę ci o czymś powiedzieć...

Czekała zaciekawiona. Quaid ciągnął z trudnością.

— Nie pamiętam cię.

Było to nadmierne uproszczenie, lecz będzie musiało wystarczyć. Po prostu wizerunek ze snu był właśnie taki. Pusty obraz, bez treści. Nie znał w ogóle tej kobiety, tak jak nie wiedział nic o Hauserze. Czy rzeczywiście przemierzał z nią jałową powierzchnię Marsa? Badał Kopalnię Piramidy?

Oddech Meliny powrócił do normy. Wyglądała na zdumioną.

— O czym ty mówisz? — spytała.

— Nie pamiętam cię. Nie pamiętam nas. Nawet nie pamiętam siebie.

Melina zaśmiała się krótko, nie bardzo wierząc.

— Co takiego, nagle dostałeś amnezji? Jak się więc tu dostałeś?

Teraz mogli przejść, do sedna

— Hauser zostawił mi wiadomość.

Melina najwyraźniej nie traktowała go serio.

— Hauser? Ty jesteś Hauserem!

— Już nie.

Spojrzała na niego zaintrygowana.

— Teraz nazywam się Quaid. Douglas Quaid.

Melina uśmiechnęła się szeroko.

— Hauser, postradałeś zmysły.

— Nie postradałem. Cohaagen ukradł mi pamięć. Dowiedział się, że Hauser przeszedł na drugą stronę, więc zmienił go w innego człowieka. — Quaid wzruszył ramionami.
— We mnie.

Melina przyjrzała mu się podejrzliwie.

— To zbyt pokręcone.

— A potem zesłał mnie na Ziemię — ciągnął Quaid — dał mi żonę, nędzną robotę i...

— Powiedziałeś żonę? — jej oczy zabłyśły. — Czy ty, kurwa, jesteś żonaty?

Quaid uświadomił sobie, że posunął się o krok za daleko i starał zatrzeć niedobre wrażenie.

— Tak naprawdę, to ona nie była moją żoną — powiedział nieprzekonywująco.

— O Boże, ale byłam głupia — jej głos był sarkastyczny. — Ona była żoną Hausera.

— Posłuchaj — powiedział Quaid pospiesznie — zapomnijmy, że powiedziałem „żona”.

— Nie! — Melinę ogarnęła furia. — Zapomnijmy o wszystkim! O wszystkim co nas łączyło! Mam dość twoich kłamstw!

— Dlaczego miałbym ci kłamać? — powiedział zirytowany.

Był tak blisko wypełnienia pustych miejsc w swojej pamięci wyglądało na to, że nigdy mu się nie uda.

Jej głos stał się lodowaty.

— Dlatego, że wciąż pracujesz dla Cohaagena.

— Nie bądź śmieszna — powiedział krótko.

To był błąd. Niemal plunęła mu w twarz.

— Nigdy mnie nie kochałeś, Hauser! Użyłeś mnie żeby dostać się do środka.

— Do środka, czego?

Teraz stała się jeszcze bardziej podejrzliwa.

— Myślę, że powinieneś już pójść.

Zeszła z łóżka.

Była to ostatnia rzecz, na którą miałby ochotę, i to nie tylko dlatego, że była pociągającą kobietą.

— Melina, mam coś zrobić dla Hausera — wskazał na swoją głowę. — Powiedział, że jest tu wystarczająco dużo materiału, żeby na dobre załatwić Cohaagena.

— Nic z tego! — warknęła. — Tym razem nie dam się nabrać.

— Pomóż mi przypomnieć sobie przeszłość — powiedział wstając.

Zrobił krok naprzód, ale ona się cofnęła.

— Powiedziałam, żebyś się wynosił!

— Melina! — błagał — Oni próbują mnie zabić!

Sięgnęła szybko pod materac.

Quaid ujrzał wycelowaną w siebie lufę ogromnego automatycznego pistoletu.

— Naprawdę? Studiował jej stalowe oczy. Nie było w nich nadziei.

Cholera! To nie była utrata informacji, to było coś osobistego. Znalazł kobietę ze

snów, a ona czuła do niego nienawiść.

W poczuciu głębokiej straty, wycofał się z pokoju. Gdy zamknął za sobą drzwi, Melina przestała panować nad łzami.

Była głupią, że uwierzyła, że Hauser ją kiedyś kochał. Od początku wątpiła w jego szczerłość. Coahaagen musiał mieć bardzo złą opinię o powstańcach, żeby myśleć, iż tak łatwo uda mu się wsadzić szpiega do ich organizacji. Nigdy nie dopuściła, żeby Quaid zbliżył się do Kuato. Spędziła mnóstwo czasu z Hauserem, spełniając rolę czujnego psa ruchu oporu i chociaż w myślach zachowała początkową nieufność, jej serce w końcu ją zdradziło. Ten człowiek był inteligentny, zabawny i pociągający, i twierdził, że ją kocha. Zanim mogła powstrzymać samą siebie, stwierdziła, że jest w nim zakochana. Płakała z wściekłości na siebie. Jak mogła do tego dopuścić? Powstaniec zakochany w szpiegu Agencji! Ohydne.

Gdy zniknął próbowała wymazać go z myśli i serca. Próbowała potraktować go jak wszystkich zdrajców i renegatów na służbie Coahaagena.

Pomyliła się. Gdy zobaczyła go w barze, ogarnęły ją znów stare uczucia. Wiedziała, że próbował złapać ją na te uczucia. Znów próbował użyć jej opowiadając śmieszną historyjkę o amnezji i wszczepie do pamięci. Była to zniewaga dla jej inteligencji i nieszczęśliwa obruszyła się na to, ale co mogła zrobić? Wiedziała, głęboko w sercu, że nadal go kocha. W barze Benny obmacywał Mary, która oganiała się od niego zrećcznie, lecz bez przekonania.

— Powiedziałam, że jestem dostępna, ale nie jestem wolna — przypomniała mu.

— Nie proszę o wolny los, kochanie — zaprotestował. — To poważna oferta.

Nagle zobaczył przygnębionego Quaida, schodzącego po schodach.

— Wrócimy do tego potem — obiecał.

Dogonił Quaida przy drzwiach.

— Coś krótko to trwało?

Quaid rzucił mu groźne spojrzenie i wyszedł. Wmieszał się w gęsty, zbity tłum na placu, starając się unikać żołnierzy, którzy byli wszędzie. Benny próbował dotrzymać mu kroku.

— Robiłeś to kiedyś z mutantem? — spytał Benny.

— Nie.

— Znam syjamskie bliźniaczki — powiedział Benny. — Stary, nie będziesz wiedział, czy wchodzisz, czy wychodzisz.

— Nie jestem w nastroju — powiedział Quaid.

Ta myśl sypnęła sól na otwartą ranę. Mogło być wspaniale, powinno być wspaniale z Meliną! Jak mógł ją jeszcze przekonać o swoich uczuciach, jeśli nie pamiętał niczego z ich romansu?

— Co byś powiedział na seans u medium?

Czy powiedziałaoby mu, jak naprawić stosunki z Meliną? Słaba nadzieja!

— Gdzie jest twoja taksówka?

Benny wskazał na drugą stronę ulicy.

— Zawieź mnie do hotelu.

Benny wzruszył ramionami, gdy wyjeżdżali z ciemnych slumsów i wyjechali w jasny, słoneczny tunel. Zrobił, co mógł.

Jasne światło nie rozjaśniło jednak nastroju Quaida.

ROZDZIAŁ 18

Edgemar

Quaid odpoczywał w pokoju hotelowym. Rozmyślał. Otaczała go noc. Ale nie była to noc marsjańska. Dodatkowo pół godziny wydłużające marsjański dzień nie stanowiło wielkiego problemu dla tutejszych pracowników, ale turyści świeżo przybyli z Ziemi miewali kłopoty z adaptacją. Dlatego każdy pokój hotelowy miał regulację rytmu dnia i nocy, nastawianą według życzenia lokatora. Quaid nie zmienił ustawienia, jakie pozostawił poprzedni klient. Poza tym, był świeżo przybyłym turystą. Chociaż w pokoju panowała noc, na zewnątrz było późne popołudnie.

Pachołki Coahaagena jeszcze nie trafiły na jego ślad. Czy naprawdę wysliznął się im, czy też czekali aż zaśnie? Może nieudane próby schwytania go żywcem nauczyły ich ostrożności? Bardziej prawdopodobne było to, że nie chcieli robić kłopotu w turystycznym okręgu Marsa. Co prawda mogliby zlikwidować go w hotelu, ale z drugiej strony ta akcja kosztowałaby ich zbyt drogo — sezon turystyczny zrobiłby klapę, gdyż goście obawialiby się, że mogą zostać zamordowani w swoich pokojach. Na razie był więc bezpieczny — ale czy na pewno? Przed pójściem spać będzie musiał podjąć środki ostrożności, na wszelki wypadek wpakuje do łóżka manekina, a sam położy się gdzie indziej.

Ale tak naprawdę jego myśli nie krążyły w tym momencie wokół sposobów przeżycia. Myślał o Melinie. Co powinien zrobić, żeby się z nią pogodzić?

Był teraz pewny, że ona jest kobietą z jego snu i gdyby to była pułapka, zajęłaby się nim, prawdopodobnie poszłaby z nim do łóżka, wyciągając z niego informacje, a potem dałaby znak współnikom, że mogą wkroczyć do akcji. Zamiast tego, wyrzuciła go za drzwi. To go przekonało, chociaż sprawiało ból.

Więc może mimo wszystko postąpił słusznie, bo teraz wiedział, że może jej zaufać — jeśli tylko przekonałby ją, żeby i ona mu ufała.

Prześni się z tym. Może znów ona mu się przyśni, a sen pokaże jak się do niej zbliżyć. Tymczasem spróbuje się odprężyć. Trochę zjadł, może głupio. Napchał się balonikami

marsjańskimi, a potem wcisnął w siebie opakowanie witamin, żeby zachować równowagę. Nie szalał za batonami, lecz zbliżały go do Hausera. Miał nadzieję, że podejdzie wystarczająco blisko, aby przypomnieć sobie coś istotnego. W tak samo znikomym stopniu był psychologiem, jak pracownikiem opieki społecznej, lecz wydawało mu się, że im głębiej pograżał się w siebie, w sprawach związanych z Hauserem, tym większe będzie prawdopodobieństwo uzyskania dodatkowych informacji o tym człowieku. Taka informacja mogła uratować mu życie, lub nadać mu większe znaczenie.

Włączył wideo. Pokój nie mógł pochwalić się ekranem na całą ścianę, gdyż na Marsie prawie nie było przemysłu artykułów konsumpcyjnych, lecz potrafił przyzwyczaić się do mniejszego odbiornika.

Na ekranie pojawił się dokument — czy mogło być inaczej? — o Marsie. Pokazywano nudne zdjęcia czarnych skał na czerwonej pustyni. Ta sama scena fascynowała go wcześniej, ale teraz, kiedy nie udało się kontakt z Meliną, wszystko co nie wyglądało jak ona było nudne.

— *Pierwsze dowody obecności Obcych na Marsie odkryto czterdzieści lat temu, po pierwszej wyprawie załogowej* — mówił narrator spoza kamery.

Jeśli oczywiście błyszczący piasek dostarcza dowodów o gościach innych niż ludzie.

Quaid leżał na łóżku w ciemnym pokoju hotelowym, skąpany w bladoniebieskim blasku z ekranu i bladoczerwonym blasku nieba. Ten program powinien go rzeczywiście zainteresować, ale zamazywał go wizerunek pełnej złości twarzy Meliny. Gdyby była przy jego boku, cały Mars wydałby się rajem, bez niej powab planety minął.

Zmienił kanały. Ekran wypełniła twarz Vilosa Cohaagena i Quaid usiadł, by z bliska obejrzeć program. Cohaagen wygłaszał przemówienie w swoim biurze.

— *Dziś, o wpół do siódmej po południu podpisałem rozkaz wprowadzający stan wyjątkowy w Federalnej Kolonii Marsjańskiej. Nie będę tolerował dalszego sabotowania eksportu surowców mineralnych. Pan Kuato i jego terroryści muszą zrozumieć, że próby udaremnienia tego przyniosą tylko nieszczęście...*

Quaid przyglądał się twarzy swojego wroga.

Dlaczego Cohaagen wprowadzał stan wyjątkowy? O co tu chodziło? Miał władzę urzędu Administratora i dyrygował Agencją, w tej sytuacji stan wyjątkowy wydawał się zupełnie niepotrzebny. Ale tak właśnie postępowali politycy. Tak długo jak sprawy wydawały się uczciwe, mogli prowadzić brudną robotę, którą cieszyli się w zaciszu.

Ukazał się następny reportaż. Znowu było to coś, o czym nigdy nie wspominali Ziemianom rozważającym emigrację na Marsa.

Na ekranie pojawiła się komora powietrzna, w której stało czterech skutych więźniów. Powietrze powoli uchodziło z komory. Na twarzach więźniów malowała się rezygnacja i bezradność.

— *Francis Aquado, uszkodzenie własności publicznej* — powiedział spiker. — *Judith*

Redensek i Jeanette Wyle, opór podczas aresztowania. Thomas Zachary, zdrada.

Dekompresja trwała. Więźniowie z trudem łapali powietrze, dusząc się. Ich błony śluzowe krwawiły. Ich oczy wychodziły na wierzch. Kamera najeżdżała na każdego więźnia, zbliżenia pokazywały wszystkie szczegóły z sadystycznym upodobaniem. Śmierć zadana za pomocą tortur. Najwyraźniej był to tutaj zwyczajny element życia, tak mocno zakorzeniony w świadomości ludzi, że egzekucje przeprowadzano publicznie transmitując je przez telewizję dla szerokiej widowni. Nie świadczyło to najlepiej o naturze tubylców. Na Ziemi brudy przynajmniej zgarniano pod dywan.

Ekran ściemniał. Mimowolnie zgasił wideo. Trzymał się za głowę, zupełnie zagubiony.

Jeśli karą za uszkodzenie własności publicznej na Marsie była śmierć w mękach, oznaczało to, że każdy kto został przyłapany na wypisywaniu haseł na murach był z góry skazany. Jeśli niewinna osoba została aresztowana na podstawie zmyślnego oskarżenia i stawiała opór, sprzeciw stawał się podstawą do egzekucji. Zdradą mogło być już zgłoszenie sprzeciwu wobec takiej polityki. On już był winny wszystkich tych zbrodni!

Nienawidził Coahaagena i uszkodził własność publiczną kiedy opierał się aresztowaniu, ponieważ obwinia go o wybite okno na kosmodromie. Bez wątplenia winny był zdrady, gdyż potępił rząd Marsa. Gdyby pojawił się przed nim magiczny przycisk z napisem ZNISZCZENIE RZĄDU MARSJAŃSKIEGO, natychmiast by go nacisnął. Ale zdaje się, że rząd marsjański miał większe szansę, by go schwytać i nacisnąć przycisk z napisem ZNISZCZENIE HAUSERA/QUAIDA.

A do tego przypuszczano, że w jego głowie ukryta jest tajemnica, która mogła wysadzić wszystko w powietrze. Gdyby mógł ją sobie przypomnieć...

Przestraszył się, gdy nagle usłyszał pukanie do drzwi. Zamarł, w pogotowiu. Czy napastnicy zapukaliby?

Pukanie się powtórzyło.

— Panie Quaid...

Po chwili zastanowienia zdecydował się odpowiedzieć. Poza wszystkim napastnicy prawdopodobnie włamałoby się, lub otworzyli ogień przez drzwi.

— Tak?

— Muszę z panem porozmawiać — o panu Hauserze.

Quaid nie użył w hotelu żadnego z tych nazwisk. Zameldowany był pod nazwiskiem Brubakera. Nie był to zwykły gość. Głos wydał mu się znajomy i Quaid zmrużył oczy z wysiłku, próbując go zidentyfikować. Nie dał rady. Nie mógł ryzykować. Wyjął pistolet i odbezpieczył. Kiedy znalazł się sam w pokoju, pierwszą rzecz jaką zrobił, było złożenie pistoletu z elementów powpychanych do kieszeni.

Z wielką ostrożnością podszedł z boku do drzwi

— Kim jesteś? — spytał.

— Doktor Edgemar — dotarł go przytłumiony głos. — Pracuję dla spółki „Recall”...

— Trudno to wyjaśnić — powiedział dr Edgemar po przerwie. — Czy mógłby pan otworzyć drzwi? Nie jestem uzbrojony.

Quaid ostrożnie otworzył drzwi, gotów w każdej chwili strzelić. Na progu stał niepozorny intelektualista w tweedowej marynarce. Widząc go, Quaid przypomniał sobie w końcu gdzie słyszał ten głos. Mężczyzna był narratorem reklamówki „Recall”, którą widział w metrze na Ziemi. Ta reklamówka wywołała cały łańcuch wydarzeń.

Quaid skierował pistolet na mężczyznę i rozejrzał się po korytarzu.

— Proszę się nie niepokoić — powiedział Edgemar. — Jestem sam. Mogę wejść?

Quaid wciągnął brutalnie mężczyznę do pokoju, zamknął drzwi. Przeszukał Edgemara, ale nie znalazł broni.

— Trudno będzie panu zaakceptować to, co powiem, panie Quaid.

— Słucham — powiedział zwięźle Quaid.

— Obawiam się, że pana nie ma tutaj.

Nie mógł stłumić chichotu, chociaż cały był napięty.

— Wie pan, doktorze, o mało mnie pan nie nabrał.

Dokładnie to mógł robić ten człowiek!

Na razie nie wspominał ani o Coahaagie, ani o Melinie — a Quaid i tak mu nie będzie mógł zaufać. Mógłby twierdzić, że przysłała go Melina, by uśpić czujność Quaida i skłonić go, żeby spokojnie poszedł prosto w pułapkę zastawioną przez Coahaagena. Lecz ten fortel był interesujący nawet w tej nerwowej sytuacji.

Co zyskałby Coahaagen na przekonaniu Quaida, że jest gdzie indziej? Łatwiej byłoby wysłać go gdzie indziej — na przykład do piekła, pakując mu kulę w mózg.

— Jak powiedziałem, pana tu nie ma — mężczyzna upierał się przy swoim zdaniu. — I mnie też tu nie ma.

Osobliwa iluzja, jeśli lekarz dzielił ją z pacjentem!

Quaid ścisnął Edgemara za ramię wolną ręką, sprawdzając jego wytrzymałość.

— Zabawne. To gdzie my jesteśmy?

— W „Recallu”.

Quaid zachwiał się w swojej pewności.

Czy to mogło mieć sens?

Poszedł do „Recall”u i cierpi na rozdwojenie osobowości. Jego świat się załamał, czyniąc z niego ściganego zbiega.

— Jest pan przymocowany do fotela implantacyjnego — ciągnął Edgemar — a ja monitoruję pana na konsoli do badania psychiki.

— Rozumiem — to wszystko mi się śni!

Quaid nie skrywał sarkazmu.

— A to wszystko jest częścią wspaniałych wakacji, jakie pana spółka mi sprzedała.

Tylko nie przygotowany wcześniej sen mógł zawierać scenę z Meliną, gdy zamiast zrozumienia zarobił jedynie wyrzucenie za drzwi. Tylko rzeczywistość mogła być tak okrutna!

— Nie zupełnie — powiedział Edgemar, nie zakłopotany postawą Quaida. Doktorzy uczyli się, by nie przejmować się reakcjami pacjentów.

— To czego pan obecnie doświadcza jest swobodną formą iluzji opartej na pańskich taśmach pamięci, pan to sam wymyśla.

Quaid zastanowił się. Przypuśćmy, że na taśmie zaplanowane było radosne połączenie z Meliną, lecz jego cyniczny umysł nie był w stanie tego zaakceptować?

W ten sposób jego podejrzenia stały się jej podejrzeniami we śnie, i ona udzieliła mu odprawy?

Słyszał, że ludzki umysł jest w stanie dokonać takiej operacji, zdaje się, że nazywa się to przeniesieniem. Mógł zniszczyć samego siebie!

Ale ciągle jeszcze tego nie kupił.

— No dobra, jeśli to jednak moja iluzja, to kto pana zaprosił?

— Wszczepiono mnie sztucznie jako środek awaryjny — powiedział bez pośpiechu Edgemar. A potem dorzucił, zakłopotany.

— Przykro mi to mówić, panie Quaid, ale ma pan zator schizoidalny. Nie możemy wyciągnąć pana z pańskich fantazji. Wysłano mnie, żebym pana przekonał do powrotu do rzeczywistości.

— A „rzeczywistość” jest taka, że mnie tu nie ma?

— Proszę pomyśleć, panie Quaid. Pański sen zaczął się w połowie wykonywania procedury wszczepu. Wszystko co nastąpiło potem, walki, podróż na Marsa w kabinie pierwszej klasy, apartament w Hiltonie, to wszystko to część oferty „Recallu”.

— Przecież to kompletna bzdura! — powiedział Quaid, zaczynał się bać, że jest inaczej.

— A dziewczyna? — powiedział Edgemar spokojnie. — Brunetka, hoża, rozwiązała i skromna, tak jak pan sobie życzył. Czy to „bzdura”?

— Ona jest prawdziwa — powiedział Quaid. — Śniła mi się zanim przyszedłem do „Recallu”.

— Panie Quaid, czy pan słyszy, co pan mówi? — spytał z perswazją w głosie, Edgemar. — Jest prawdziwa, bo się panu śniła?

— Tak jest.

I rzeczywiście, wierzył w to, nie oczekując, że doktor go zrozumie.

Edgemar westchnął, zniechęcony.

— Może to pana przekona. Zechce pan otworzyć drzwi?

Quaid wbił lufę w żebra Edgemara.

— Pan otworzy.

— Nie ma powodu do gwałtu.

Mężczyzna wyprostował ramiona i poszedł ku drzwiom.

Quaid śledził go wzrokiem, gotów na wszystko, gdy doktor otworzy drzwi. Z wyjątkiem tego, co zobaczył.

Na progu stała Lori!

Quaid robił co mógł, żeby pokonać szok. Lori wyglądała pięknie, była dokładnie w tego rodzaju rozwiązanym i skromnym kostiumie, który lubił, pokazywała większą część piersi niż była tego świadoma, Na twarzy miała siniaka w miejscu, gdzie ją uderzył pistoletem, pod okiem. Nagle zrobiło mu się przykro z tego powodu, nigdy przedtem jej nie uderzył.

Lori zrobiła dzielną minę, jakby ukrywała łzy przed chorym dzieckiem. Nie było najmniejszej oznaki, że kiedykolwiek była kimś innym niż cudowną żoną Quaida.

— Kochanie...

Ależ ona strzelała do niego! Próbowwała pozbawić go przytomności i zabić go kuchennym nożem. Ślady po cięciach jeszcze się nie wygoiły. Stała się namiętna tylko po to, żeby odwrócić jego uwagę, gdy zobaczyła na monitorze Richtera i Helma. Powiedziała mu, że cała historia ich związku, z wyjątkiem ostatnich sześciu tygodni, została wszczepiona.

Kochanie?

Na Boga, tak chciał jej wierzyć!

Jeśli to był sen, to jej atak nigdy nie miał miejsca, a ona była rzeczywiście jego kochającą żoną.

— Proszę wejść, pani Quaid — powiedział Edgemar.

Z namysłem, Lori weszła do pokoju. Nadal poruszała biodrami w sposób, który doprowadzał go do szaleństwa. To ciągle działało na niego. Może jej nie kochał, ale do diabła, nie czuł do niej nienawiści! Dlaczego jednak szacował ją wzrokiem, jakby była łajdaczką ze snu?

Bo szukał pretekstu, żeby jej się pozbyć, móc podążyć za kobietą z Marsa? To było nieprzyjemne. Szalony pomysł — nie stać byłoby go na zrobienie czegoś takiego w rzeczywistości!

Ale nie stać go było również, by jej zaufać!

Quaid przyciągnął Lori do siebie i brutalnie ją obszukał. Zabolalo go to, ponieważ przesuając rękoma po jej ciele przypominał sobie, jak było wspaniałe. Pieścił i cieszył się nim tyle razy. Jak mógł wątpić w jej słowa?

— Ciebie też tu nie ma? — spytał gburowato.

Czuł się jak prostak, ale jaki miał wybór?

Jeden błąd oznaczał katastrofę.

— Jestem tutaj, w „Recallu” — powiedziała.

Quaid zaśmiał się i odepchnął Lori.

Lecz w środku cierpiał. Gdyby tylko się wyrwała, przeklęła go, powiedziała, że go nienawidzi... Wówczas czułby się usprawiedliwiony, że ją tak traktował, niezależnie do tego, czy działo się to we śnie, czy w rzeczywistości.

— Doug, kocham cię — wielkie oczy Lori wypełniły się łzami.

— Słusznie. Dlatego próbowałaś mnie zabić! — musiał zachować tę pozę, skrywając okropne wątpliwości.

— Nieee! — zaprotestowała, wybuchając łzami. — Nigdy bym cię nie skrzywdziła.

Kocham cię. Chcę, żebyś do mnie wrócił. Jej rozpacz łamała serce.

— Niewiarygodne — wymruczał.

Lecz jego pewność została zachwiana. Tak łatwo byłoby wziąć ją w ramiona...

— Co jest niewiarygodne, panie Quaid? — spytał Edgemar.

Spróbował pojednawczego tonu.

— To, że przeżywa pan epizod paranoidalny wywołany przez ostry uraz układu nerwowego? Czy... — jego głos stał się szyderczy — ... to, że jest pan rzeczywiście niezwykłym tajnym agentem z Marsa, który stał się ofiarą międzyplanetarnego spisku, zawiązanego po to, by wmówić mu, że jest zwykłym robotnikiem budowlanym?

To, co zostało z pewności Quaida podmyły kolejne fale. Ostatnie wydarzenia wydawały się teraz niedorzeczne!

Sprawy, które nie miały wiele sensu — czy można wytłumaczyć je lepiej niż tym, że były produktem lekko rozchwianego śniącego umysłu?

Edgemar spojrział na niego z wielkim współczuciem i uprzejmością.

— Doug, jak wielu z nas jest bohaterami? Jesteś wspaniałym, uczciwym człowiekiem. Masz piękną żonę, która cię kocha.

Lori przesłała Quaidowi promienny, pełen miłości uśmiech.

— Masz bezpieczną pracę ze wspaniałą przyszłością — ciągnął Edgemar. — Masz przed sobą całe życie, Doug — zmarszczył brwi dobrotliwie. — Lecz ty musisz chcieć powrócić do rzeczywistości.

Wszystko zaczynało pasować. Quaid był prawie przekonany. Z pewnością chciał być bohaterem wielu przygód, lecz ta przygoda sprawiła, że stracił zainteresowanie dla takich spraw. Chciał pięknej kobiety — i Lori taka była. A że jej włosy nie były ciemne — czy to powód, by ją odepchnąć? Rozważywszy, jak potraktowała go Melina...

— Co mam zrobić? — spytał.

Edgemar otworzył dłoń, pokazując małą pigułkę.

— Weź ją.

— Co to jest?

Quaid nie był tak tępy, żeby nie dostrzegął faktu, iż wymaginowana pigułka nie mogła zrobić niczego, była tylko w jego wyobraźni.

— To symbol. Symbol pańskiego pragnienia powrotu do rzeczywistości — wyjaśnił Edgemar. — Wewnątrz swojego snu, zaśnie pan.

I obudzi się w rzeczywistości?

Zdarzyło się to przedtem, gdy spadał w głąb obcego szybu na Marsie i obudził się w łóżku z Lori. To miało swój urok!

Wziął pigułkę i obserwował ją. Doceniał racjonalne uzasadnienie. W życiu zażywano pigułki, by wrócić do zdrowia. We śnie brał pigułkę, by obudzić pragnienie powrotu do zdrowia. Efekt byłby podobny.

— Powinien pan wiedzieć, panie Quaid, że „Recall”, będzie udzielał panu bezpłatnych porad, tak długo, jak będzie pan potrzebował. Dodatkowo, jeśli podpisze pan zrzeczenie się pretensji, wypłacimy panu ogromne odszkodowanie gotówką.

— Ile? — pytanie padło automatycznie, chociaż odpowiedź na nie mało go obchodziła. Poważniejsze pytanie brzmiało, czy chciał takiej rzeczywistości, jaką znał na Ziemi czy też kontynuacji szalonej przygody na Marsie. Odpowiedź powinna być oczywista, lecz wspomnienie o Melinie i cień czegoś jeszcze, czegoś tak ważnego, że...

— Sto tysięcy kredytek. Może więcej.

Lori rozpromieniła się, ogarnęła ją nadzieja.

— Pomyśl o tym, Doug. Moglibyśmy kupić dom.

Zamiast apartamentu na dwusetnym piętrze. To, również, miało swój urok. Może urlop pod kopułą na dnie oceanu.

— Oczywiście — powiedział Edgemar — to zależy od tego, czy przyjmie pan pigułkę.

Quaid był już gotów ulec ich logice, gdy nagle jego podejrzenia znów powróciły. Dlaczego wszystko ma zależeć od tego, czy przyjmie pigułkę? Dlaczego nie mógł zwyczajnie oświadczyć, że skończył śnić i chce wrócić do rzeczywistości, do Lori? I tam się znaleźć?

Gdy czasami miewał to, co jak sądził nazywa się, snem „przejrzystym” uzmysławiał sobie, że był to sen i mógł nad nim w pewien sposób panować. Chociaż, zwykle w takich wypadkach sen się urywał, a on wracał na jawę. Tak więc zamiast pieścić się we śnie z panią, budził się ze sztywnym maluchem, nie mając go gdzie wsadzić. Ale to było dawno, gdy był nastolatkiem, jeszcze przed Lori.

Zasada jednak była ta sama. Jeśli nie mógł wyrwać się ze snu bez symbolu, dlaczego miałoby to się udać z symbolem? Dlaczego tak im zależało na tym symbolu?

— Powiedzmy, że ma pan rację — odezwał się — i to wszystko jest snem.

Podniósł pistolet i wycelował w głowę Edgemara.

— To znaczy, że mogę nacisnąć spust i nie będzie to miało żadnego znaczenia.

Powoli naciskał spust. Była to próba, która coś mogła wyjaśnić. Jeśli to nie był sen, Edgemarowi zależeć będzie ogromnie na jej uniknięciu!

— Doug, nie! — krzyknęła Lori.

Edgemar zachowywał nadprzyrodzony spokój. Jego oczy i głos wyrażały bezinteresowną ufność do pacjenta.

— Nie robi mi to najmniejszej różnicy Doug, ale konsekwencje dla ciebie, będą katastrofalne. W twoim umyśle będę martwy. A gdy nie będziesz miał nikogo, kto by cię wyprowadził ze snu, wpadniesz w przewlekłą psychozę.

Czy to możliwe?

Psychoza była chorobą umysłu. Czy jego własne działanie mogło określić, w którą stronę pójdzie jego umysł? Czy zastrzelenie Edgemara będzie jego decyzją podjętą by uniknąć rzeczywistości, decyzją prawdziwszą niż jakikolwiek namacalny czyn mający go do niej zaprowadzić, taki jak zażycie pigułki?

— Doug, proszę pozwól, by doktor Edgemar ci pomógł — błagała Lori.

Trzymając palec na spuście, Quaid walczył z wątpliwościami. Wiedział, że mógłby to zrobić i roztrzaskać doktorowi mózg. Ale czy chciał tego? Jeśli znaczyło to, że sam wciągał siebie w sen o przemocy, niepewności i sfrustrowanej miłości?

— Ściany rzeczywistości zawała się — powiedział Edgemar. — W jednej minucie będziesz zbawcą sprawy powstańców, potem staniesz się serdecznym przyjacielem Cohaagena, aż w końcu na Ziemi zostaniesz poddany lobotomii.

Quaid miał w głowie totalny śmietnik. To musiała być prawda.

Jeśli rzeczywiście był w stanie półśpiączki na Ziemi i nie można byłoby go z niej wyprowadzić, poddaliby go lobotomii. Nie było powodu, żeby utrzymywać jarzynę. To nie było ekonomiczne. Zlobotomowany mężczyzna nie musiał być zbyt twórczą jednostką. Wystarczy by potrafił obsługiwać młot pneumatyczny. Musiał więc zgadywać, gdyby podążył za iluzją, jedną czy drugą drogą sprowadziłby na siebie nieszczęście.

— Więc weź się mocno w garść, Doug — powiedział stanowczo Edgemar. — I odłóż broń.

Z namysłem, Quaid opuścił broń. Jeśli to był sen i zastrzeliłby Edgemara, umarłby (lub został poddany lobotomii, co wychodziło na jedno) zamiast doktora.

— Teraz dobrze. Weź pigułkę, proszę... — Edgemar przerwał, gdy dłoń Quaida powoli dotknęła pigułki. — I włóż ją do ust.

Quaid włożył pigułkę do ust. Smakowała dokładnie jak pigułka. Oczywiście, we śnie smakowałyby tak samo jak w rzeczywistości.

— I połknij — ciągnął Edgemar, jakby sprowadzał do lądowania nagle ociemniałego pilota.

Quaid zamyslił się. Edgemar i Lori obserwowali jego ruchy z wielkim napięciem.

— Śmiało, Doug — powiedziała Lori.

Ale Quaid męczył się nie mogąc podjąć decyzji. Przypuśćmy, że to nie był sen?

Wówczas pigułka mogła pozbawić go przytomności, a może nawet zabić. W tym momencie zobaczył pojedynczą kroplę potu spływającą z czoła Edgemara.

Odruchy Hausera pokierowały jego ciałem. Gwałtownie skierował pistolet na Edgemara i wypalił.

Eksplozja plastiku w plastikowym pistolecie wysłała plastikową kulę prosto w głowę mężczyzny. Krąg krwi rozbił się na ścianie.

Chwilę potem krwawa plama wybuchła, odrzucając Quaida do tyłu. W ścianie pojawiła się wielka dziura. Nie zgadł! Świat jego snu runął, dokładnie tak, jak zapowiedział dr Edgemar!

Uderzył w ścianę i upadł na podłogę, oszołomiony. Czterech agentów marsjańskich wpadło przez dziurę w ścianie i chwyciło go.

To nie był koniec snu! To było potwierdzenie marsjańskiej rzeczywistości! Nie zaatakowali go wcześniej, ponieważ próbowali chwycić go żywcem, wydobyć od niego informacje. Gdyby pigułka nie zadziałała, wysadziliby ścianę, by go schwytać. Taki był tego sens.

Zaczął walczyć. Próbowali założyć mu kajdanki, lecz łokciem trafił w czyjąś szczękę, zwichnął komuś ramię, ciosami i kopniakami wrywał się z ich rąk. Jeden z agentów pociągnął go za nogę. Nie używali broni, chcieli nadal go żywego!

Opierając dłonie o podłogę, by odzyskać równowagę, zataczając się próbował dotrzeć do drzwi. Musiał się stąd wydostać. Do diabła ze snem!

Ktoś stał przed nim. Podniósł wzrok. Lori zastawiła mu drogę.

— Och, okay.

Ruszył się — i jej stopa rozbiła mu twarz.

Zachwiał się, dotknięty bardziej przez jej reakcję, niż cios. Nie chciał znów jej uderzyć!

Na Ziemi skończyło się to wystarczająco źle. Zatrzymał się tylko na ułamek sekundy, lecz to dało napastnikom czas, by go chwycić i unieruchomić. Napiął mięśnie, gotów rzucić trzymającego go za ramię agenta w pozostałych.

Wówczas Lori kopnęła go w jądra i świat wywrócił się do góry nogami z bólu. Przestał stawiać opór, czuł rozrywający ból, ale bardziej bolała jej zdrada. Powiedziała, że go kocha!

Z daleka, gdzieś spoza strefy bólu dotarł jej głos.

— To za to, że musiałam przyjechać na Marsa. Wiesz jak bardzo nienawidzę tej pierdolonej planety!

Nie, nie wiedział. Myślał, że to była tylko poza, żeby zniechęcić go do podróży tutaj. Najwyraźniej nie zawsze grała.

Agenci skuli mu ręce na plecach. Był bezradny. Lori wyrznęła go kolanem w twarz,

wybijając z niego tę resztkę przytomności, którą jeszcze zachował.

Czuł, że wloką go do drzwi. Lori przynajmniej wyświadczyła mu przysługę. Przekonała go o swoich prawdziwych uczuciach. Już nigdy nie da się jej skusić. Chyba nawet nie będzie miał takiej szansy. Stracił przytomność.

Lori odezwała się do bezprzewodowego wideofonu.

— Mam go — powiedziała uśmiechnięta, gdy na ekranie ukazała się twarz Richtera.

— Sprowadźcie go na dół — powiedział Richter. — Weźcie windę towarową. Zaraz tam będziemy.

Lori wyduła usta w niemym pocałunku.

— Ciao. Przekaz się skończył.

Tylko Lori mogła wziąć go żywcem, zaspokajając rozkaz Cohaagena.

Richter zabiłby Quaida natychmiast, pod byle pretekstem.

ROZDZIAŁ 19

Ucieczka

Richter i Helm czekali w samochodzie zaparkowanym przed „Hiltonem”. Richter zaciskał pięści z satysfakcją. Po odebraniu meldunku od Lori, Helm wyskoczył z samochodu. Richter podążył za nim i razem wbiegli do hotelu.

Quaid wracał do przytomności, ale wszystko wokół było zamazane.

Wlekli go do windy towarowej. Pod ścianą stało dwóch gości i chłopiec hotelowy z wózkiem bagażowym, nie wtrącał się.

Musiał stracić przytomność tylko na kilka sekund — na tyle, ile potrzebowały jego jaja, żeby okropny ból ustabilizował się na znośnym poziomie. Podtrzymali go, czekając na windę. Gapił się na podłogę, nie stawiając oporu, próbując odzyskać całkowicie przytomność. Jego wzrok skoncentrował się na czymś przyjemnym. Po chwili doszło do niego, że były to nogi Lori.

Szkoda, że jej serce nie dorównywało ciału!

Zauważył, że na kostce nosiła etui z nożem. Teraz nie miał wątpliwości, że była profesjonalistką! Jak mógł dać się tak oszukać? Drzwi windy rozsunęły się na boki. Ze środka bluznęła seria strzałów.

Co jest? Czy po tym wszystkim zabijają go?

Ale nic nie poczuł. Agent stojący przed nim upadł. Twarz mężczyzny zamarła w zaskoczeniu. Quaid nie został zastrzelony — zginął agent. Co się tu działo?

Z windy wybiegła kobieta. Miała nie mniej wspaniałe nogi niż Lori, pełniejsze piersi i długie ciemne włosy.

Był zupełnie zaskoczony. To była Melina.

Melina okręciła się, jej pistolet buchnął ogniem. W jednej chwili zastrzeliła trzech agentów, podtrzymujących Quaida, jego nawet nie drasnawszy. Albo miał szczęście, albo ona była tak doskonałym strzelcem.

Lori rzuciła się na podłogę, machnęła nogami i podcięła Melinę. Pistolet poleciał w bok. Lori chwyciła Melinę za włosy i pociągnęła gwałtownie w tył, prawie łamiąc jej

kark. Okręciła włosy Meliny wokół pięści, unieruchamiając głowę i uderzyła jej twarzą w ścianę. Raz. Drugi. Trzeci. Melina przestała walczyć. Quaid wiedział, co ona czuje, przed chwilą sam tego doświadczył.

Przeturlał się po ciałach agentów. Z rękoma skutymi na plecach wyrwał pistolet z czyjejs martwej dłoni. Agenci mieli broń, po prostu nie zdążyli użyć jej przeciw Quaidowi. Tym razem Lori wyciągnęła nóż. Uniosła wysoko, szykując się, by wbić go w serce Meliny. Ale zatrzymała się na chwilę.

Oczy Meliny skupiły się w jednym punkcie. Widziała nóż trzymany nad sobą.

Na ten moment czekała Lori. Najwyraźniej wiedziała, że Melina jest dziewczyną ze snu Quaida. Chciała, żeby Melina zobaczyła nadchodzącą śmierć. Może chciała też, żeby Quaid zobaczył. Zamierzała dopiec mu, najbardziej jak mogła i znalazła doskonały sposób.

— Nie! — zawołał Quaid.

Nie prosił, ostrzegał.

Lori obróciła się i ujrzała, że trzymał ją na muszce. Zobaczyła także, że ciało Quaida było nienaturalnie wykręcone, ręce miał nadal skute. Czy może z tej pozycji oddać celny strzał.?

Nadal w nią celował.

Lori, niczym kameleon, zmieniła swoją postawę. Najwidoczniej znała celność jego strzałów!

— Doug... — wzięła oddech. — Nie skrzywdziłbyś mnie, prawda?

Lori opuściła nóż i złożyła ręce jakby była uosobieniem niewinności.

— Bądź rozsądny, kochanie. Byliśmy małżeństwem.

Tak, kiedyś tak mu się wydawało. Ale teraz znał prawdę.

Lufa pistoletu nie drgnęła.

Lori ledwo uchwytnym ruchem przygotowała nóż do rzutu, trzymając go za czubek ostrza. Nie wątpił, że jest zdolna trafić go dokładnie tam, gdzie zamierzała. Był doskonałym celem.

— Uważaj to za rozwód — powiedział ponuro Quaid.

Lori zamachnęła się.

Quaid strzelił. Kula uderzyła ją w czoło. Nóż upadł. Potem upadła Lori. Mógł ją puścić wolno, mimo że próbowała zabić Melinę. Nienawidził zabijać kobiet. Jednak ona do końca zachowała swoją prawdziwą naturę. Była agentem z krwi i kości, tak brutalnym jak każdy z pozostałych napastników, ale bardziej niebezpiecznym. Musiał ją zabić.

Melina usiadła, zmaltretowana i roztrzęsiona. Nie spodziewała się, że będzie zmuszona walczyć z inną kobietą.

— Była twoją żoną?

Quaid skinął głową. Wiedział, że postąpił sprawiedliwie, lecz ciągle robił sobie

wyrzuty. Najwyraźniej Lori nie tylko go nie kochała, ale najwyraźniej go nienawidziła. On jej nie kochał, ale przynajmniej ją lubił.

Zabił ją z o wiele cięższym sercem niż zrobiłaby to ona.

— Co za suka — powiedziała Melina.

To było właściwe podsumowanie. Osiem lat — czy tylko sześć tygodni wartych takiego podsumowania — wyszarpano z jego życiorysu. To bolało.

Richter naciskał niecierpliwie przycisk wzywający windę. W końcu przyjechała. Razem z Helmem wszedł do środka. Żałował ogromnie, że Hauser się nie wyrwał, mieliby wtedy pretekst, żeby go zabić — wykonując służbowe obowiązki.

Melina przeczołgała się ciężko do Lori i przeszukała jej kieszenie.

Quaid obserwował jej ruchy.

— Wpadłaś na kawę? — spytał z sarkazmem. — Urwałaś się z roboty?

— To jest moja robota — odpowiedziała.

— A „Ostatnia Deska Ratunku”, to hobby — wiedział, że zrzędzi, ale miał powyżej uszu nieustannej ciemności okrywającej pamięć.

— To tylko przykrywka — powiedziała Melina.

Kontynuowała przeszukiwanie.

Była zawodowcem, jak Lori. Robiła wszystko, by chronić swoją prawdziwą misję. Postanowił do tego nawiązać.

— Myślałem, że mnie nie lubisz.

— Nie lubiłam — powiedziała krótko Melina.

Znalazła kluczyk do kajdanek.

— Dlaczego zmieniłaś zdanie? — spytał, jakby to była zwykła rozmówka, a nie rozpaczliwa próba ucieczki.

— Jeśli Coahaagen chce cię zabić, to znaczy, że możesz być w porządku.

Istotnie tak mogło się wydawać, ale tym razem Coahaagen zamierzał wziąć go żywcem, Agenci mogli zastrzelić go przez ścianę w dowolnym momencie, ale zamiast tego czekali na wynik krótkiej scenki z Edgemarem i Lori. Jednak nie zamierzał rozwiązywać tej zagadki.

To, co Melina myślała o nim, było podobne do jego przemyśleń na jej temat. Skoro odmówiła współpracy z nim, bo wątpiła w jego lojalność, to mógł jej chyba teraz zaufać. Lori była kimś innym, nie tylko z powodu koloru włosów. Czasami należało upewnić się kim są wrogowie drugiej osoby, zanim można było zdecydować, czy ten ktoś jest przyjacielem.

— Więc wpadłaś, z przeprosinami?

— Kuato chce cię zobaczyć — powiedziała rozpinając kajdanki Quaida.

— Chodź. Pomogła mu wstać i popędzili korytarzem.

Z windy towarowej wybiegli Richter i Helm. Richter zatrzymał się na chwilę na

widok dziury w czole Lori. Krew odpłynęła mu z twarzy, uderzyła go fala nienawiści i gniewu. Kiedy widział ją po raz ostatni, była taka ciepła, żywa, a teraz...

Nie, — pomyślał, — nie Lori, nie moja Lori.

Była najlepszą rzeczą, jaka mu się kiedykolwiek przytrafiła. Inteligentna, piękna i wspinała w łóżku. Nie mógł znieść myśli, że nigdy już nie będzie trzymał jej w ramionach, nigdy nie zobaczy jej uśmiechu, nigdy nie usłyszy jej gorącego szeptu.

Przez chwilę koszmarna udręka paraliżowała mu mózg, lecz szybko zastąpiła ją rozpalona do białości furia.

Hauser to zrobił! Ten nędzny morderca i zdrajca!

Pomści śmierć Lori, nawet gdyby to miała być ostatnia rzecz jaką zrobi w życiu. Urwie sukinsynowi łeb...

Helm dotknął jego ramienia i wskazał przed siebie. Richter zobaczył Quaida i Melinę biegnących korytarzem. Z dzikim wrzaskiem Richter otworzył ogień, rzucając się w pogoń. Kule przelatowały z gwizdem obok uszu Quaida.

Cholera!

Obawiał się, że z windy wyskoczą jeszcze inni napastnicy, tak więc zginęliby w strzelaninie, nawet jeśli trafiliby Richtera i Helma. Ale zdaje się, że napastników było tylko dwóch. Jednak każda chwila namysłu, próba dokładnego wycelowania skończyłaby się dla nich fatalnie. Biegli więc nadal.

Dotarli do drzwi wyjściowych. Melina pociągnęła za klamkę. Nie otworzyły się.

— Kurwa! — wykrzyknęła.

Uciekali dalej nie mając żadnej alternatywy. Podbiegli do wielkiego okna na końcu korytarza. Za oknem było tylko czerwone niebo i szkielet kopuły i ani śladu powierzchni, na której można by stanąć.

— Co teraz? — spytał Quaid, widząc zbliżającą się śmierć.

— Skaczemy! — odpowiedziała zwięźle.

Gdyby lepiej panował nad myślami, pewnie by się sprzeciwił, ale nadal był nieco zamroczony ciosami. Może ona była w podobnym stanie, ale jeśli miał skoczyć, to Melina była jedyną kobietą, z którą chciałby to zrobić! Przypomniał sobie sen...

Skoczyli rozbijając okno. Żeglowali w powietrzu, spadali, a przed oczami Quaida przesuwały się fragmenty jego życia i nagle odkrył, że to co było pogrzebane w jego umyśle, wiązało się ze szczęściem ludzkości!

Spojrzał w dół i dokładnie sześć stóp pod sobą ujrzał dach. Melina zapewne o tym wiedziała. Hotel składał się z wielu tarasów zbudowanych tuż obok kopuły. Chwilę łapali równowagę aby zaraz rzucić się do dalszej ucieczki. Richter i Helm pojawili się przy rozbitym oknie i strzelali za nimi. Quaid i Melina rzucili się biegiem za najbliższy załom muru.

Quaid usłyszał łomot, gdy Richter i Helm skoczyli w dół. Pościg jeszcze się nie

skończył!

Biegli z dachu na dach, robiąc uniki, by nie wejść na linię strzału. Na szczęście, ścigający nie mogli w biegu strzelać celnie, marnowali tylko kule.

Lecz wkrótce znaleźli się w ślepych zaułku, jak w hotelu, tylko że tym razem wokół nie było ścian lecz uskoki. Dokąd teraz? Melina popędziła z pełną szybkością do krawędzi. Quaid podążył za nią przerażony.

— Znowu?

Najwyraźniej. Miał nadzieję, że ona nadal wie, dokąd biegła. Zobaczył przed sobą kopułę. Schował pistolet za pasek. Żałował, że nie mógł zatrzymać plastikowego pistoletu, który zdobył z takim trudem, była to świetna broń.

Dotarli do krawędzi dachu, skoczyli i chwycili się rusztowania kopuły.

Znów udało im się uciec!

Quaid, trzymając się kurczowo belki, odwrócił głowę. Zobaczył, że Richter i Helm podbiegają do krawędzi dachu. Richter podniósł pistolet, lecz Helm przycisnął mu ramię i kula uderzyła w ziemię.

— Chcesz nas pozabijać? — ryknął Helm.

Richter, wściekły uderzył Helma w głowę i próbował znów złożyć się do strzału. Helm bił się gorączkowo ze swoim silniejszym szefem. —

Rozwalisz tą pierdoloną kopułę! — krzyknął okładając pięściami Richtera.

To prawda, — pomyślał Quaid, przypominając sobie scenę na kosmodromie. Kula mogła rozbić kopułę z taką łatwością, jak wybuchająca maska, okno. Ten facet był głupcem, który najpierw strzela, a potem pyta, gotów zabić postronnego przechodnia z równą łatwością jak tego, kogo ścigał.

Ale Helm przemówił mu chyba do rozsądku, bo kolejny strzał nie padł.

— A propos — Quaid ciężko chwyając powietrze, spojrzał na Melinę. — Słyszałaś kiedyś o firmie „„Recall””?

— Pracowałam dla nich jako modelka Czemu pytasz?

— Byłem ciekaw. — Łamigłóвка w jego głowie układała się w całość, nawet jeśli jej części trafiały tam różnymi drogami.

Quaid podążył za Meliną, która przesunęła się zręcznie wzdłuż belki, po filarze i przeskakiwała od podpory do podpory. Quaid nagle poczuł, że pistolet wetknięty za pas wysunął mu się. Zauważył, że Melina także zgubiła swoją broń. Nie mieli teraz czym się bronić.

Tymczasem Richter i Helm schodzili po ścianie hotelu, co było o wiele łatwiejsze i zabierało mniej czasu. Doganiali ich!

Quaid i Melina opadli na ziemię tuż obok betonowej podstawy kopuły. Richter i Helm wylądowali prawie jednocześnie. Popędzili przed siebie, strzelając.

Quaid nerwowo poszukiwał jakiegokolwiek kryjówki. Nie było żadnej. Spróbował

wzrokiem odnaleźć upuszczony pistolet, ale na dole kopuły walała się masa śmieci i nie było czasu, żeby je przetrząsnąć. Sprawy wyglądały źle!

Richter zwolnił kroku, opanowując gniew. Dokładnie namierzył cel. Uśmiechał się. Nie zamierzał brać więźniów.

Nagle zza rogu z piskiem opon wyleciał samochód, odcinając Richtera i Helma od celu. Zatrzymał się przed Quaidem i Meliną.

Benny, taksówkarz w stylu jive!

— Podwieźć was?

Wskoczyli do wozu, wpadając na siebie, gdy Benny wystartował, błyskawicznie dodając gazu.

— Do baru „Ostatnia Deska Ratunku” — Melina łapała powietrze. — Szybko!

Richter strzelił za nimi i tylna szyba rozleciała się w kawałki. Quaid przycisnął Melinę, by uchronić ją przed odłamkami szkła.

— Jezu! — zawył Benny. — Macie kłopoty?

Wcisnął pedał gazu do końca.

Richter i Helm wpadli do swojego wozu, i włączyli się do ruchu, nieustannie strzelając.

Benny skręcił do głównego tunelu. — Dlaczego mi to robisz, stary? Muszę wykarmić szóstkę dzieciaków!

Ostro skręcił w lewo, w tunel, który biegł przez próżnię. Zwrot rzucił Quaida i Melinę na siebie. Tak bardzo pragnął wziąć ją w ramiona...

Bez pośpiechu! — skarcił w myślach sam siebie.

Uwolnił się ostrożnie, nie chcąc, żeby z tego wynikło jakieś nieporozumienie.

Jezdnia w tunelu nie była idealnie równa. Gdy samochód mijał z dużą szybkością poszczególne segmenty, światło reflektorów skakało w górę i w dół, a opony stukotały rytmicznie. Stukot przenikał podwozie dając efekt podobny do strzałów.

— Masz broń, Benny? — spytał Quaid.

— Pod fotelem, stary.

Quaid sięgnął pod przedni fotel dla pasażera i znalazł pistolet wsadzony w ukrytą kieszeń. Wyciągnął go i sprawdził. Była to broń zawodowców, naładowana. Taksówkarz wiedział jak się bronić, gdyby musiał. Spojrzał za siebie. Richter wychylał się z samochodu. Wylot lufy błysnął.

Kula zdmuchnęła przednie lusterko. Richter celował coraz lepiej!

Quaid, przez okno, dokładnie wycelował i strzelił, Trafił, przednia szyba wozu Richtera rozleciała się w drobny mak.

Wóz zarzuciło, lecz kierowca nie stracił nad nim panowania. To znaczy, że go nie trafił. Źle. Zobaczył jak ręka z pistoletem usuwa odłamki szkła. Potem ogień został wznowiony z wnętrza wozu.

Tylko ułatwił Richterowi zadanie! Wyglądało, że facet zaraz użyje ciężkiej artylerii. Co on tam miał?

Richter strzelił. Od samochodu odleciał zderzak. Strzelił ponownie.

Rozpadło się kolejne okno. Rzeczywiście, walił jak z armaty!

Quaid odpowiedział ogniem, lecz bez widocznego rezultatu. Mężczyźni w ścigającym samochodzie schylili się, uniemożliwiając trafienie. Teraz jego pistolet wydawał się bezużyteczny, samochód przeciwników był częściowo opancerzony i strzelanie w karoserię nic by nie dało. Richter strzelił ponownie. Tym razem pocisk zdmuchnął dach taksówki.

— Kurwa! — wykrzyknął Benny. — Jeszcze nawet za nią nie zapłaciłem.

Sytuacja nagle pogorszyła się. Gdy brali zakręt pękła opona po stronie Benny'ego. Taksówka wpadła w poślizg, przekoziółkowała i stanęła na środku rynku Venusville.

Quaid działał podświadomie, prawdopodobnie osobowość Hausera znów kontrolowała jego ruchy, jak to się zdarzało w skrajnych sytuacjach. Osłaniał Melinę jak potrafił najlepiej, chroniąc ją przed uderzeniem .

Zanim wóz zatrzymał się, wiedział, co robić. — Jazda! — warknął.

Wygrzebali się spod siedzeń i wyskoczyli przez rozbitą przednią szybę. —

Ruszać się! Jazda! — nalegał słaniając się na nogach, wywłókł Melinę i Benny'ego.

— O Chryste — ryknął Benny. — Teraz mnie gonią.

Zaczęli biec, niemal w ostatnim momencie. Samochód Richtera wyleciał z zakrętu i zahamował z piskiem opon.

Richter i Helm wyskoczyli, przesywając wrak taksówki gradem kul.

ROZDZIAŁ 20

Kuato

Odgłos strzałów zaalarmował barmana w „Ostatniej Desce Ratunku”. Przytrzymał drzwi, gdy Melina, Quaid i Benny przebiegli pędem i zatrzasnął je, gdy znaleźli się wewnątrz.

Quaid stanął jak wryty, zaskoczony tym co zobaczył. Tony i pozostali górnicy podnieśli stolik, przy którym wcześniej siedzieli, a z nim kawałek podłogi. Pod spodem ziała dziura. Czy była to droga ucieczki?

Melina wiedziała dokładnie, co to było. Wskoczyła do dziury i zniknęła w ciemnościach. Benny poszedł w jej ślady, rzucając przez ramię przerażone spojrzenia. Quaid wyrwał się z osłupienia i podążył za nimi. Górnicy ustawili stół na miejsce i rozpoczęli grę w pokera. Akurat w momencie, gdy Richter, Helm i sześciu żołnierzy wpadli do baru, jak wściekłe psy goniące zwierzynę.

Gracze spojrzeli na uzbrojonych mężczyzn z lekką ciekawością. W barze było tak cicho i spokojnie, jak w klubie brydżowym w czwartkowe leniwe popołudnie, lecz Richtera to nie zwiódło. Wiedział, że ci podludzie chronili człowieka, który zabił Lori i, czyniąc to, utracili prawo do życia. Nie obchodziło go ilu z nich będzie musiał zabić, by dostać informacje, których potrzebował.

Chwycił Mary i przystawił jej pistolet do głowy. Z tego samego pistoletu zestrzelił dach taksówki Benny'ego.

— Dokąd uciekli? — spytał z naciskiem.

— Kto? Nie wiem, o ko... — głowa Mary została zdmuchnięta z ramion.

Richter odrzucił jej ciało i chwycił Paluszka.

— Może Wywiesz? — zasugerował groźnym, zimnym głosem. Zanim zdążyła odpowiedzieć, Tony runął na Richtera i przewrócił go na podłogę. Helm podbiegł, żeby wycelować w Tony'ego, a w tym momencie Paluszek wyciągnęła rękę i nożem myśliwskim rozcięła mu brzuch od krocza do mostka. Sytuacja zmieniła się, jakby iskra padła na beczkę z prochem.

Pozostali górnicy ruszyli do akcji, atakując żołnierzy pięściami, nożami, pistoletami, butelkami i kuflami do piwa. Tymczasem Richter, uwolniwszy się z uścisku Tony'ego, zobaczył, że połowa jego ludzi została wyeliminowana. Skoczył przez okno, ścigany przez kule. Na odgłos strzałów zbiegła się znaczna grupa żołnierzy i gradem ognia osłoniła jego ucieczkę.

Richter umknął za barykadę z wraków samochodowych i przepełnionych pojemników na śmieci, pobiegł do ciężarówki z której wyskakiwali kolejno żołnierze. Kule świstały mu wokół głowy, gdy biegł pochylony, uskakiwał i turlał się po ziemi próbując dotrzeć do ciężarówki. Zamontowano na niej wyrzutnię i chciał właśnie wydać rozkaz otwarcia ognia, gdy jakiś żołnierz wręczył mu połowy wideofon.

— To Cohaagen — powiedział żołnierz.

Richter przygryzł wargi.

— Sir... — zaczął, lecz Cohaagen przerwał mu.

— Wstrzymaj ogień i wycofaj się.

Nie, nie, to nie możliwe. — Oni chronią Quaida! — zaprotestował Richter, głos łamał mu się ze złości i zdziwienia.

— To świetnie! — powiedział Cohaagen. Wynoś się z sektora G. Ale już. — zanim Richter zdążył odpowiedzieć, Cohaagen dodał. — Nie myśl. Zrób to.

Richter zobaczył spojrzenie Cohaagena i przełknął ripostę. Cohaagen ukrywał coś w zanadrzu. Richter nie wiedział, co to jest, lecz wiedział, że będzie to coś znacznie lepszego od rakiety. Wykonał rozkaz.

Quaid opuścił się z szybu do tunelu i pobiegł za Meliną i Bennym. Tunel okazał się arterią ogromnego kompleksu górniczego, biegnącą pod miastem we wszystkich kierunkach. Przypuszczenia potwierdziły się, gdy przebiegł obok górników kruszących młotami skalne ściany. Górnicy zignorowali go, byli chyba przyzwyczajeni do takich widoków.

Tunel rozgałęział się na wiele innych w miejscu położonym daleko za granicami Venusville. Melina zatrzymała się tam, by złapać oddech i prawie przestała oddychać w ogóle, gdy silne drżenie przebiegło grunt pod ich stopami.

— Mój Boże — powiedziała przerażona — Awaryjne drzwi ciśnieniowe! Odcinają nas od reszty miasta!

Jeszcze nie skończyła mówić, gdy rozległ się łoskot. Nieodróżniające się od otoczenia metalowe drzwi zjechały z sufitu, zamykając wejście do jednego z tuneli przed nimi. Podbiegli do następnego — za późno!

Otwarty pozostał tylko jeden tunel. Desperacja dodawała im skrzydeł, kucnęli i przeturlali się pod drzwiami zanim zdążyły się zatrzasnąć. Udało im się!

Powstańcy, którzy przeżyli bitwę w „Ostatniej Desce Ratunku” wyglądali ostrożnie przez rozbite okno.

Przed chwilą żołnierze przerwali ogień, a teraz pakowali sprzęt i wycofywali się w uporządkowany sposób. Powstańcy nie wiedzieli, co o tym myśleć.

Gdy żołnierze zniknęli z pola widzenia, ludzie z Venusville zaczęli wychodzić ze swoich kryjówek, w których schronili się w czasie bitwy. Rozmawiali cicho. Niektórzy byli oszołomieni. Inni podejrzliwi. Przestraszyli się, gdy drzwi ciśnieniowe szczęknęły. Nikt nie wiedział, czego oczekiwać. Nagle na placu zapanowała głęboka cisza. Potem zrobiło się jeszcze ciszej.

Gigantyczne wentylatory, które nawiewały powietrze do sektora zwolniły, a potem zatrzymały się. Cisza była absolutna. Na twarzach ludzi pojawił się strach. A wtedy...

Wentylatory zaczęły znów wirować!

Ktoś zaśmiał się z ulgą, lecz śmiech przeszedł w zduszony krzyk rozpaczony, gdy papiery, które zalegały na placu pofrunęły w górę, w kierunku wielkich śmigieł.

Wentylatory obracały się wstecz! Wysysały powietrze z Venusville!

Quaid stracił na chwilę równowagę, gdy tunel otworzył się na wielką jaskinię. Melina wzięła latarkę z półki tuż przy wyjściu z tunelu i oświetliła wydrążoną w skale komorę. W jej ścianach wydrążono nisze, upodabiając ją do plastra miodu.

— Tu pochowani są pierwsi koloniści — powiedziała.

Quaid dostrzegł ludzkie ciała złożone w niszach, zmumifikowane przez naturę, bez bandaży. Słyszał o podobnych przypadkach na suchych obszarach Ziemi. Mumifikacja zależała od klimatu, a nie od bandaży. Melina prowadziła ich przez labirynt niskich korytarzy, wzdłuż których ciągnęły się otwarte grobowce. Przypomniała sobie, że gdy przysłała tu jako mała dziewczynka kurczowo trzymała ze strachu matczyną dłoń. Matka, żeby ją uspokoić, opowiadała o każdej mumii, aż stały się one łatwymi do rozpoznania, niemal żywymi postaciami.

Pod wpływem matki Melina wkroczyła na ścieżkę, która powiodła ją do powstańców. Pierwsi osadnicy byli twardą rasą, zdecydowaną założyć kolonię, której będą zazdrościć inne planety. Stworzyli mocne fundamenty, lecz podmyło je odkrycie turbinytu. Blok Północny skoncentrował swoją uwagę na kopalniach, pomijając inne sprawy, co doprowadziło do pogorszenia warunków życia kolonistów.

Rządy Vilosa Coahaгена uczyniły życie niemożliwym do wytrzymania. Ten człowiek był nieczułym na nic potworem. Nie wysilił się nigdy, żeby wysłuchać ludzi ze swojej kolonii. Na petycje odpowiadał aresztowaniami i oświadczył, że najmniejsza krytyka pod jego adresem będzie karana śmiercią.

Melina nie wytrzymała widząc jak marzenia pierwszych osadników rozpadają się w proch i wstąpiła do Frontu Wyzwolenia Marsa. Chciała zobaczyć, jak urzeczywistnią się ich wizje. Głos Benny'ego wtargnął w jej myśli.

— Słyszałem o tym miejscu — wyszeptał Benny.

— Przybyli tu, by stworzyć lepsze życie — powiedziała Melina. — Ale im się nie

udało. Cohaagen skąpił na kopuły i zamienił nas przez to w potwory. Traktuje nas jak niewolników, na naszej własnej planecie i nie chce zostawić nas w spokoju. Każę nawet płacić za powietrze, którym oddychamy.

Coś powróciło na swoje miejsce w umyśle Quaida. Powietrze...

— Jesteśmy jak jego cholerne złote rybki — powiedział gorzko Benny.

— Już od dawna moglibyśmy żyć na powierzchni tej wspaniałej planety — ciągnęła Melina. — Lecz Blok Północny zdecydował, że stworzenie atmosfery jest „zbyt kosztowne”. Ale nie oglądano się na cenę, gdy chodziło o czerpanie bogactwa i władzy z kopalni turbinytu.

Była głęboko oburzona.

Powietrze.

Quaid uchwycił tę myśl. Już prawie ją miał, ale wymknęła mu się.

Skoncentrował się więc na sytuacji górników. Wiedział, że wydobywanie turbinytu jest niebezpiecznym zajęciem. Słusznie podejrzewano, że liczba mutacji na Marsie była w takim samym stopniu wynikiem promieniowania w kopalniach, jak i wpływem szkodliwych składników światła słonecznego przenikających kopuły. Bez ogromnych premii, nikt dobrowolnie nie wyemigrowałby do pracy w kopalni. I dopiero po dotarciu na Marsa emigranci stwierdzali, że większość premii muszą wydać na powietrze, pomyślał Quaid ponuro.

Jedyną ich szansą, żeby zarobić na nie była praca w kopalni. Nawet jeśliby podejrzewali, ile przy tym tracą zdrowia — jaki mieli wybór? Powolna mutacja była lepsza niż szybka śmierć.

Zaczął sobie przypominać dlaczego Hauser zmienił front. Gdyby ludzie na Marsie mieli jakąkolwiek alternatywę dla kopalni turbinytu, wybuchłaby rewolucja. Już jedna się zdarzyła, ale jedna nie wystarczy, bo Cohaagen kontrolował dostawy powietrza.

— A na ziemi nikt nawet nie kiwnie palcem — ciągnęła Melina. Jak długo będzie płynąć turbinyt, jak długo Blok Północny utrzyma przewagę wojskową na Ziemi, nikt nie pokrzykuje planów Cohaagena. — Zatrzymała się i odwróciła do Quaida, w jej oczach była nadzieja. — Ale może ty będziesz mógł to zmienić. Zaskoczony odwrócił wzrok. Gdyby tylko mógł dotrzeć do wspomnienia, które zmieniłoby wszystko! Lecz łańcuchy wokół jego umysłu nadal były mocno napięte.

— Zrobię, co będę mógł — powiedział ponuro.

Szli przez katakumby, Quaid obok Meliny, Benny mitrężył z tyłu.

— To coś, o czym ty wiesz — powiedziała Melina. — Kuato pomoże ci przypomnieć sobie kilka rzeczy.

— Na przykład co?

— Wszystko.

Zamyśliła się, a gdy przemówiła miała głos ochryply z emocji.

— Może sobie przypomnisz, że mnie kochasz.

Quaid nie wytrzymał słysząc smutek w jej głosie. Chwylił ją za ramię i odwrócił twarzą do siebie. Musiał ją przekonać, że to co było w jego sercu, było prawdziwe, że fałszywe wspomnienia w jego głowie nie miały żadnego znaczenia.

— Melina, posłuchaj mnie! — powiedział. — Do tego nie potrzebny mi jest Kuato! Śniłaś mi się co noc na Ziemi. Zamazali wszystko, ale nie mogli zniszczyć moich uczuć do ciebie. Gdy spałem, widziałem cię, chciałem cię, co noc. Pamięć o naszym wspólnym życiu może odeszła, ale uczucie pozostało. Było tak silne, że nie dawało mi spokojnie żyć.

Melina spojrzała mu w oczy i zobaczył jak powraca w niej wiara.

— Więc ty naprawdę...

— Na zawsze! — pochylił się bliżej, lecz zanim ich usta się zetknęły, Benny wydał alarmujący skowyt.

Ciała wokół poruszały się! Cała sekcja katakumb przesunęła się w bok jak drzwi.

Za nimi stało siedmiu uzbrojonych mężczyzn.

Quaid zamarł, lecz Melina położyła mu dłoń na ramieniu. — W porządku — powiedziała — oni są z nami.

Jeden z powstańców wystąpił i wskazał lufą na Benny'ego.

— Kto to?

— Pomógł nam uciec — odpowiedziała Melina.

— Hej, stary, nie kłopotz się o mnie — powiedział Benny. — Jestem po waszej stronie.

Benny uchwycił swoją prawą rękę i pociągnął. Usłyszeli trzask, prawa ręka odłączyła się od korpusu jakby stanowiła element marionetki. Była zrobiona ze sztucznego tworzywa. Spod spodu wyłonił się zdeformowany kikut z kilkoma szczątkowymi palcami. Na ten widok Quaid poczuł się trochę niedobrze, lecz inni spoglądali na mutanta ze współczuciem.

Taksówkarz wyprostował ramię i zacisnął pięść. Ramię miało dziwny kształt. Żołądek Quaida doznał skurczu, gdy dostrzegł, że coś się tam obrzydliwie wije. Taksówkarz podwinął rękaw, z pierwszego ramienia wyrastało drugie, groteskowa kończyna z długimi, kościstymi, połączonymi błoną palcami, które powoli się zaciskały i rozprostowywały. Nawet na powstańcach zrobiło to wrażenie — pokaz osiągnął swój cel. Byli przekonani, że Benny jest jednym z nich.

— Chodźcie za mną — powiedział powstaniec.

Poszli za uzbrojonymi mężczyznami przez niski tunel do ogromnej pieczary wykutej w skale, gdzie w małych grupach obozowali inni powstańcy. W całym pomieszczeniu walały się stosy broni i amunicji, a kilkunastu mężczyzn ślezczało nad mapami rozłożonymi na stole w drugim końcu. Pozostali jedli, grali w karty, czyścili

broń, czytali lub spali. Lecz prawie nie rozmawiali ze sobą i nie śmieli się. Nastrój był przygnębiający.

Quaid stracił nieco respektu dla nich. Nie było wątpliwości, że stanowili zorganizowaną siłę, lecz nie byli zbyt ostrożni. Każdy szpieg mógł złożyć bardzo dokładny raport o ich liczbie i uzbrojeniu, jeśli dotarłby tu w ten sposób, co on. Rozsądniej byłoby oszołomić go narkotykami, sprowadzić, a potem zabić, gdyby okazało się, że jest szpiegiem.

Prowadzący ich powstaniec odwrócił się do Benny'ego.

— Poczekaj tutaj. — rozkazał.

A potem do Meliny i Quaida.

— Pójdziecie ze mną. — Podprowadził ich do stołu na końcu pieczary.

Quaid zauważył, że wśród map i wykresów pokrywających stół znajdował się wideofon. Zobaczył też, że mężczyzną siedzącym przy stole, bez wątpienia dowódcą, był George, uprzejmy górnik z „Ostatniej Deski Ratunku”. Mówił spiesznie do wideofonu, jego głos przyzwyczajony był do rozkazywania.

— Więc uszczelnijcie bardziej! — powiedział.

— Nie możemy — odpowiedział czyjś głos — a Quaid na jego dźwięk zeszywniał.

Należał do Tony'ego, tej gorącej głowy, który był z Meliną w barze. Spoglądając przez ramię George'a, zobaczył, że górnik nie byłby w stanie walczyć z nikim. Oddychał z trudnością. Quaid dostrzegł innych górników leżących na podłodze baru, lub pokładających się na stołach, chwytających z trudem powietrze.

— Cohaagen dekompresuje tunele — ciągnął Tony. — Są przygotowane do wysadzenia.

George spojrział przez ramię na Melinę, a potem zwrócił się do wideofonu. — O'kay, spróbujcie wytrzymać! Melina właśnie dotarła z Quaidem.

— Mam nadzieję, że było warto — powiedział Tony.

George skończył transmisję i odczekał chwilę, miał ponurą minę. Spojrział na Melinę i uśmiechnął się lekko.

— Cieszę się, że jesteś — powiedział.

— Nie wyglądasz, jakbyś się cieszył — odpowiedziała Melina.

George wstał z krzesła, ponura mina powróciła.

— Cohaagen odizolował Venusville.

— Wiemy, prawie w to wpadliśmy.

— Ale nie wiecie, że wypompowuje powietrze.

Melina chwyciła się za usta. Wiedziała, że Cohaagen pozbawiony jest skrupułów, ale nie aż do tego stopnia.

George spojrział na Quaida.

— Musisz wiedzieć o czymś cholernie ważnym, Quaid. On chce ciebie.

Quaid był przerażony.

— Jeśli cię nie wydamy, wszyscy będziemy martwi do rana.

George poprowadził ich do wzmocnionych drzwi. Wystukał kilka cyfr. Zamek szczęknął.

— Co zamierzasz zrobić? — spytała Melina.

— To zależy od Kuato — powiedział George.

Skinął na Quaida.

— Chodź.

Czy Kuato będzie mógł odblokować jego pamięć? Ciekawe w jaki sposób? — patrząc na niego?

Może mieli zamiar znarkotyzować go i przesłuchać. To też by niczego nie dało, nawet fachowcy w „Recallu” mieli problemy.

Quaid spojrzął na Melinę zanim poszedł za Georgem. Podniosła rękę w krótkim geście pożegnania i przez chwilę wyglądała dokładnie tak, jak w jego śnie. Chciał podejść do niej, objąć i nigdy nie wypuścić, lecz przede wszystkim musiał odzyskać pamięć. Potrzebował tego, w tej chwili nawet bardziej niż Meliny. Nie tylko dla ich dobra, lecz także dla dobra tych, którzy umierali teraz w Venusville. Oderwał wzrok od kobiety przeszedł przez drzwi za Georgem.

Wszedł do ciemnej, kopułowanej i pustej sali. Nie było w niej ani powstańców, ani Kuato. Drzwi zamknęły się. George podprowadził go do stołu, przy którym stały dwa krzesła.

— Siadaj. Quaid usiadł i obrzucił wzrokiem salę szukając innego wejścia. Na pewno Kuato posiadał prywatne wejście, niezależne od tego, którego używały oddziały powstańcze. Tylko że tu nie było innego wejścia. Chyba że byli lepsi w maskowaniu, niż jego wytrenowane oczy w odszukiwaniu, w co wątpił. Wiedział, że to oczy Hausera sprawdzają ściany. Hauser...

Coś go nagle zastanowiło. Melina знаła go jako Hausera, a nie jako Quaida. W śnie nazywała go Doug. Jak to możliwe?

Odpowiedź była tak oczywista, że aż się uśmiechnął. Nie zmienili mu imienia, tylko nazwisko! Douglas Hauser stał się Douglasem Quaidem. Przypomniał to sobie, albo myślał, że sobie przypomina. Na nieszczęście, nie było to znaczące wspomnienie. Powrócił do rzeczywistości.

— Gdzie jest Kuato? — spytał.

— Zaraz tu będzie — odpowiedział krótko George.

Wydawało mu się, że rozważa, co ma powiedzieć.

— Słyszałeś plotki o przedmiotach Obcych?

Quaid skinął głową.

— Są prawdziwe. Cohaagen znalazł coś w Kopalni Piramidy i to go ogromnie przestraszyło.

To wyjaśniało, dlaczego zamknięto Kopalnię Piramidy.

Quaid poczuł napływającą falę pamięci. W jego umyśle, głębiej niż turbinyt w zamarzniętym gruncie Marsa, ukryte było coś, czego nie mógł odnaleźć.

— Co to jest?

— Ty mi powiesz — odparł George. — Rok temu, wpadłeś na Melinę i powiedziałeś, że chcesz nam pomóc. Więc powiedzieliśmy „Wspaniale. Jesteś teraz po naszej stronie? To powiedz nam co jest w kopalni”. Poszedłeś tam, żeby się dowiedzieć, a potem już nie mieliśmy o tobie żadnych wieści.

— Mój sen! — wykrzyknął Quaid. — Moja pamięć! Poszedłem tam z Meliną i wpadłem do szybu...

George rozpiął kurtkę i rzucił na oparcie drugiego krzesła.

— Nie wiedzieliśmy, czy zginąłeś podczas upadku, czy cię schwytano — ciągnął. — A może tylko wodziłeś nas za nos. Lecz jeśli tak było, dlaczego Coahaagenowi tak bardzo zależy, żeby cię odzyskać?

George pokręcił głową.

— Nie. Wielka tajemnica Coahaagena jest zamknięta w czarnej dziurze, którą nazywasz swoją pamięcią. A my musimy ją poznać.

Quaid co do tego nie miał żadnych wątpliwości. Nie zginął w trakcie upadku, a został złapany. Lecz jak długo poruszał się swobodnie w budowli Obcych, nim go złapano? Czego się dowiedział? Musiał się dowiedzieć czegoś zdumiewającego, czegoś ważniejszego niż ktokolwiek mógł sobie wyobrazić. Zaginał cały rozdział z jego życia i chciał go teraz odzyskać.

George usiadł blisko na wprost Quaida.

— Posłuchaj, mój brat, Kuato jest mutantem. Proszę, nie okazuj obrzydzenia.

— Oczywiście, że nie okażę — zgodził się Quaid, dodając sobie odwagi.

A więc ten człowiek miał trzy ramiona, lub zęby w uszach. Ale liczyło się to, czego mógł dokonać.

George rozpiął koszulę. Jego klatka piersiowa wyglądała dziwnie, jakby przyklepiono do niej plastikową atrapę. Męski sztuczny biust? Nie, chyba jakiś ochraniacz...

George jednym ruchem usunął go, odsłaniając...

Z największym trudem Quaid zmusił szczękę, żeby nie opadła.

Z klatki piersiowej wyrastała druga głowa!

Pomarszczona i owłosiona, była skrzyżowaniem głowy płodu i starego człowieka. Oczy miała zamknięte. Spała. Mutacje rzadko przynosiły korzyści, większość z nich była groteskowa i bezużyteczna. Ale niektóre były inne...

George zwrócił się do Quaida i wyciągnął ręce.

— Weź mnie za ręce — powiedział.

Dostrzegł wahanie Quaida.

— Śmiało.

Quaid niechętnie przytrzymał ręce Geoga. Próbował nie reagować przesadnie, ale odrzucał go bliski kontakt z mutantem. Podobnie jak trzymanie się za ręce z mężczyzną.

— Zostawiam cię z Kuato — powiedział George i zamknął oczy, zapadając w sen.

Równocześnie, Kuato, ziewnął i przebudził się. Jedno z jego oczu było nienormalnie wielkie.

Kuato patrzył uważnie na Quaida. Otworzył pozbawione zębów małe usta i powiedział.

— Czego pan sobie życzy, panie Quaid?

— Tego co pan — powiedział Quaid, tak spokojnie jak mógł.

— Odtworzyć moją pamięć.

— Ale po co?

Quaid był zaintrygowany. Jeśli Kuato znał jego nazwisko, dlaczego nie wiedział nic o jego misji?

— Chcę przypomnieć sobie kim jestem.

— Jesteś tym, co robisz — powiedział Kuato. Przerwał, czekając aż jego słowa dotrą do Quaida. Na nieszczęście, większość z tego, co Quaid robił w ostatnim czasie polegało na szukaniu pamięci, i walce o życie.

— Człowieka określają jego czyny, panie Quaid — ciągnął Kuato. — Nie wspomnienia.

Gapił się na Quaida, który z trudnością wytrzymywał jego spojrzenie. Jedno oko było tak wielkie, drugie tak małe!

— Teraz proszę otworzyć myśli na moją obecność...

Quaid nie potrafił oderwać wzroku od wielkiego oka Kuato. Hipnotyzowało go. Zapadał w trans.

— Otworzyć... — powiedział Kuato.

Quaidowi wydawało się, że leci w kierunku źrenicy wielkiego oka.

Zobaczył w niej odbicie swojej twarzy.

ROZDZIAŁ 21

Rewelacja

Quaid dojrzał Górę Piramidy, od strony kanionu, wysoką jak Matterhorn.

Podziwiając górę unosił się, jakby nie miał ciała.

— Wejść do środka — powiedział Kuato z innej rzeczywistości.

Quaid odkrył, że potrafi poruszać się łatwo siłą woli. Skoczył na zbocze góry, a potem tak jak we śnie wpłynął do tunelu wydrążonego w jej boku. Prowadził on głęboko do wnętrza góry, dochodząc do otworu w skalnych ścianach. Prześlizgnął się przezeń i dotarł do przepaści.

Wnętrze ciemnego szybu wypełniała gigantyczna metalowa konstrukcja. Szybu z jego snu — lecz w pewien sposób innego. Konstrukcja — na swój sposób była raczej żywa, niż martwa, i raczej dynamiczna niż pasywna. Widział ją wcześniej i uznał że jest martwa, teraz wiedział, że było odwrotnie. Podpłynął do niej. Wielkie metalowe kratownice przypominały łukowate podpory mostu.

Podążył ku centrum konstrukcji i zobaczył las skorodowanych metalowych kolumn.

— Co to jest? — napłynął ponownie głos Kuato.

Quaid nie odpowiedział. Nie musiał, Kuato czytał w jego umyśle. Pytanie miało ukierunkować jego uwagę.

Opadał, coraz niżej i niżej, przywiązany do liny, jak we śnie. Lecz gdy minął punkt, w którym skończył się sen...

Ręce same znalazły linę przy pasie i zacisnęły się wokół niej. Niemal wykręciło mu ramiona ze stawów, gdy przyjęły na siebie ciężar spadającego ciała. Nawet w mniejszym ciężeniu Marsa, był to szok dla mięśni. Zakołysał się — i grzmotnął w ścianę szybu. Bolesny wstrząs przeniknął skafander. Nie wstrzymał jednak upadku całkowicie. Rękawice ślizgały się po linie. Wiedział że nie może pozwolić sobie na dalszy szybki zjazd. Do dna było ciągle zbyt daleko. Zmusił ręce do mocniejszego chwytu, nie bacząc na ból. Poczul, że znów kołysze się w...

Galaktykę przecinały linie komunikacyjne i handlowe. Jedynym ograniczeniem była prędkość światła na poziomie międzygwiazdowym, lecz gatunki, które wybiegały spojrzeniem daleko, prosperowały znakomicie. Wysyłały załogowe statki misyjne, mimo iż wiedziały, że nie ujrzą żadnych wyników, ani za swojego życia, ani za życia załóg. Lecz kontynuowały swoje podróże, bo taka była istota ich długofalowej działalności.

Galaktyka była w rzeczywistości rumowiskiem wciągającym w olbrzymią, monstrualną czarną dziurę, która znajdowała się w jej centrum. Pojawiła się jako chmura, potem uformowała w kwazara wsysając w siebie gaz i pył z najbliższego sąsiedztwa, jej apetyt był niezaspokojony. W ciągu miliardów lat jej działanie nieco osłabło i choć materia wokół uległa rozrzedzeniu, wszystko pozostawało dobrze zorganizowanym systemem.

Hauser odzyskał przytomność. Był na dnie szybu. W trakcie wizji o czarnej dziurze, ręce same opuściły go bezpiecznie na dno. Odwiązał linę. Musiał mieć swobodę ruchów. Potem wciągnie się i...

I co?

Melina widziała jego upadek. Pomyśli, że stało się coś niedobrego i pobiegnie po pomoc. Powinien zawiadomić ją, że wszystko jest dobrze i tylko chwilowo utracił przytomność. Nie wiedział tylko, jak długo był nieprzytomny. Więc jego misja...

Jaka była jego misja? Nie mógł sobie przypomnieć. Dezorientacja... Ale wspomnienie powracało. Próbował dowiedzieć się wszystkiego co mógł o urządzeniach pozostawionych przez Obcych. Czym były, do czego służyły, kto je zostawił. Więc, że Melina...

Rodzącą się myśl przysłoniła inna. Kochał Melinę. Zamknął oczy i przycisnął rękę do czoła. Jak mógł do tego dopuścić? Był doświadczonym zawodowcem, a nie kochliwym cymbałem. Miłość do niej była maską, środkiem wiodącym do celu, najstarszym powszechnie znanym trikiem. Użył jej by zinfiltrować oddziały powstańcze Kuato i powiodło mu się, chociaż nie mógł zlokalizować samego Kuato. Teraz należało przeprowadzić dalszą część planu. Czas było wracać do Cohaagena, do świata intryg, oszustw i zimnej kalkulacji.

Ale zdaje się, że został przechytrzony przez własne serce. Na chwilę stracił kontrolę, obiektywność spojrzenia, lecz zignorował to, stłumił, próbował zapomnieć. Nie mógł już tak dłużej. Odwaga i determinacja Meliny zwyciężyły jego fałszywą miłość — obudziły uczucia, jakich nigdy wcześniej nie doświadczył.

Kochał Melinę. Nie mógł temu już dłużej zaprzeczać. I jeśli zdradzenie powstańców oznaczało utratę jej, to nie mógł zdradzić. Robił to dla niej.

Wyruszył, by zbadać aparaturę Obcych, której podpory wznosiły się nad nim w prawie całkowitej ciemności. Przez moment wydawało mu się, że rozumie Obcych, ich statki misyjne, ich długofalową działalność — czy właśnie o tym miał zebrać informacje? Wspomnienia pomieszały się, chronologia wydarzeń była inna niż na

początku. Wszczyty pamięciowe, leżące warstwami, zakłócały się wzajemnie — skąd mógł wiedzieć, co jest realne? Skoncentruj się, na najniższym poziomie, pomyśl co się jeszcze nie zdarzyło... Znalazł coś, co mogło być dróżką dla stóp, lecz innych niż ludzkie. Powierzchnia była szorstka, prawie jak papier ścierny. Przecinały ją fałdy. Przypominała estakadę, pozbawioną balustrad. Ciągle musiał się schylać, aby przejść pod jej krzyżującymi się rozgałęzieniami. W pewnym miejscu estakada opadała i podnosiła się znów kilka stóp niżej. Jakby zgięto ją pod kątem prostym, a potem wyprostowano na niższym poziomie. Temu kto po niej chodził nie zależało zbytnio aby była linią prostą.

Zeskoczył i poszedł dalej zdecydowany dowiedzieć się, dokąd biegła. Było jasne, że dokądś wiodła i mogło to rzucić pewne światło na konstrukcję pozostawioną przez Obcych. Musiał iść dalej, żeby sprawdzić swoje przypuszczenia. Ścieżka chyba miała utrudnić mu to zadanie. Podnosiła się pod kątem prostym, przebiegając wzdłuż niskiego sufitu, następnie skręcała na rogu ku szczytowi mniejszej konstrukcji ustawionej w gigantycznym kompleksie. Jeśli to rzeczywiście była ścieżka, istoty, które jej używały musiały mieć stopy much, żeby chodzić po ścianach lub do góry nogami po suficie. Czy to miało sens?

Udało mu się zejść na niższy poziom, dzięki czemu mógł iść normalnie. Ciągle miał przed sobą wyraźną drogę, pewne odcinki musiał pokonywać na czworaka, lecz nic go już nie hamowało. Oceniał, że Obcy musieli osiągać połowę wzrostu człowieka. Nie bali się wysokości, gdyż niektóre mijane ścieżki biegły prosto wzdłuż boków kolumn. Wizerunek inteligentnych much stawał się coraz wyraźniejszy, niepokojący. Czy mogły być budowniczymi? Po co by budowały? Czy może te ogromne rusztowania, służyły do „przewietrzania padliny”?

Dotarł w końcu do czegoś, co przypominało centralny plac. Zbiegało się tam wiele ścieżek. Po środku stała przysadzista kolumna, pokryta czymś, co wyglądało jak płaskorzeźby. Miały najróżniejsze kształty, od czysto geometrycznych, aż do bardzo wymyślnych.

Obszedł kolumnę, patrząc na figury. Wiele z nich przypominało mrówki.

Mrówki! Mrówki potrafiły chodzić po ścianach i sufitach, i były dłuższe niż wyższe. Budowały kopce i drażyły tunele w drzewie. Żyły w zorganizowanym społeczeństwie, a nawet jak ludzie, prowadziły wojny. Czy Obcy byli mrówkami?

Nagle ujrzał wizerunek mężczyzny. Natychmiast skoncentrował się na nim, podejrzywając, że źle go zinterpretował, zbyt spragniony zobaczenia czegoś znajomego. Ale to z pewnością był mężczyzna — obok, na pewno kobieta. Postacie były nagie, a kobieta doskonałymi kształtami przypominała Melinę. Melina...

Nie miał wątpliwości. Zrobiło mu się ciepło!

Wiedział, że te postaci nie zostały wyrzeźbione przez człowieka, były częścią konstrukcji Obcych. Obcy umieścili je na kolumnie. Dlaczego?

Czy może to być wiadomość przeznaczona dla ludzi? Zbadał wizerunki. Mężczyzna i kobieta spoglądali poza kolumnę z zainteresowaniem na twarzach. Hauser podążył za ich wzrokiem. Na krawędzi okrągłej platformy była komnata. Miała rozmiar i kształt człowieka. Wydawało się to wystarczająco jasnym zaproszeniem. Mógłby wejść do tej komnaty — i co dalej? Zostać zamarynowanym dla przyszłych badań, jako okaz Homo sapiens?

Ten termin oznaczał „człowieka rozumnego”, nie wiedział, czy wchodząc tam potwierdzi prawdziwość tego stwierdzenia!

Ale skoro Obcy wiedzieli o istnieniu człowieka, to musieli również wiedzieć, jak schwycić egzemplarz okazowy, jeśli go potrzebowali. Nie musieli zarzucać przynęty dla przypadkowo tu zabłąkanej, żadnej przygód duszy. Jeszcze raz przyjrzał się figurom na kolumnie. Czy były wizerunkami wielu istot, o których istnieniu wiedzieli Obcy, samce i samice z całego systemu galaktyki? Po parze każdego gatunku, jak na arce Noego? Więc był to rodzaj pomnika i każda istota, która by go zwiedzała, odnalazłaby podobnych do siebie? Ale dlaczego?

Przyjrzał się bliżej innym figurom. Wiele z nich nie mógł rozszyfrować, niektóre można było mniej więcej rozpoznać. Na przykład, widniała tam doskonale przedstawiona para potworów, wyglądająca jak ucieleśnienie zła z komiksów wideo. Ich wytrzeszczone oczy gapiły się na... komorę najwyraźniej przeznaczoną dla takich istot.

Jedna z figur wyglądała jak skrzyżowanie wielkiego pająka i małego węża. Ona też miała swoją komnatę. Wiedział, że na Ziemi nigdy nie było takich istot, więc każdy, kto się tu pojawił musiał być gwiazdny wędrowcem. Po co miano by zastawiać na niego pułapki!

Wówczas olśniła go myśl — to był system łączności! Musiały tu być kabiny łączności, odrębne dla każdego gatunku. Może centralny system telefoniczny, żeby wędrowcy mogli zadzwonić do domu, albo przynajmniej powiadomić, czy panują tu odpowiednie warunki.

Czy ufał starożytnym Obcym?

A co miał do stracenia?

Hauser wszedł do komory dla człowieka.

Nastąpił błysk bladozielonego światła i miarowy stuk, jakby coś wystartowało.

Potem...

Galaktykę przecinały linie komunikacyjne i handlowe... A więc to stąd wszystko pamiętał! Taśma szkoleniowa Obcych. Teraz biegła we właściwym kierunku. Słuchał i patrzył, nie zmysłami, lecz umysłem.

Na krawędzi galaktyki, daleko od położonej centralnie czarnej dziury, pył kosmiczny przybrał formę spirali, formowały się nowe gwiazdy. Przy niektórych powstawały systemy planetarne, część z nich nadawała się do życia. Niektóre z „żywych” planet miały

perspektywy wejść, w miejsce tych, które zostały utracone w środku galaktyki, gdy ich systemy przekroczyły „granicę życia”. Doświadczenie pokazało, że proces może zostać przyspieszony przez „posiew”. Przez przekazanie zaawansowanej technologii rodzącym się cywilizacjom i umożliwieniu im osiągnięcia „statusu handlowców”. W ten sposób system galaktyczny był utrzymywany na stałym poziomie. Wygląd i budowa chemiczna nowych gatunków nie miały znaczenia, jedynym wymaganiem było to, żeby opanowały zaawansowaną technologię i używały jej dla dobrych celów.

Zwykle, po kilku miliardach lat życia na planecie, rozwijał się „handlowy” gatunek, jeśli jakiś naturalny kataklizm go nie zlikwidował. Taki gatunek mógł przejść od pojawienia się świadomości, do podróży międzygwiazdnych w ciągu zaledwie kilku milionów lat. Mógłby nawiązać potem kontakty galaktyczne i handel w ciągu następnych kilkuset lat — jeśli użyto by właściwego „nasienia”. Szansa, że nieposiany gatunek mógłby osiągnąć pełny „status handlowy” wynosiła jeden do dziesięciu, około połowy niszczyło swoje planety i tym samym siebie, starając się przebić w Kosmos. Wiele z pozostałych traciło zainteresowanie i odchodziło od Kosmosu, woląc bezpieczną izolację. Ale części z nich udawało się osiągnąć kolejną fazę rozwoju.

Jednak z „posiewem” wiązało się ryzyko. Niekiedy gatunkom, które zostałyby wyeliminowane przez dobór naturalny (niszcząc siebie), udawało się przeżyć. Takie słabe gatunki mogły siać zniszczenie, używając technologii w sposób niewłaściwy. Dokonywały podbojów dla własnego dobra nie potrafiąc docenić korzyści płynących z normalnego handlu. Gdyby pozwolono im się rozwijać, mogłyby spustoszyć galaktykę w równym stopniu jak własne planety, a efektem byłaby destrukcja na wiele szerszą skalę.

Tak — pomyślał Hauser, a pokaz zatrzymał się w momencie, gdy jego prywatne myśli przeważyły, pozwalając mu przyswoić materiał w jego własny sposób. Daj dziecku pistolet, a ono zacznie strzelać do innych dzieci. To nie byłoby rozsądne. Podjęto więc środki ostrożności i odniosły one skutek. Jednym z nich było żądanie, aby rokujące nadzieje gatunki samodzielnie osiągnęły zdolność do krótkich podróży kosmicznych, zanim zostanie dokonany „posiew”. To gwarantowało, że przyniesie on zyski tylko gatunkom zdolnym do nieustannego i dobrze zorganizowanego wysiłku. Inny środek polegał na ukryciu natury „posiewu”, tak iż niewtajemniczony gatunek nie mógł z niego skorzystać. Trzeci środek nie został wymieniony w bliżej określony sposób.

Jednakże, czas między dokonaniem, a przyjęciem się „posiewu” sięgał od tysięcy do milionów lat. Ale prawdopodobne było, że nie tylko jednostki, na których dokonano „posiewu”, lecz również cały gatunek, wymrą zanim osiągną „status handlowy”. Dokonanego „posiewu” nie można było cofnąć. To utrudniało decyzję.

Hauser ponownie zareagował. Zanim człowiek da dziecku naładowany pistolet, powinien dobrze się nad tym zastanowić. Szczególnie jeśli wie, że nie będzie mógł

go odzyskać. A więc powinien położyć pistolet na umieszczonej wysoko półce, żeby dziecko nie dosięgło go zanim nie dorośnie, a potem mógłby zataić jego przeznaczenie. Dziecko, które dorosło i potrafiło zrozumieć do czego służy broń, mogłoby uznać ją za bardzo skuteczną w obronie domu przed napastnikami.

Nie była to doskonała analogia, lecz musiała wystarczyć. Ludzie pod wieloma względami byli dziećmi, a to była najwyraźniej bardzo wyrafinowana konstrukcja Obcych. Do czego służyła? Nie był to chyba statek kosmiczny, chociaż Hauser nie mógł tego wykluczyć.

Człowiek odbywał krótkie podróże kosmiczne, tak więc spełniono pierwsze żądanie. Gdyby mógł się dowiedzieć, czym była ta rzecz i jak jej używać, to spełniłby drugi warunek. Wówczas pozostałby trzeci.

Bliżej nieokreślony? Co to znaczyło? Zależał od rodzaju gatunku? Może się dowie, gdy pozna resztę.

Odprężył się i śledził dalszy ciąg projekcji. Dowiadywał się po co przybył.

Było to znacznie więcej niż mógł sobie wyobrazić!

Zwykła procedura stanowiła, że „handlowy” gatunek musiał dojrzeć na swojej planecie, rozpocząć podróże międzyplanetarne, otrzymać „posiew”, dojrzeć do handlu galaktycznego, przekazać swoje dokonania i ustąpić, gdy jego rodzinna gwiazda znajdzie się w centrum galaktyki. Istniało wiele wariantów tego procesu, a czas rozwoju poszczególnych „gatunków” różnił się znacznie. Oczywiście, gatunek mógł przeżyć śmierć własnego systemu, kolonizując dalej położone układy gwiazdne, i wiele gatunków tak czyniło. Zwykle jednak ginął razem z rodzinnym systemem, pozostawiając następcom kontynuowanie procesu cywilizacyjnego.

Jednymi z takich „handlowców” była rasa No’ui. Byli to specjaliści w dokonywaniu „posiewu”, przeprowadzili go na ogromnej liczbie gatunków rokujących dobre nadzieje. Specjalizowali się w potężnych konstrukcjach. Żaden z ich „posiewów” nie zawiódł z wrodzonych przyczyn, ich analizy i technologia były trafne. W ten sposób byli tymi, którzy „posiali” kilka trudniejszych przypadków, rokujących duże nadzieje. Obecnie prowadzony projekt był trudny. Początkowa obserwacja ujawniła istnienie gatunku stałocięplnego, o czterech kończynach, nietelepatycznego, dwupłciowego, który był niezwykle agresywny. Ten lokalny gatunek (nastąpiła niewielka przerwa gdy program pozwolił Hauserowi wypełnić pustkę słowem „ludzie”, ponieważ imię stosowane przez No’ui nie miałoby dla niego żadnego sensu) rozprzestrzenił się błyskawicznie na całej planecie zwanej „Ziemią” i szybko tworzył coraz bardziej skomplikowane narzędzia. Oceniano, że ten gatunek w ciągu pięćdziesięciu tysięcy lat będzie prowadził podróże międzyplanetarne. Jednakże nadzieja, że uda się mu uzyskać status „handlowca” wynosiła na skali galaktycznej jeden do trzech, nawet gdyby dokonano „posiewu”.

Hauser gwizdnął. Jeden do trzech!

To znaczy, że według standardów No'ui gatunek ludzki ma dwukrotnie większe szansę ponieść porażkę niż odnieść sukces.

Ludzie dotarli tutaj i teraz Hauser dowiadywał się czym była, na czym polegała istota obcej konstrukcji. Były to dwa kroki z trzech, jak rozumiał.

Oto No'ui, mówił pokaz. Pojawił się obraz ogromnej mrówki, potwierdzając przypuszczenia Hausera. No'ui miały sześć kończyn, były stałocieplne, paratelepatyczne, dwupłciowe, co według wzorów galaktycznych czyniło z nich potencjalne klony ludzkiego gatunku. Uprzedzając pytanie, mówiący do umysłu narrator przerwał, by wyświetlić wizerunek bardziej odmiennych gatunków. Stwór wyglądał jak zionąca ogniem meduza o kleszczach homara. Ale to jego umysł podzielił go na dwie części. Zdawał się spoglądać na Hausera — żołądek Hausera wykonywał nerwowe skurcze, chwycił powietrze, serce waliło głośno zanim mniej więcej powróciło do regularnego rytmu. Jego mózg poczuł się, jakby był rozciągnięty na boki i zwinięty z powrotem. Pospieszenie potwierdził, że No'ui byli klonami bliższymi ludziom!

Widział teraz pracę wykonywaną obecnie na ogromnej konstrukcji. No'ui pewnie biegali po ścieżkach, ich stopy czepiały się mocno szorstkiej powierzchni, chodzili równie łatwo w pozycji wyprostowanej jak i po ścianach, czy nogami do góry. W gruncie rzeczy, potrzebowali tylko trzech lub czterech kończyn do chodzenia, dwie lub trzy używali do innych celów. Niektórzy przenosili różne przedmioty na przeznaczone im miejsca, inni używali skomplikowanych narzędzi wykonując niemożliwe do rozszyfrowania czynności. Nie był zaskoczony, że teren przypominał mrowisko, na ścieżkach, na których nie zdarzały się kolizje, trwał wzmożony ruch. Czy wszystkie były jednokierunkowe? Gdy spotykały się dwie istoty, jedna schodziła pod spód i podążała po ścieżce aż do momentu, gdy góra znów była wolna. Ponieważ były to istoty paratelepatyczne, ciągle prowadziły ze sobą wymianę informacji i nigdy nie były zaskoczone niespodziewanym spotkaniem. Nastąpiło zbliżenie na jedną z postaci No'ui. Był to — pauza by zastosować pasujące oznaczenie z umysłu odbiorcy — Q'ad, specjalista w rozbiórce konstrukcji, które nie były już potrzebne. Ich elementy mogły być użyte w nowych konstrukcjach. Q'ad używał urządzenia, które zamieniało w pył metal lub kamienie, następnie wsysało go i składowało. Q'ad był dobrze zbudowanym samcem. Był ekspertem w swojej dziedzinie, chociaż nie zajmował się nią od zbyt długiego czasu. Hauser teraz musiał to przemyśleć. Jasne było, że pokaz został mozolnie zmontowany, żeby nawiązać do pojęć, które rozumiał.

No'ui studiowali ludzi dwa miliony — nie, to musiało być mniej więcej przed pięćdziesięcioma tysiącami lat, ponieważ projekcja ukazywała nie małpoludy lecz współczesnego człowieka, który rozprzestrzenił się po całym globie i używał coraz bardziej wyrafinowanych narzędzi. Można było tylko domyśleć się wieku tego kompleksu, najwyraźniej nikt nie używał wymyślnych metod datowania wyników, jeśli

je miał.

W każdym razie, No'ui studiowali człowieka, znali jego naturę, i ustawili program, żeby do niego nawiązać. Lecz wiele ze szczegółów było zwykłą, mającą skazy adaptacją. Na przykład, włączone imię brzmiało Q'ad, nie było obce, mógł swobodnie się do niego odnieść, był to wariant jego nazwiska. Skąd w starożytności Obcy mogli wiedzieć, że mężczyzna o nazwisku Douglas Quaid Hauser przyjdzie, by odebrać ten przekaz?

Nie wiedzieli, lecz pozostawili telepatyczny (lub paratelepatyczny — nie był pewien co oznacza ta różnica, lecz po zobaczeniu nieklonowanego Obcego, nie wgłębiał się w problem) program komputerowy, który miał przeszkolić podmiot w najbardziej wyczerpujący sposób. Mówiło to wiele o technologii No'ui.

A oni byli tylko lokalnymi siewcami, w galaktyce pełnej „handlowców”! Po prostu typowym gatunkiem wykonującym robotę, przed wyruszeniem w następny system wymagający „posiewu”. Jak ludzie mogliby z nimi kiedykolwiek współzawodniczyć?

Zdaniem No'ui mogli, jeśli nabraliby odpowiednich kwalifikacji. Czy No'ui ciągle kręcili się w okolicy?

Quaid przypuszczał, że tak, gdzieś w galaktyce, prowadzili swoją długofalową działalność.

Hauser poczuł podniecenie i strach. Chciał spotkać się z No'ui!

Wiedział, że nigdy do tego nie dojdzie, gdyż oni mogli być w tej chwili o pięćdziesiąt tysięcy lat świetlnych stąd. Lecz to przesłanie było niemal równie dobre. Ponownie stłumił swoje myśli i pogrążył się w pokazie.

Q'ad nie pracował już jako zbieracz pyłu. Był z M'ła, jego obecną towarzyszką. Nieśli jajo do wylęgarni w mrowisku. Dostrzegli, że wspólnie mogą spłodzić udaną jednostkę, więc to zrobili. Teraz mieli sprawdzić, czy ich wysiłek się opłacił.

Jajo miało mniej więcej jedną czwartą masy M'ła, musiała zrezygnować z pracy wydając je, lecz zaakceptowano jej wymagania. Nowi, dobrzy pracownicy zawsze byli potrzebni. Obrócili się niosąc jajo. Jeśli larwa przejdzie przez wzorzec, będzie to dla nich obojga dostateczny dowód.

Wylęgarnia ukryta była głęboko pod konstrukcją, w najbardziej chronionym rejonie. Trudno było nieść jajo w dół po pionowej ścieżce.

Ich chwytne czułki nie utrzymywały jego ciężaru. Musieli używać wszystkich sześciu kończyn, żeby się utrzymać, przylepiając jajo na grzbiet jednego z nich. W końcu musieli iść jedno za drugim, podtrzymując je za oba końce. Q'ad szedł pierwszy, niosąc jajo przyklejone z tyłu odwłoku. M'ła szła za nim, drugi koniec mając przyklepiony do głowy między czułkami.

Gdy osiągnęli dno, oboje byli wyczerpani, lecz jajo było bezpieczne. Proces wykluwania już się zaczynał, pod wpływem poruszania i rosnącego ciśnienia atmosferycznego w głębi ziemi.

Przynieśli jajo królowej wylęgarni. Dotknęła go czułką, odczytując impuls z pobudzonego umysłu wewnątrz niego. Już czas, potwierdziła. Ponieważ nie byli gatunkiem w pełni telepatycznym, wymagano, by formułowali myśli dla dokonania projekcji, telepatyczne gatunki osiągały porozumienie bez takich problemów.

[Chcielibyśmy być świadkami] — pomyślał Q'ad.

Królowa zatrzymała się, by podnieść jajo.

[Jesteście świadomi, że szansa wyklucia w tym rejonie wynosi jeden do trzech?]

[Tak] — zgodzili się oboje.

Tutejsze promieniowanie powodowało wiele wypadków niekontrolowanej mutacji i dopóki nie ustawią atmosferycznej osłony, musieli żyć głęboko pod powierzchnią. A mimo tego ich jaja łatwo mogły ulec uszkodzeniu.

Q'ad rozmnażał się, już raz z L'ri, lecz jajo miało defekt i zostało zniszczone, jego części oddano na pożywienie. Ale z M'la rokowania były pomyślniejsze.

Hauser zrobił ponownie przerwę, przerywając pokaz swoimi myślami.

L'ri?

Jeszcze się to nie zdarzyło! Co oznaczało, że zmodyfikowano nawet to wspomnienie w tym doświadczeniu, by dostroić imiona i wydarzenia, które pasowały najlepiej w jego świadomości.

Nazwisko oryginalnego Hausera powinno brzmieć inaczej. Program Obcych pozostawał w jego umyśle, nadal pracując w specyficzny sposób. Technika wszczepu pamięciowego stosowana przez No'ui w zestawieniu z techniką używaną przez „Recall” przypominała porównanie trójwymiarowego hologramu z małym płaskim odbiornikiem telewizyjnym. Był przestraszony.

[Możecie więc być świadkami] — pomyślała królowa. – [Będziecie jedynie odbierać, wasze nadawanie zostanie odgrodzone]

[Rozumiemy]

Weszli do kabiny odbiorczej. Wiedzieli dlaczego ich nadawanie zostało odgrodzone, w przeciwnym razie mogliby próbować wpłynąć na odpowiedzi larwy.

Obserwowali ścianę kabiny, która przekazywała widok i myśli z wylęgarni. Jajo już się tam znajdowało. Było pobudzone, dzięki krążącym po wylęgarni sprzyjającym myślom. Wreszcie jajo pękło, a ze środka wypełzła larwa i wysuszyła się w jasnym świetle odtworzonej rodzinnej gwiazdy No'ui. Rodzinna gwiazda odległa była o sto tysięcy lat świetlnych i nikt z załogi tej misji nigdy jej nie widział, lecz przecież pozostała ich domem. Gdy zostanie ukończona ta misja, może za następne sto tysięcy lat, do rodzinnej gwiazdy powrócą ich dalecy potomkowie. Takie było ich marzenie!

Larwa była samcem, wyglądała dobrze, potwierdziła to holograficzna kontrola, nie było żadnych fizycznych mutacji.

Q'ad poczuł ulgę M'la, pierwsza przeszkoda została wzięta.

Lecz teraz nadszedł czas na egzamin i był to krytyczny moment. Tolerowano niewielkie defekty fizyczne takie jak na przykład dodatkowa para kończyn, lecz nie przyjęto by jakiegokolwiek defektu umysłowego.

[Larwo, jaka jest twoja natura?] — nadeszła myśl królowej.

Larwa okrążyła na próbę wylęgarnię, sprawdzając pracę swych sześciu kończyn. Odpowiedziała natychmiast, gdyż No'ui rodzili się z genetyczną pamięcią.

[Jestem samcem No'ui.]

[Jakie jest twoje przeznaczenie?]

[Służyć woli mego gatunku.]

[Czym jest transformacja planetarna?]

Larwa zamyśliła się, a Q'ad i M'la zeszywnieli. Czy udał się transfer wiedzy technicznej?

[Jest to adaptacja wrogiej planety do fazy kompatybilnej] –
odpowiedziała larwa.

Znów Q'ad i M'la odetchnęli z ulgą.

[Mając wystarczającej jakości kwas azotowodorowy i wodę, jakbyś stworzył atmosferę złożoną mniej więcej z trzech czwartych azotu i jednej czwartej tlenu?]

Larwa znów się zamyśliła. Była to nie tylko informacja techniczna, było to ćwiczenie w pilności i przykładaniu się do pracy. Jeśli larwa zrozumie je dobrze, zda egzamin umysłowy.

[Czy pytanie dozwolone?]

[Dozwolone.]

[Czy istnieją możliwości reakcji nuklearnej? Fuzji nuklearnej?]

Rozumiał to.

[Istnieją.]

[Zainicjowałbym kontrolowaną reakcję fuzji, by uzyskać moc] — larwa myślała ostrożnie — [Użyłbym tej mocy by rozdzielić kwas azotowodorowy na składniki — jedną część wodoru i trzy części azotu. Rozdzieliłbym również wodę na jej składniki — dwie części wodoru i jedną część tlenu. Dałoby mi to trzy części wodoru, trzy części azotu i jedną część tlenu. Scalilibym, połączyłbym wodór w hel prowadząc fuzję jądrową, pozostawiając w pożądanej dawce azot i tlen. Odłożyłbym na zapas do przyszłego użytku nadwyżkę helu wstanie stałym, wstanie sprężonym.]

Q'ad i M'la wykonali mały taniec radości! Zrozumiał!

Oczywiście było to ogromne uproszczenie, lecz czego można oczekiwać od larwy nie mającej doświadczenia z Wszechświatem? Nauczy się wszystkiego, co będzie potrzebne. Dwie części testu zostały ukończone. Lecz trzecia często okazywała się zabójcza. Znów zamarli w napięciu.

[Wyjaśnij pojęcie. (SYMBOL)]

Larwa zamyśliła się, Q'ad i M'la zeszywnieli.

Czułka larwy zadrżała. Potem jej ciało odprężyło się.

[Nie jestem w stanie.]

[Dlaczego?]

[To pojęcie jest obce mojej naturze.]

Czułka Q'ada zetknęła się z czułką M'la w wyrazie uniesienia. Ich larwa zdała egzamin!

Wyszli z kabiny wylęgarni. Nie będą mieli dalszych kontaktów ze swoją larwą, chyba że później zostanie ona przydzielona do tego samego zadania, co jedno z nich. Ich zadanie zostało spełnione. wyprodukowali prawdziwą jednostkę No'ui.

Lecz ten epizod przypominał Q'adowi o nieznanym pojęciu. Co ono znaczyło?

Borykał się już z nim wcześniej, lecz jego znaczenie pozostawało poza zasięgiem jego czułek. Wydawało się sugerować, że coś nie było precyzyjnie przedstawione, chociaż wskazywało na istotę sprawy. Nie można było tego zrozumieć. Rzecz była, albo jej nie było, nie można było się do niej zbliżyć w innym niż czysto fizycznym sensie, jak w przypadku oszacowania, zamiast bezpośredniego liczenia.

Okazało się, że werbalny język gatunku ludzkiego wykorzystał to pojęcie, i że ludzie rozumieli je. Oczywiście, byli prymitywnymi istotami, być może wyeliminują takie pozbawione znaczenia terminy ze swojego słownika, gdy dojrzeją. Ale ciągle kłopotowało go to, że prymitywny gatunek mógł zrozumieć pojęcie, którego nie rozumiał nikt z No'ui.

Q'ad i M'la mogli teraz powrócić do swoich zajęć. Lecz w odpowiednim czasie znów spłodzą jajo, gdyż ich połączenie przyniosło sukces. Każde z nich, dało dowody ich wspólnego wysiłku, produkując larwę zdolną do życia w tym wrogim środowisku.

Q'ad dowiedział się, że wyznaczono go obecnie do pracy na powierzchni. Zbliżał się czas próbnej transformacji i należało dokonać wielu zmian w krajobrazie. M'la będzie pracować z genetycznie zmodyfikowanymi roślinami, które będą w stanie zapuścić korzenie w piaskach tej surowej planety. Oboje musieli założyć skafandry kosmiczne, gdyż do czasu zakończenia projektu atmosfera nie będzie nadawała się do życia. W rzeczywistości, będą musieli używać skafandrów nawet po stworzeniu atmosfery, gdyż oczywiście nie mogli oddychać mieszkanką przeznaczoną dla ludzi.

Pokaz pozostawił Q'ada i M'la i przeniósł się na powierzchnię planety na której trwała transformacja. Stwarzano atmosferę w sposób opisany przez larwę. Bogatą w tlen, odpowiednią dla ludzi. Płynęła woda i kiełkowały specjalne rośliny. Elementy reaktora ustawiono na całej planecie. Używano ich do odprowadzenia ciepła podnosząc w tym samym czasie temperaturę do niezbędnego poziomu. W zagłębieniach gruntu zaczęła zbierać się woda.

Próba zakończyła się sukcesem, ludzie będą mogli żyć na powierzchni planety, jeśli

uruchomią przygotowaną aparaturę. No'ui ukryli ją i przywrócili planecie poprzedni wygląd, z kilkoma małymi wyjątkami, gdyż płynąca woda zostawiała swoje ślady. Rośliny zostały usunięte, nasiona zgromadzone tam, skąd później zostaną rozsiane. Będzie to prostą czynnością, konstrukcja miała ożyć, po wykonaniu pewnych czynności, z którymi dokładnie zapoznano Hausera.

Lecz skąd No'ui wiedzieli, że ludzie będą odpowiednimi „handlowcami”? zdziwił się Hauser. Przypuśćmy, że zrobiliby niewłaściwy użytek z przekazanej im aparatury?

W odpowiedzi, zobaczył obraz Marsa z jasno oświetloną Górą Piramidy. Miejsce w którym budowano reaktor jądrowy, i gdzie teraz (w pamięci) stał otrzymując ten przekaz. Były trzy możliwości. Można było użyć reaktora zgodnie z założeniami, dokonałby wtedy transformacji planety tak, żeby mogli żyć na niej ludzie. Ujawniłby również swoje sekrety technologiczne ludzkim naukowcom, pozwalając im przenieść własny gatunek w przestrzeń galaktyki, dzięki czemu staliby się w pełni zdadni do „handlu”.

Reaktor mógłby zostać zignorowany, a wtedy gatunek ludzki własnymi siłami zaszedłby tak daleko, jakby potrafił.

Reaktor, w końcu mógł zostać tak użyty, że doprowadziłoby to do kompletnego zniszczenia planety. W tym miejscu pojawił się obraz symbolizujący „nową”.

Teraz przekaz został skierowany bezpośrednio do niego.

[Idź, powiedz swojemu gatunkowi, D'gls Q'ad H'sr. Spraw, żeby zrozumiał, że wybór zależy od niego. My No'u i oddajemy sprawę w twoje ręce.]

Pokaz się skończył. Hauser stał w kabinie, która znów była tylko kabiną.

Obcy odeszli.

Pozostał w niej przez pewien czas, wystraszony. Wiadomość zawierała informacje, dla zrozumienia których potrzebne mu będą godziny, tygodnie lub lata.

Teraz jednak, wiedział, po co zbudowano tę konstrukcję i jak ją uruchomić. To wystarczy.

Wiedział również, że lojalność jaka go obowiązywała w przeszłości, została zastąpiona przez lojalność wobec No'ui.

Był teraz ich emisariuszem.

ROZDZIAŁ 22

Zdrada

Teraz, jako Quaid, rozumiał wiele, chociaż ciągle jeszcze nie wszystko. Wiedział, że wszystkim zagraża niebezpieczeństwo, ogromne niebezpieczeństwo, lecz nie wiedział na czym polega jego istota. Czy ludzie Cohaagena schwytali go w kompleksie Obcych? Jeśli tak, to co im powiedział?

Jego umysł był otwarty na No'ui, lecz nie na jego własne życie, które zostało wymazane przez wszczep pamięciowy, który odciął jego dawną tożsamość i uczynił z niego Douglasa Quaida. Był jednak pewien, że nie powiedział Cohaagenowi o prawdziwej naturze kompleksu Obcych. Cohaagen nie był właściwą osobą, raczej zrobiłby z niego niewłaściwy użytek, niż zgodny z przeznaczeniem. Może Cohaagen kazał dokonać wszczepu żeby zmusić go do mówienia. W każdym razie wiedza przekazana przez Obcych była dobrze zabezpieczona przed wścibstwem Cohaagena. Lecz komu miał o niej powiedzieć?

U podnóża kompleksu dostrzegł obszar lodu, na pewno przeszedł do innej sekcji. Lód przebijały setki okrągłych szybów. Spojrzał w górę i zobaczył, że dokładnie nad dziurą niczym zatyczka, zawieszona była kolumna.

Zatyczka. Zatyczka, którą może opuścić do dziury, gdzie aktywizując system da początek ogromnemu łańcuchowi wydarzeń, które zwykłym trybem...

Kuato odbierał tylko fragmenty z przesłania No'ui, reszta przeznaczona była wyłącznie dla Quaida. No'ui wiedzieli, jak mają chronić się przed telepatami, nawet w pamięci przesłania, odtwarzanego pięćdziesiąt tysięcy lat po nagraniu!

Potrąfili więc uchronić to przesłanie przed Cohaagenem. Lecz teraz włączył się Kuato.

— To jest reaktor jądrowy — wykrzyknął — do stworzenia atmosfery!

Kuato skupił się na umyśle Quaida.

— Pomyśl, Quaid, jak to działa?

Quaid powrócił do przekazu pamięci. Unosił się w Kosmosie, nie potrzebując

wsparcia, ponieważ badał myślami model, który został złożony w jego głowie. Był to wyrazisty wszczep No'ui, zapewniający obecność Obcych w jego umyśle. Minął prowizoryczne rusztowanie umocowane na ścianie przepaści. Dotarł do krawędzi szybu. Była tam droga, która jak wiedział, prowadziła do centrum kontroli. Wpłynął do środka.

W środku znajdowała się elektroniczna konsola otoczona ogromnym zestawem mechanicznych systemów — były to górne części skorodowanych kolumn. W tym przypadku korozja nie miała najmniejszego znaczenia, gdyby była szkodliwa No'ui zastosowałoby zabezpieczenie. Najważniejsze elementy urządzenia były dobrze chronione. Minął jakąś ściankę.

Wiedział jak uruchomić aparaturę. Podstawowe pytanie brzmiało, czy Kuato był tą osobą, której należało o tym powiedzieć. Miał wątpliwości ale nie dlatego, że Kuato byłby niewłaściwą osobą — nie o to chodziło — lecz dlatego, że sytuacja była niejasna. Coś tu nie pasowało i dopóki nie dowie się co, to, będzie udzielał wymijających odpowiedzi.

— Tam! — krzyknął Kuato. — Cofnij się... Bardziej... Tam.

Zobaczył wykutą w kamieniu abstrakcyjną mandalę, konfigurację geometrycznych modeli, które mogły przedstawiać Kosmos. Pokryta była tajemniczymi hieroglifami, które na pewno nie zostały stworzone ręką Sumerów czy Egipcjan. Reprezentowały No'ui i Quaid nagle zrozumiał jej znaczenie, lecz nie zamierzał objaśniać tego nikomu. Sytuacja była nadal niekorzystna — to nie Kuato, lecz...

— Podejdź bliżej — powiedział zaciekawiony Kuato. Potrafił odczytać mandalę, widział figury, lecz nie wiedział, co oznaczają. W centrum mandali znajdował się dobrze znany wizerunek ludzkiej dłoni. Kuato widział dłoń, ale nie rozumiał jej znaczenia.

— Jak włączysz reaktor? — zapytał. — Skoncentruj się!

Quaid skoncentrował wzrok na dłoni, zbliżając się do niej, jakby coś go przyciągało. Och tak, wiedział...

Nagle dłoń zaczęła drżeć. Stłumiony grzmot wypełnił salę. Oczy Quaida otworzyły się nagle, grzmot nie ustawał. To już nie była wizja! Piach i żwir spadały z sufitu. Cienkie jak włos pęknięcia rozbiegły się po ścianach, przechodząc w coraz szersze szczeliny. Przez rozkruszone ściany przedostał się do sali górniczy kret.

Quaid zeskoczył z krzesła, a George poszedł w jego ślady, dopinając w biegu koszulę. Jeden z powstańców otworzył drzwi i wpadli do sąsiedniej groty, Panował w niej całkowity chaos.

Kolejny kret przewiercił się do katakumb mieląc zmumifikowane ciała. Pięćdziesięciu żołnierzy skosiło mających przewagę liczebną, lecz dezorientowanych powstańców. Kret przebił się przez kolejną ścianę pokrytą niszami, obojętny na popełniane świętokradztwo. Żołnierze wbiegli za siejącą spustoszenie maszyną do groty. Kilku powstańców próbowało walczyć, lecz zaskoczeni i nieprzygotowani nie mieli szans. Dla

oddziałów Cohaagena była to prosta, oczyszczająca operacja.

— Gdzie jest Kuato? — zawołał powstaniec przy drzwiach.

Nagła eksplozja targnęła pomieszczeniem rzucając wszystkich na ziemię. Quaid pomógł wstać George'owi i pochylił się, żeby podać rękę powstańcowi, ale mężczyzna był już martwy.

Melina i Benny dostali się do Quaida. Ze zdumieniem patrzyli na wystającą spod zakrwawionej, porwanej koszuli George'a zasuszoną głowę Kuato. Nie było czasu na wyjaśnienia.

— Tędy! — zawołał George.

Poprowadził ich przez zamaskowane drzwi do tunelu. Żołnierze próbowali zagrozić im drogę, lecz Melina skosiła ich. Benny i Quaid chwycili broń zabitych żołnierzy i pobiegli przez szereg grot, aż wreszcie dotarli do komory powietrznej. Quaid osłaniał tyły, gdy Melina, George i Benny precyzyjnie przeszli przez drzwi. Gdy je zamykał i ryglował przesunięciem dźwigni usłyszał strzał, który padł wewnątrz komory powietrznej!

Quaid obrócił się, by dojrzeć Benny'ego faszeringującego kulami ciało George'a. Wśród nich był zdrajca!

Kuato rozpoznałby go, gdyby zjrzał do umysłu Benny'ego. Lecz obserwował Quaida i nie dostrzegł tego, co miał pod nosem.

Benny użył Quaida jako tarczy, by zbliżyć się do Kuato. Zanim Quaid zdążył zareagować, Benny chwycił Melinę i przystawił pistolet do jej głowy.

— Nie ruszaj się! — wrzasnął.

Quaid zamarł, a Benny odezwał się drwiąco.

— Moje gratulacje, poprowadziliście nas prosto do celu.

Quaid zignorował kpiny i ukląkł by obejrzeć ciało George'a, próbując odnaleźć ostatnią iskrę życia. Gdyby Kuato mógł uderzyć w umysł Benny'ego, wstrzymać go wystarczająco długo, aby Quaid...

— Daj spokój, brachu — powiedział Benny. — Dni wróżki minęły.

Głowa Kuato była martwa. Głowa George'a zwisała bez sił. Ciało wydawało się martwe.

Melina spojrzała na Benny'ego, zdumiona i wstrząśnięta.

— Benny przecież jesteś mutantem!

Mężczyzna wykrzywił usta. Pokazał migający punkt ukryty w sztucznej ręce.

— Opłaca się być w kontakcie. Wasi chłopcy nigdy mnie nie przeszukali. Do diabła, Kuato niczego nie skapował. Mógł posiadać tajemniczą moc, jak mówią plotki, lecz nie był bystry i ta organizacja nie była bystra. Idę o zakład, że nikt nie przedostałby się do kryjówki Cohaagena.

Quaid musiał się z tym zgodzić. Sam zauważył niedbałość powstańców. Zbyt poлегali na mocy Kuato i pozwolili, żeby coś oczywistego i idiotycznego mogło się stać.

Nie byli zawodowcami.

Ale Benny był. Jego oczy zabłysły okrucieństwem, gdy dodał.

— Przepraszam Mel. Jednak muszę wykarmić piątkę dzieci.

— Piątkę? — Co się stało z szóstym? — spytał Quaid.

Benny wyszczerzył zęby.

— Gównu, stary. Nie jestem nawet żonaty.

Nagle jego głos zabrzmiał rozkazująco.

— Ręce na głowę!

Jak krótka była droga od godności Obcych do ludzkiej podłości!

Chyba No'ui słusznie wątpili w ewentualny sukces ludzkości. Skoro rządili nimi Coahaagenowie, nawet najwspanialsze dary Obcych nie były nic warte. Gdy Quaid wypełnił jego rozkaz, Benny pociągnął Melinę i kopniakiem otworzył rygiel przy drzwiach. Quaid zamarł w oczekiwaniu, gotów wykorzystać każdy błąd Benny'ego, lecz ten człowiek miał się na baczności. Tylko poświęcając Melinę mógł go dopaść — a Benny wiedział, że Quaid tego nie zrobi. Stał spokojny, gdy Quaid uświadomił sobie swoją miłość do Meliny.

W tej samej chwili Quaid usłyszał stłumiony dźwięk dochodzący z głowy Kuato.

Pochylił się, żeby zrozumieć ledwo słyszalny szept.

— Quaid...

— Cofnij się, Quaid! — warknął Benny.

Kuato starał się mówić dalej.

— Włącz reaktor... Uwolnij Marsa.

Quaid odskoczył w tył, gdy kula rozbiła głowę Kuato. Usłyszał cichy okrzyk Meliny. Podniósł wzrok — nad nim stał Richter, trzymając w ręku automatyczny karabin.

— Rusz się — powiedział Richter. — Proszę.

Oczy Quaida pałały nienawiścią.

Był bezradny. Zdrada Benny'ego starła ruch oporu i jego nadzieje. Quaid i Melina zostali brutalnie skuci i rzućeni do kreta.

— Przykro mi — powiedział, przekrzykując ryk silnika. — Gdyby nie ja, Benny nie dotarłby do Kuato.

— Ja cię sprowadziłam! — odparła Melina. — Myślałam... bałam się...

— ... że to ja jestem zdrajcą — dokończył za nią. — Wiem. Nie pamiętam zbyt wiele kim byliśmy dla siebie, ale dla mnie był to prawdopodobnie tylko interes. Gdy spadłem do szybu zrozumiałem, że cię kocham. To dlatego powracały wspomnienia. Po raz ostatni wtedy cię widziałem. Myślę, że Coahaagen nie wiedział o tym, lub sądził, że wszczepi wymaże to z mojej pamięci. Wymazał wszystkie wspomnienia, ale nie moją miłość.

— Nie mogłabym cię zapomnieć — powiedziała. — Nie wiedziałam, czy mogę ci ufać, ale w pewien sposób...

— Myślę, że byliśmy sobie przeznaczeni, chociaż to brzmi staromodnie. Ale wiesz, na dole znalazłem więcej, zanim oni mnie... „złapali”. Nie pamiętam tego, lecz pamiętam przesłanie Obcych.

— Kogo?

— No’ui. Obcy, gatunek „handlarzy”. Zmontowali tę aparaturę dla nas, byśmy mogli jej użyć, jeśli dojrzejemy, jeśli zdamy egzamin. Ale chyba go oblejemy. Lecz... — przerwał, przypominając sobie coś jeszcze.

— Słyszałaś kiedyś o kwasie azotowodorowym?

Skoncentrowała się. Rzucano nimi po wybojach.

— To bezbarwna, trująca, wybuchowa ciecz. Kiedyś trochę powąchałam. Wstrętne!

— Do czego byłby potrzebny na skalę planetarną? Tysiące ton tego kwasu?

— Chyba do helu. Dlaczego pytasz?

— Obcy... zamierzali użyć go do stworzenia powietrza. To znaczy, z wodą. Chcieli stopić lód i połączyć... nie wiem, nie jestem chemikiem. Czy to ma jakiś sens?

— Też nie jestem chemikiem, ale chyba to miało sens tylko dla Obcych!

— Ale czy przy zastosowaniu zaawansowanej technologii Obcych byłoby to możliwe? Rozłożenie na składniki kwasu azotowodorowego i wody, i połączenie ich w powietrze, i użycie do uruchomienia tego procesu reaktora jądrowego?

Pokręciła głową.

— Musiałabym spytać kogoś, kto się na tym zna! Ale wydaje mi się to szalone.

Westchnął. Może to było szalone. Ale tkwiło także w jego umyśle. Miał nadzieję, że Obcy wiedzieli, co robią.

Kret podążał swoją drogą, wioząc ich do Coahaagena.

Quaid nie oczekiwał radosnego spotkania.

ROZDZIAŁ 23

Pogorszenie

Następnego ranka, nadal skuci, w kiepskim nastroju, lecz nie zmaltrretowani (ku zaskoczeniu Quaida), zostali zaciągnięci do luksusowego biura Cohaagena. Przypuszczał, że Richter będzie się nad nim znęcał, nawet jeśli nie pozwolą mu go zabić i że Melina stanie się zabawką dla zbirów, piękna i bezradna (bo skuta) kobieta. Ale dano im jeść, mogli skorzystać z urządzeń sanitarnych, i zostawiono samych (pod czujnym okiem kamery) na noc. Nie rozmawiali ze sobą, wiedząc, że każde słowo może zostać użyte jako dowód przeciwko powstańcom. Było więc im niewygodnie, lecz nie całkiem źle.

Teraz wiedział, że będzie źle. Zostali ocaleni, żeby Cohaagen mógł osobiście ich przesłuchać, a Quaid wiedział, że ten człowiek zrobi wszystko, co uzna za potrzebne, by osiągnąć cel. Richter był brutalnym zbirem, lecz zbyt pozbawionym wyobraźni, żeby wyrządzić poważne szkody. W przeciwieństwie do niego, Cohaagen był inteligentnym kryminalistą, nie tak brutalnym, lecz dziesięciokrotnie niebezpieczniejszym.

Idź, powiedz swojemu gatunkowi...

Powiedzieć Cohaagenowi? Nie podobna! Tego człowieka nie interesował własny gatunek, nie mówiąc już o interesach galaktyki. Chciał tylko tego, co było dobre dla Kolonii Marsjańskiej w jego mniemaniu. Mówiąc krótko dla utrzymania władzy Vilosa Cohaagena. Wiedza No'ui przedstawiała potęgę większą niż potęga człowieka, nie mogła wpaść w ręce tego drobnego dyktatora.

Quaid wiedział, że nawet podczas najokropniejszych tortur nie ujawni tej informacji. Cohaagen nic nie wiedział o centrum transmisyjnym Obcych, ukryte było w płątaninie skręconych ścieżek, tak aby tylko bardzo ciekawa i uparta osoba mogła do niego dotrzeć.

Hauserowi ruch oporu zlecił rozwiązanie zagadki aparatury Obcych, miał więc odpowiednie motywacje, w innym przypadku nie byłby taki uparty. Gdy zrozumiał, że kocha Melinę, zrobił to dla niej, żeby mu zaufała i pokochała.

Nie, nie ujawni tutaj przesłania No'ui!

Spraw, aby zrozumiał, że wybór zależy od niego. Ludzie powinni albo zignorować aparaturę, jak było to dotychczas, lub odwołać się do niej i użyć zgodnie z intencjami No'ui. Jeśli spróbują zrobić z niej niewłaściwy użytek, zostanie zniszczona. Właśnie to oznaczał symbol „nowej”.

Eksplozja „nowej” zniszczyłaby wszystko wokół. Kompleks urządzeń zbudowany przez Obcych wyleciałby w powietrze, być może dzięki uwolnieniu kwasu azotowodorowego zmagazynowanego w podziemnych lodowcach, niszcząc siebie i miejscową kolonię ludzką. Taki był wybór. Skorzysta lub straci.

Cohaagen udawałby tylko, że używa aparatury zgodnie z przeznaczeniem, zamiast tego umiejętnie wykorzystałby ją dla zagwarantowania sobie pozycji dyktatora.

Obcy, nie znający dwulicowości, nie liczyli się z takim rozwojem wydarzeń. W ich ujęciu, rzeczy były, lub ich nie było, Nie mogli nawet uchwycić relatywnie prostego pojęcia „symbolu”. Byli stworami o praktycznych umysłach, wykluwali się z wiedzą zakodowaną genetycznie, będącą ich zbiorem wartości.

„Oddajemy tę sprawę w twoje ręce.”

To było istotą wniosku. Przekazali swoje przesłanie jednej osobie — tej, która dotarła do ich centrum transmisyjnego — ufając, że postąpi właściwie. Uczynili z niego swojego emisariusza, a on zamierzał dowieść okazanego mu zaufania. Chciał, żeby ludzie stali się „handlowcami”, jednym z najważniejszych gatunków w galaktyce. Ukryje więc tajemnicę przed Cohaagenem, pozwalając na zniszczenie kompleksu Obcych, ale nie na jego zbeszczeszczenie. Gotów był oddać życie swoje i Meliny dla tego celu. Wiedział, że ona go poprze. Nic jej nie powiedział, więc nie będzie mogła ujawnić żadnej tajemnicy.

Melina!

Przypuśćmy, że Cohaagen będzie ją torturował w obecności Quaida?

Z pewnością tak zrobi, jeśli będzie myślał, że przyniesie to korzyść. Czy potrafi się temu oprzeć?

Była tylko jedna odpowiedź. Będzie musiał.

Może dopisze im szczęście i Cohaagen nie dowie się, co Quaid odkrył. Prawdopodobnie nie wiedział o tym wcześniej, kiedy rozkazał wykonać wszczep do pamięci i wysłać go na Ziemię. Benny nic z tego nie zrozumiał, w przeciwnym razie oszczędziłby Kuato. Sądził, że w tajemnicy utrzymywano jedynie fakt, iż aparatura Obcych mogła stworzyć atmosferę. A to było przecież najmniej ważne,

Rozmyślenia Quaida przerwało wejście do biura kilku mężczyzn, którzy wnieśli ciało. Rzucili je na stół konferencyjny. Z klatki piersiowej George'a nadal wyrastała zasuszona głowa Kuato.

Cohaagen spojrział na nią.

— A więc to jest ten wielki człowiek!

Richter i Benny, pilnujący Quaida i Meliny, zachichotali. Byli zadowoleni ze swego

dzieła. Ujawnili tajemnicę przywódcy Frontu Wyzwolenia Marsa i zniszczyli go wraz z organizacją.

Quaid zobaczył, że Melina skrzywiła się z bólu. Nadal obwiniała siebie za kolosalny błąd, jakim było wprowadzenie Benny'ego do wewnętrznego sanktuarium. Skąd mogła wiedzieć?

Benny był po jej stronie, pomógł jej sprawie, pomógł im uciec. Benny był zawodowcem, to wyjaśniało wszystko. Lepiej byłoby gdyby obwiniała Quaida lub jego drugą osobowość — Hausera, za to, że od razu nie rozpoznał zawodowego agenta.

Cohaagen uważnie obejrzał głowę Kuato. Skrzywił się z obrzydzenia.

— Nic dziwnego, że się nie pokazywał.

Odwracając się gestem dał znak zbirom, aby podnieśli ciało i wynieśli je z biura. Inny bandyta wytarł stół.

Cohaagen miał wymagania jeśli chodzi o czystość, nie chciał, żeby na stole pozostały obrzydliwe smugi krwi.

Cohaagen podszedł do siedzącego Quaida i poklepał go po ramieniu.

— No, moje gratulacje, Quaid — powiedział jowialnie. — Jesteś bohaterem.

Odpowiedź Quaida była dosadna.

— Pierdol się.

Dziwne, ale Cohaagen się nie zirytował. Był zadowolony.

— Nie bądź taki skromny — powiedział. — Kuato nie żyje, ruch oporu został zlikwidowany, a ty byłeś kluczem do całej tej sprawy.

Quaid zobaczył, że Melina spogląda na niego nie wiedząc, co o tym sądzić. Nigdy, nawet obecnie, nie była pewna jego lojalności wobec ruchu oporu, była pewna tylko swojej miłości do niego.

— On kłamie — powiedział Quaid.

Oboje mogli za chwilę umrzeć, ale chciał żeby mu uwierzyła.

Cohaagen odezwał się do Meliny.

— Nie wiń go, kochanie. Nie miał o niczym pojęcia. — uśmiechnął się. — I o to właśnie chodziło.

Melinę ogarnęło zdumienie, Quaida również.

O czym ten człowiek mówił?

— Widzisz, Quaid, Kuato miał niesamowity talent do wykrywania naszych szpiegów — ciągnął Cohaagen. — Nie wiedzieliśmy, że był telepatą. Żaden z naszych ludzi nie mógł się do niego zbliżyć. Więc razem z Hauserem wymyśliliśmy cię — „kreta” doskonałego.

— Kłamiesz — odparł Quaid. — Hauser obrócił się przeciw tobie.

— Chcieliśmy, żebyś tak właśnie myślał. W rzeczywistości Hauser zgodził się dobrowolnie na wymaz i ponowne zaprogramowanie. Było to po pierwszej nieudanej

próbie dotarcia do Kuato. Ta sprytna dziwka...

Cohaagen skinął w kierunku Meliny, która odpowiedziała gestem, prawie mu pluła w twarz.

— Nigdy nie zawiodła go do katakumb. Poprowadziła go prosto do Piramidy, nie mówiąc ani słowa o wejściu. Po prostu była to pusta jaskinia, której nigdy nie używali. Gdy zleciał do szybu, nie uciekła do Kuato, ale wróciła do kopuły i swojej kryjówki. Wszystko zostało zmarnowane, po prostu nie ufali Hauserowi. Przynajmniej nie w wystarczającym stopniu. Musieliśmy znaleźć sposób, żeby zdobyć ich pełne zaufanie.

— Nie rozumiem o czym mówisz — powiedział oburzony Quaid.

Obrócił się do Richtera na ile pozwalały mu więzy

— Od kiedy poszedłem do „Recallu” próbował mnie zabić. Harry też, i jeszcze Lori. Nie zabija się kogoś, kto ma być kapusiem.

— Richter nie był o niczym poinformowany — powiedział Coahaagen. — Inni byli pod jego rozkazami.

— To dlaczego jeszcze żyję?

Cohaagen uśmiechnął się z pewną dumą.

— Nie dorównuje ci klasą. A poza tym dostałeś od nas pomoc. Benny...

Benny zasalutował Quaidowi.

— Cała przyjemność po mojej stronie, stary.

— Facet, który dał ci torbę — ciągnął Coahaagen. — Małą torbę z akcesoriami, która pojawiła się w tak potrzebnym momencie.

Quaid nie wierzył w to ani przez chwilę.

— Nie kupuję. Zbyt doskonałe.

— Pewnie, jak cholera! Rozerwałeś blokadę pamięci zanim mogliśmy cię zaktywizować. Stevens ginie po spotkaniu z tobą w hotelu. Tymczasem Richter pieprzy wszystko, co planowałem miesiącami — spojrzał na Richtera, który spuścił wzrok. — Jestem zdumiony, że się w końcu udało.

Quaid pokiwał głową, zniechęcony. Słowa Coahaagena miały sens. Przypuśćmy, że Hauser był jego agentem. Kiedy Melina nie zaprowadziła go do Kuato, na przekór bardziej niż przyjacielskim stosunkom jakie ich łączyły, musiał znaleźć sposób, żeby się z tego wypisać. Pozwolił sobie na fortel, sfingował upadek i zaczął aż ludzie Coahaagena „schwycać” go. We śnie widział ostatni epizod jaki się wydarzył, zanim wszczep zmienił jego życie.

Ale zdarzyły się dwie rzeczy z którymi się nie liczył. Zrozumiał, że naprawdę kochał Melinę — to co miało być udawane, stało się prawdziwe — i odkrył przesłanie No’ui.

To zmieniło wszystko!

Ale dlaczego potem zgodził się dobrowolnie na udział w bardziej wyrafinowanej misji, która była połączona z wielkim ryzykiem (nawet jeśli Richter nie stawałby mu na

drodze), tylko po to, by zdradzić kobietę, którą kochał i No'ui, którzy nawrócili go na lepszą sprawę?

To nie miało sensu! Więc Coahaagen musiał nadal kłamać. Czy to kolejny tani chwyt, żeby wydobyć z niego coś, co mogło być korzystne dla programu Coahaagena? A może Coahaagen podejrzewał, że Quaid wiedział więcej o aparaturze Obcych niż ujawnił, więc zrobiono to, by wydobyć tę informację? Nie uda im się!

— Muszę uznać twoją przewagę Coahaagen — powiedział, jakby się poddawał. — Doskonale popieprzyłeś mi w mózgu.

— Nie musisz wierzyć mi na słowo, Quaid. Jest tu twój przyjaciel, który chce z tobą pogadać.

— Nie mów kto — powiedział Quaid. — Pozwól, że zgadnę. Coahaagen włączył telewizor. Zgodnie z przypuszczeniem pojawił się na nim Hauser, w tym samym ubraniu i pozycji jak na poprzednim dysku.

— Cześć, Quaid — powiedział Hauser. — Jeśli słuchasz tego, to znaczy, że Kuato nie żyje, a ty zaprowadziłeś nas do niego. Wiedziałem, że mnie nie zawiedziesz.

Zaśmiał się, i był w tym ślad okrucieństwa, tak obcego obecnej naturze Quaida.

— Przepraszam za to całe gówno, przez które musiałeś przejść, koleś, ale jesteś tylko programem.

Ostatnie mury obronne Quaida runęły. To była prawda. Hauser zgłosił się dobrowolnie! Ale dlaczego? Dlaczego miałby zdradzić Melinę i...?

— Chciałbym życzyć ci szczęścia i długiego życia, koleś, ale na szczęście to się nie zdarzy, — mówił Hauser z ekranu.

— Widzisz, jesteś w moim ciele, i no... — postać wzruszyła ramionami, prawie przepaszając — chcę je odzyskać.

Quaida przeszedł dreszcz. Jeśli jego obecna tożsamość została stworzona, to można ją było zniszczyć. Ten nikczemnik Hauser znów nim zawładnie!

— Przykro mi, że cię wykorzystałem — powiedział Hauser. — Lecz co moje, to moje i byłem tu pierwszy. Więc żegnaj amigo i dzięki, że się nie zabiłeś.

Uśmiechnął się jak zwycięzca, łaskawy dla pobitego wroga.

— Kto wie? Może spotkamy się w naszych snach.

Wiadomość na dysku dobiegła końca.

Zszokowany Quaid spojrział na Melinę. Była nie mniej przerażona od niego, uświadamiając sobie, że zostali zdradzeni.

Jednak ciągle dręczyło go jedno pytanie. co się stało z miłością Hausera do Meliny? Dlaczego miałby jej to zrobić. I to przesłanie No'ui...

I wtedy powiązał fakty.

Hauser nie powiedział Coahaagenowi o No'ui — ale jak tego uniknął pracując dla niego, wiedząc, że Coahaagen prawdopodobnie schwyta Melinę i będzie ją torturował,

żeby dowiedzieć się, gdzie jest Kuato?

Hauser musiał znaleźć sposób, żeby ocalić Melinę i ukryć tajemnicę Obcych, dopóki nie znajdzie odpowiednich ludzi, którym będzie mógł ją powierzyć. Wymyślił więc sposób, żeby osiągnąć jedno i drugie. Zgłosił się dobrowolnie do misji, która nie tylko wymagałaby aby Melinę zostawiono w spokoju, ale także stłumiłaby wiadomości od Obcych. Nakarmił Cohaagena bajeczką, która spowodowała, że Administrator zadbał o ukrycie informacji, jakich sam pragnąłby najbardziej! Hauser miał nadzieję, że Quaid przypomni sobie o No'ui zanim zaprowadzi Cohaagena do Kuato. I prawie sobie przypomniał. Prawie.

Teraz, przywracając wszystkie wspomnienia Hausera, odkrywają jego tajemnicę. Można było dokonać wszczepu do pamięci bez odczytywania wcześniejszych wspomnień, były po prostu stłumione. Przypominało to mniej więcej nagrywanie wiadomości na stary dysk wideo, nikogo nie obchodziło, co było zapisane wcześniej. Lecz dla przywrócenia starego zapisu — będą musieli sprawdzić go w każdym punkcie, by upewnić się, czy wszystko jest w porządku. Nie ukryją się przed nimi żadne sekrety!

Cohaagen po zniszczeniu ruchu oporu osiągnie o wiele więcej niż kiedykolwiek marzył. Ponieważ desperacki fortel Hausera się nie powiódł. Cholera!

Najgorsze było to, że Melina nigdy się nie dowie, czego Hauser próbował dokonać.

Bolało go to bardziej niż całe zło, które zrodziło się z fiaska jego planu.

ROZDZIAŁ 24

Przełom

Bez żadnych problemów Quaid i Melina zostali przymocowani do foteli w laboratorium będącym kopią kliniki „Recallu”, tyle że w skali przemysłowej. Quaid rozmyślał o ucieczce, ale zbiry były bardzo ostrożne i przez cały czas trzymały go skutego razem z Meliną. Nawet jeśliby się uwolnił, ona pozostałaby zakładniczką. Przypuśćmy, że zaakceptuje wszczep. Czy istniała jakaś szansa, że technicy nie odkryją znaczenia tego czego „dotkną”, dzięki czemu Hauser powróci do życia ze swoją nienaruszoną tajemnicą? Wątpił w to, aparatura dokonująca wszczepu wywołuje alarm, gdy przytrafia się coś nieprzewidzianego, a przesłanie Obcych uruchomiłoby alarm sześć razy większy. Co mógł zrobić przywiązany do fotela?

Cohaagen obserwował lekarza i sześciu asystentów przygotowujących procedurę ponownego programowania. Melina otrzymała już kroplówkę z IV. Quaid nadrabiał miną i szarpnął się, gdy technik wbił mu igłę w rękę. Nie martwiła go igła, lecz to, że za chwilę otrzyma dawkę narkotyku uspokajającego — i straci swoją tożsamość, a zapewne i coś jeszcze...

— Odpręż się, Quaid — powiedział Cohaagen. — Polubisz Hausera.

— Ten facet jest pierdolonym dupkiem.

I był nim w rzeczywistości, przynajmniej do momentu, w którym uświadomił sobie swoją miłość do Meliny i otrzymał przesłanie od No'ui. Potem starał się, odpokutować za złe życie i — za współdziałanie w niszczeniu Frontu Wyzwolenia Marsa.

— To prawda — odparł Cohaagen. — Ale on ma wielki dom i Mercedesa. A ty lubisz Melinę, prawda?

Spojrzał na kobietę, która nie odwzajemniając jego spojrzenia, skrzywiła się.

— Będziesz mógł ją pierdolić co noc. Będzie żoną Hausera. I nie koniec na tym, zaprogramujemy ją tak, żeby była pełna szacunku, uległa i potrafiła docenić to, co ma — takie powinny być kobiety.

Quaid i Melina spojrzeli na siebie przerażeni. Gdyby chciał takiej kobiety, byłby

zadowolony z Lori, która doskonale odgrywała swoją rolę. Ale zanim jeszcze rozleciała się blokada pamięci, był nią rozczarowany i tęsknił za Meliną. Pociągała go kobieta prawdziwie , niezależna i odważna. Więc jeśli ona go kochała, to miało to swoje znaczenie, jeśli postąpi niewłaściwie, szybko się zmieni!

Przeraził go pomysł uczynienia z takiej kobiety uległej laleczki. Wiedział, że ona w takim samym stopniu nie chce być prawdziwą dziwką, jak nie chciała dopuścić zdrajcy do ich sprawy. Grała rolę dziwki, bo wymagała tego sytuacja. Co się z nią stanie, z jej wnętrzem, jeśli będzie przywiązana do tej roli przez całe życie? Równie dobrze mogli ją poddać lobotomii — wynik byłby podobny.

Zadzwonił wideofon. Odebrał asystent, który następnie zwrócił się do Coahaagena.

— Sir, to do pana.

Cohaagen zniecierpliwiony odwrócił się do ekranu, na którym zdenerwowany technik stał przed ścianą pełną zegarów i wskaźników.

— Co się dzieje? — warknął Coahaagen.

— Sir — odpowiedział technik — poziom tlenu w sektorze G osiąga minimum.

Co mam robić?

— Nic nie rób — powiedział Coahaagen.

— Nie wytrzymają nawet godziny, sir — odparł technik.

Cohaagen wcisnął klawisz na wideofonie i przez ekran przemknęły trzy szybkie ujęcia z Venusville. Ludzie leżeli na ziemi lub siedzieli na progach domów i szeroko otwartymi ustami gwałtownie wciągali powietrze. Melina odwróciła głowę, nie mogła patrzeć na ekran. Quaid rzucał się wściekle w pętach.

Musiał się uwolnić! Musiał przerwać to szaleństwo!

Cohaagen przełączył na technika.

— Wkrótce nastąpi koniec — powiedział.

Urwał transmisję.

— Nie bądź skurwielem, Coahaagen! — wrzasnął Quaid. — Daj tym ludziom powietrze.

— Mój przyjacielu, za pięć minut, nawet nie kiwniesz palcem w ich sprawie. — Coahaagen zwrócił się do lekarza. — Odpalamy.

Lekarz obniżył hełm nad głową Meliny. Próbowwała usunąć głowę, lecz nie mogła, była spętana.

Lekarz przygotował się do opuszczenia hełmu Quaida, kiedy Richter mu przerwał.

— Ech, przepraszam doktorze — czy kiedy będzie Hauserem, będzie coś z tego pamiętał?

— Absolutnie nic — zapewnił go lekarz.

— Dzięki. — Richter z całej siły rąbnął Quaida w twarz. światła wybuchły.

Będzie miał podbite oko i może wstrząs mózgu, lecz podgłówek uchronił go przed

czymś gorszym. Spojrzał na Richtera, który wyszczerzył zęby.

— Strasznie jesteś odważny, waśniaku — powiedział z ironią Quaid.

Cohaagen odepchnął Richtera. — Przepraszam, Quaid. To się wkrótce skończy i znów będziemy przyjaciółmi.

Równie dobrze mógłby zaprzyjaźnić się z gniazdem skorpionów!

Lecz to było najmniej ważne. Jak uchronić się przed ujawnieniem przesłania do No'ui?

Lekarz podszedł do aparatury wszczepiającej. Wydawała z siebie przeraźliwy skowyt przypominający starodawną wiertarkę dentystyczną, jakich ciągle używają w horrorach. Cohaagen skrzywił się i wyprowadził Richtera z laboratorium. W drzwiach zatrzymał się i odwrócił do Quaida.

— A propos, wydaję dziś małe przyjętko. Może byście wpadli z Meliną, powiedzmy około dziewiątej?

Quaid zacisnął zęby, nie odpowiadając. Cohaagen obrócił się do lekarza.

— Doktorze, przypomni mu pan?

— Mmhmm — odparł lekarz, nieobecny myślami.

Richter pomachał na pożegnanie.

— Zobaczymy się na przyjęciu.

I wyrazi wtedy zaskoczenie opuchniętym okiem Quaida.

No cóż, ten człowiek był hipokrytą, była to najmniejsza z jego wad.

Cohaagen i Richter opuścili laboratorium. Odgłosy wydawane przez aparaturę wywoływały prawdziwe przerażenie, kojarzące się nie z bólem fizycznym, gdyż aparatura działała łagodnie, ale z tym, co się za nimi kryło. Jakby za chwilę żywe mózgi miano pociąć na kawałki, żeby na ich miejsce przeszczepić mózgi pobrane z kostnicy.

Quaid i Melina opierali się. Skoncentrowali się, by zwalczyć efekt programowania, lecz ich możliwości były znikome w zetknięciu z przygniatającą siłą. Quaid szarpał metalowe klamry trzymające go za nadgarstki, przedramiona i kostki nóg. Nawet nie drgnęły.

— Proszę zachowywać spokój — powiedział lekarz.

Poczuł ból, fizyczny i psychiczny, gdy ktoś potarł mu skórę przy klamrach. Umysł bronił się przed „praniem mózgu”. Ból narastał. Quaid wykrzywił usta, jakby to mogło odrzucić wrogi wszczep.

— Twój opór wywołuje ból, uspokój się — powiedział lekarz.

Quaid ujrzał, że Melina szarpie się dziko ale nadaremnie. Po jej policzkach spływały łzy, a z ust ciekła ślina. Quaid naprężył mięśnie, próbując się uwolnić. Skowyt maszyn był dręczący, lecz był niczym w porównaniu z bólem porażki. Wydawało się, że jest bezradny, ale nie mógł pozwolić, żeby dokonano wszczepu. Czy takie przerażenie odczuwa kobieta, gdy jest gwałcona?

Tutaj na pewno dopuszczano się gwałtu.

— To jest delikatny zabieg, panie Quaid — ostrzegł go lekarz. — Jeśli się pan nie uspokoi, skończy pan jako schizofrenik.

Czy uchroni go to przed odkryciem przesłania od No'ui?

Jeśli tak, może to byłoby wyjście, którego szukał. Ale nie ufał temu. Zebrał wszystkie siły, aby wyrwać się z fotela.

Więzy nie popuściły ani o milimetr, Coahaagen upewnił się, że nie zawiodą. Lecz śruby łączące części fotela zgrzytnęły.

— Podać środek uspokajający — powiedział lekarz do asystenta.

Za sekundę nastąpi koniec!

Quaid wiedział, że to jego ostatnia szansa. Jego siły wyczerpywały się, co jeszcze mógłby zrobić?

No'ui! pomyślał, pomóżcie mi!

I nagle z jakichś nienaruszonych źródeł napłynęła fala siły. Hałas, ból i szarpanina narastały coraz mocniej i wydawało się, że więcej już nie znieśie, lecz czuł jak przybywa mu sił. Może to była siła szaleństwa, którą potrafił wyzwolić wszczep No'ui. Było to bez znaczenia. Jeszcze mocniej napiął ramiona, krzyk otworzył mu usta.

Wówczas, krzycząc, całym ciałem wyrwał prawe oparcie z fotela! Wisiało na jego przedramieniu. Uwalniał się!

Natychmiast wyrwał z drugiej ręki kroplówkę z IV, wstrzymując dostawę środka uspokajającego. Z jedną, częściowo wolną ręką mógł...

Lekarz rzucił się, żeby go powstrzymać. Quaid machnął oparciem jak bronią i przejechał przez gardło lekarza, pozostawiając w nim długie cięcie. Zbiegli się asystenci. Jeden chwycił przedramię Quaida. Quaid złapał go w uścisk i złamał mu kark.

Miał chwilę, by zająć się sobą. Podniósł hełm. Proces wszczepu został przerwany. Poczuł okropny ból w głowie, jak gdyby wyciągano mu druty z mózgu, potem i ten ból minął.

Inny asystent, stojąc za plecami Quaida, chwycił go za nadgarstek. Quaid złapał mężczyznę za włosy i przerzucił brutalnie przez ramię. Głowa mężczyzny wylądowała między jego kolanami. Ścisnął ją, jakby była orzechem. Mężczyzna krzyknął i zwiotczał.

Quaid uwolnił klamrę nad lewym nadgarstkiem. Miał teraz wolne oba ramiona.

Zobaczył, że Melina nadal walczy z „praniem mózgu”

— Trzymaj się! — krzyknął.

Trzech kolejnych asystentów podbiegło do Quaida, chwytając go za ramiona. Inny zaatakował długim metalowym bosakiem. Quaid zasłonił się jednym z mężczyzn, któremu bosak natychmiast przebił oko. Dla niego wszystko się skończyło. Inni przerażeni, zamarli na moment. W tej samej chwili, Quaid oswobodził jedną nogę.

Natychmiast kopnął najbliższego asystenta w krocze, dokładnie pamiętał swój ból, gdy kopnęła go Lori. Mężczyzna upadł.

Quaid wstał. Jedną nogę miał ciągle unieruchomioną, lecz nie miał czasu, żeby ją wyswobodzić. Dwóch asystentów jeszcze z nim walczyło, atakując bosakiem i siekierą strażacką. Quaid uchylił się przed siekierą, chwycił bosak, błyskawicznie pochylił się i uwolnił drugą nogę. Siekierka runęła z góry ale obrócił się w ostatnim momencie.

Wyswobodzony!

Quaid przebił asystenta, który machał bosakiem jego własną bronią. Potem ruszył, by usunąć hełm Meliny.

Ostatni asystent zrobił to, co powinien był zrobić na początku. Włączył alarm i podbiegł ku drzwiom. Quaid skoczył, złapał go i wbił mu twarz prosto w drzwi. Nos mężczyzny pozostawił krwawą smugę na drzwiach, gdy jego właściciel osunął się nieprzytomny na podłogę. Szkoda, że to nie był Richter, który zasłużył, żeby rozkwasić mu kinol. Co prawda, i tak nie mógł już bardziej zbrzydnać.

Quaid powrócił do Meliny i uwolnił ją z więzów.

— Dobrze się czujesz?

Kiwnęła głową.

To nie wystarczyło. Dłużej niż on była poddana działaniu aparatury.

— Czy ty to nadal ty?

Zawahała się.

— Nie jestem pewna, kochanie — powiedziała słodkim głosem. — A ty co myślisz?

Quaid się przestraszył. Wtedy obdarzyła go uśmiechem.

— Zjeżdżajmy stąd, do diabła — warknęła.

Taka odpowiedź była muzyką dla jego uszu!

Rozerwał ostatecznie kłamrę.

Wstała z fotela, chwyciła siekierę wbity w pozostałości fotela Quaida i pobiegła do drzwi.

Wypadli z laboratorium. Alarm wył. Zza rogu wybiegło dwóch żołnierzy. Melina rzuciła siekierkę w pierś jednego, Quaid cisnął bosak w głowę drugiego. Dwóch mniej.

Chwycili broń żołnierzy, podbiegli do windy towarowej i wcisnęli przycisk. Quaid wątpił, czy bez przeszkód zjadą windą na dół, lecz nie mieli większego wyboru.

Winda jechała w górę. Po zatrzymaniu, drzwi się rozsunęły — w środku był tuzin żołnierzy.

Quaid skosił ich ze swojego karabinu. Drzwi zasuważąc się zasłoniły zmasakrowane ciała.

Nadjechała druga winda. Jechała w dół. Była pusta. Nawet windy uczą się na błędach, Wskoczyli.

Quaid obrócił się do Meliny, gdy winda zaczęła zjeżdżać.

— Gdybyśmy nie mieli okazji już porozmawiać, chcę żebyś wiedziała, że ja — niezależnie od tego kim byłem wcześniej...

Podeszła do niego i pocałowała.

— Wiem — wymruczała po chwili.

— Ale ten dysk z Hauserem...

— Mogłeś mieć mnie na tacy, gdybyś tylko chciał — powiedziała. — Zamiast tego, walczyłeś jak szalony i uwolniłeś mnie. Wiedziałam więc, że to nie tak.

— Chcę cię. Kocham cię. Lecz...

— ...lecz nie za cenę zdrady Marsa — dokończyła.

— Tak. Ale też...

Drzwi się rozsunęły. Mieli przed sobą nerwowo biegający tłum. Alarm wył nadal. Górnicy kręcili się wszędzie jak rój mrówek. Pojazdy górników i ochrony pędziły we wszystkich kierunkach. Żołnierze biegali podenerwowani. Najwidoczniej alarm wywołał wśród personelu szaleńcze zamieszanie.

Wymienili spojrzenia. Czy ucieczka mogła być taka łatwa?

Wyszli z windy, starając się wtopić w tłum. Nie mieli szczęścia.

Zobaczono ich. Żołnierze otworzyli ogień.

Pobiegli. Quaid wskoczył do jadącego kreta, wyrzucił kierowcę z kabiny, zajął jego miejsce i chwycił kierownicę. Wyrzwał przez okno szukając Meliny. Żołnierze strzelali do niego, kule odbijały się od metalowej osłony kreta.

Nie mógł jej dostrzec.

— Melina! — krzyknął, zaniepokojony.

— Tu jestem — odpowiedziała.

Wykręcił głowę. Sadowiła się na miejscu dla pasażera, zatrzasnąwszy drzwi. Nie czekała na jego wezwanie.

Quaid dodał gazu. Kret ruszył do przodu, zmieniając się nagle w potwora. Żołnierze i górnicy poszli w rozsypkę.

W swoim biurze Coahaagen stał przed wielkim oknem sięgającym od podłogi do sufitu i markotnie spoglądał na kopuły. Horyzont był różowy, nadchodził świt. Stłumiony dźwięk alarmu wył w tle.

Richter, nie mógł sobie znaleźć miejsca w pokoju. Jakiego jeszcze dowodu potrzebował Coahaagen?

Było jasne jak słońce, że istniał tylko jeden sposób, żeby rozprawić się z tym zdrajcą Hauserem.

— No więc, sir? — powiedział w końcu.

Cohaagen jeszcze przez chwilę pogrążony był w myślach. Hauser był najlepszym agentem. Trzeba by zapłacić ogromną cenę, żeby znów mieć go pod swoją kontrolą. Przyjaźń też miała swoje granice. Ten człowiek je przekroczył. Nie odwracając się,

powiedział sucho.

— Zabij go.

— Najwyższy czas, kurwa — wymruczał Richter, obrócił się na pięcie i wybiegł z pokoju.

Mylił się jeżeli myślał, że Cohaagen go nie słyszał. Cohaagen zeszywniał na te słowa. Gdyby Richter się nie wmieszał, program Quaida mógł dać rezultaty. Z pewnością, Quaid nie powinien był identyfikować się tak mocno ze swoją obecną tożsamością, ale wiadomo, że człowiek może uwierzyć w siebie, jeśli musi walczyć o życie. Po wykonaniu tej parszywej roboty, Richtera też będzie można spisać na straty. Rzeczywiście, najwyższy czas.

Tłumiony do tej pory gniew na Richtera wybuchnął. Cohaagen spojrział na rybkę pływającą niewinnie w kuli na jego biurku, jednym ruchem zrzucił ją na podłogę, gdzie rozbiła się na kawałki. Rybka nieudolnie walczyła o życie. Cohaagen uśmiechnął się.

Teraz należało zrobić ważniejszą rzecz. Cohaagen podejrzewał wcześniej, że Hauser wiedział znacznie więcej o aparacie Obcych niż ujawnił. Teraz był tego pewien. Nie stać go było na dalsze czekanie.

Podniósł słuchawkę telefonu. — Wezwijcie ekipę demontującą — powiedział.

Potem skupił wzrok na przestrzeni za oknem. Nie podobało mu się, że musi zniszczyć Hausera i konstrukcję wzniesione przez Obcych. W innych okolicznościach i człowiek, i aparatura mogliby mu się bardziej przydać.

Lecz własne bezpieczeństwo miało pierwszeństwo. Zbudował tu coś w rodzaju imperium i nie stać go było na to, żeby przyjaźń lub chciwość go zniszczyły.

ROZDZIAŁ 25

Reaktor

— Wiesz jak dojechać do Piramidy? — spytał Quaid prowadząc kreta.

— Tak — odparła, rozglądając się. — Skręć w prawo, tam.

Wjechał w szeroki tunel i rozwinął maksymalną szybkość, niemal tratując górników, którzy uskakiwali na boki ratując życie.

— Uważaj! — krzyknęła.

Nie chciała skrzywdzić zwykłych ludzi.

— Musimy dotrzeć tam pierwsi — wyjaśnił lapidarnie. — Cohaagen zamierza zniszczyć reaktor. Zmartwiła się. — Nie...

— Jeśli na Marsie pojawi się atmosfera, Cohaagen będzie skończony. — Ale teraz to było najmniej istotne!

Quaid skręcił w bok, żeby nie przejechać leżącego na ziemi górnika. Posuwał się wzdłuż tunelu, widząc wyraźnie drogę.

— Jeśli na Marsie będzie atmosfera — powiedziała, uświadamiając sobie, co to znaczy — będziemy wolni.

— Będziemy wolni — powtórzył. — Lecz jest jeszcze coś. No'ui...

— Co?

— Nigdy nie miałem czasu, żeby ci powiedzieć — a poza tym nie było to bezpieczne, tak długo jak Cohaagen mógł cię przesłuchać — powiedział. — Ja — to znaczy Hauser... nie tylko cię zdradziłem, ale na dnie szybu ...

— Zdradziłeś mnie? — spytała marszcząc brwi.

— Hauser był szpiegiem. Teraz sobie przypominam. Oszukał cię. Sfingował upadek, żeby ludzie Cohaagena mogli go „schwytać” lub „zabić”. Jego misja dla Cohaagena się skończyła, bo byłaś zbyt sprytna. Lecz to nie był jedyny powód.

— Rozumiem. Nie musisz nic wyjaśniać.

— Owszem, muszę! Nic nie rozumiesz. Hauser był człowiekiem Cohaagena. Był pozbawioną uczuć maszyną, gotową użyć każdego, żeby spełnić rozkazy Cohaagena. A

potem ty weszłaś w jego życie. Pokazałaś mu, co to znaczy wierzyć w coś, co było dobre. Podziwiał cię i szanował, a potem... potem jego uczucia dla ciebie były tak obce, że nie wiedział czym są. Stłumił je, walczył, żeby nad nimi zapanować i dopiero gdy znalazł się na dnie Kopalni Piramidy zrozumiał, że nie może cię zdradzić, ponieważ... cię kocha. Więc krążył tam, naprawdę próbując zrealizować misję, w którą go wysłałaś. I odnalazł Obcych.

Obróciła ku niemu zdumioną twarz.

— On...?

— Zostawili przesłanie, mówiące, że aparatura została zbudowana dla nas, gdy dojrzejemy, przez No'ui, inteligentny gatunek galaktyczny podobny do mrówek, żebyśmy mogli stworzyć atmosferę na Marsie i dzielić się technologią, byśmy mogli stać się takim gatunkiem jak oni, galaktycznymi „handlowcami”, roznosicielami cywilizacji.

— Misjonarzami! — szepnęła.

— Słusznie, i Hauser... no, zrobiło to na nim wrażenie. No'ui zaufali mu, że postąpi właściwie, że powie swojemu gatunkowi, czym jest aparatura Obcych, do czego służy i jak ją wykorzystają. Jeśli użyjemy jej właściwie, będziemy „handlowcami”, jeśli zrobimy z niej niewłaściwy użytek, lub spróbujemy ją zniszczyć...

— To jest samoniszczący się mechanizm! — wykrzyknęła ze zrozumieniem.

— Słusznie. Ta aparatura jest nastawiona jak bomba. Zrobisz co trzeba, będzie w porządku, wspaniała rzecz dla człowieka, wprowadzi nas w nowy wiek, lepszy niż wszystkie poprzednie. Ale wylecimy w powietrze, jeśli coś skopimy. Pod lodowcem muszą być tysiące ton kwasu azotowowodorowego. Może to spowoduje eksplozję.

— To niemożliwe! — wykrzyknęła. — Jeśli zostanie uwolniony, może zniszczyć całą ludzką kolonię na Marsie!

— Tak. No'ui nie blefują. Widziałem jednego z ich potomków. Ledwo wyszedł z jaja, a już musiał odpowiedzieć na pytania, na które ja nie mógłbym odpowiedzieć i pokazać, że jest jednym z nich. Gdyby mu się nie powiodło zabiliby go na miejscu. Albo użyjemy tego we właściwy sposób, albo utracimy wszystko, nie wolno nam użyć tego źle. Więc jeśli Coahaagen spróbuje to zniszczyć, stracimy atmosferę i życie.

Była przerażona.

— I to nawróciło Hausera?

— To dokończyło pracę, którą ty zaczęłaś — przytaknął Quaid. — Nie wytrzymałby widząc, jak cię torturują, co jak wiedział będzie następnym posunięciem Coahaagena, który chciał cię zmusić, byś wydała Kuato. Lecz wiedział również, że nie może powiedzieć Coahaagenowi o prawdziwej naturze aparatury.

Cohaagen i tak się domyślał, że ma ona wyprodukować atmosferę, więc próbował ją ukryć, gdyż złamałaby jego monopol. Lecz gdyby dowiedział się, ile ona w rzeczywistości znaczy, mógłby poznać technologię Obcych i tysiącrotnie zwiększyć swoją potęgę, to

wtedy...

— Opanowałyby również Ziemię — powiedziała. — Udawałby dobrego faceta, który użył reaktora, żeby stworzyć atmosferę i poszukiwałby dalszej wiedzy, i gdyby ją uzyskał, nie potrzebowałby już swojego monopolu na powietrze. Mógłby zapanować nad wszystkim.

— Dokładnie. Hauser — nie, nie usprawiedliwiam go, był zdrańcem, lecz ty... ty miałaś na niego dobry wpływ i No'ui... był to jak wszczep do umysłu i to go nawróciło, chciał zrobić to, co było słuszne. Lecz Coahaagen rutynowo sprawdzał umysły swoich agentów, żeby się upewnić, że w jego pobliżu nie przedostał się żaden szpieg. Dowiedziała się o No'ui. Więc Hauser...

— Zgłosił się dobrowolnie na nową misję — wywnioskowała.

— Słusznie. To uratowało ciebie i aparaturę. Lecz teraz...

— Jestem z tobą — powiedziała. — Rób, co uważasz za słuszne, Doug. Musimy się tam dostać i uruchomić reaktor, zanim on go zniszczy.

— A potem zadbamy o to, żeby był martwy — powiedział. Żeby nie mógł udawać, że to on włączył reaktor, żeby nie był bohaterem, który powinien pozostać przy władzy. Możemy zginąć, ale...

— Kuato i powstańcy oddali życie — powiedziała spokojnie. — Nie mogę zrobić mniej.

Pochyliła się i pocałowała go w policzek.

— Czy ten kret ma radio? — spytał. — Lepiej sprawdźmy, czy nas ścigają.

Natychmiast włączyła odbiornik. Był to standardowy aparat, który odbierał stacje komercyjne i prywatne transmisje. Wybierała stacje.

— Musieli zarządzić ciszę radiową — powiedziała. — Żeby inni nie zrozumieli, co się dzieje.

— Więc sami nie mogą nas namierzyć, żeby nas odciąć — powiedział z zadowoleniem. — To prawdziwa konna gonitwa.

Złapała wiadomości. — *...rezultaty nadzwyczajnej elekcji zostaną przekazane, jak tylko do nas dotrą* — powiedział spiker. — *Tymczasem wiadomości naukowe. astronomowie informują o odkryciu kolejnej „niewytłumaczalnej nowej”. To znaczy, że jest ich już siedem. Według naukowców, te „nowe” nie powinny powstać, ponieważ nie były to gwiazdy tego typu. One...*

W umyśle Quaida połączyły się kolejne elementy — Och, mój Boże! — szepnął.

Melina spojrzała na niego. — Coś nie w porządku?

— Te wiadomości — „nowe” — właśnie zrozumiałem... — umilkł, nie chcąc uwierzyć własnym myślom.

— O co chodzi. Doug? — spytała zaniepokojona.

— „Nowe” ...one są sztuczne — powiedział. — Dlatego ich powstanie wydaje się

bezsensowne. Są „posiane”, w ten sam sposób w jaki No’ui posiewa gatunki.

— Ale jeśli Obcy są tak potężni, jak mówisz — powiedziała pełna wątpliwości. — Nie mogę uwierzyć, że...

— Uwierz — powiedział. Nie widziałas nawet wielkości reaktora! Jeśli mogą zbudować coś takiego i użyć nieznaney nam wiedzy, żeby stworzyć atmosferę mogą również z każdej gwiazdy utworzyć „nową”!

— No cóż, skoro tak mówisz. Lecz co to ma wspólnego z nami?

— Powiedziałem ci już. Oni nie błagują! Wszystko lub nic. Nie ma drugiej szansy.

— Tak, lecz...

— Symbol zniszczenia — powiedział, czując jak rośnie jego przerażenie.

— To była „nowa”.

Melina wzruszyła ramionami. — Dlaczego nie? My używamy czaszki i skrzyżowanych piszczeli, na oznaczenie trucizny. Nie bierzemy tego dosłownie. To metafora.

— Oni nie znają metafor. Są gatunkiem myślącym dosłownie, może dlatego, że rodzą się genetycznie zaprogramowani, jak mrówki. Według nich, coś jest albo tego czegoś nie ma, lub jest zignorowane. Nie może występować częściowo, chyba że jest to coś w stanie budowy. Więc jeśli używają symbolu „nowej”.

Na jej twarzy pojawiło się przerażenie. — To znaczy...?

— To znaczy, że jeśli mówią „nowa”, to chodzi im o „nową”! Jeśli zrobimy niewłaściwy użytek z reaktora...

— Nasze słońce stanie się „nową” — powiedziała.

— To musi być tak nastawione. W momencie gdy reaktor zacznie pracować niewłaściwie, wyśle sygnał zniszczenia do słońca. Słońce wybuchnie i zniszczy wszystko aż po orbitę Jowisza. Po prostu mały wybuch, w skali galaktyki, lecz ludzie przestaną istnieć. Odejda jak gatunki, które przed tysiącami lat nie zdały egzaminu, a teraz widzimy ich „nowe”.

Postawili trzy warunki. pierwszy — musimy samodzielnie osiągnąć poziom krótkich podróży międzyplanetarnych, drugi — że zrozumiemy przeznaczenie aparatury, a trzeci jest bliżej nieokreślony... ale teraz wiemy, że oznacza, byśmy zrobili to dobrze, lub w ogóle się za to nie brali.

— Nie będzie drugiej szansy — przytaknęła, patrząc prosto przed siebie.

— Wyparujemy w jednej chwili!

Jego twarz zamarła. Przypomniał sobie sen o końcu ludzkości. To nie był sen, lecz ostrzeżenie od Obcych.

— W jednej chwili — powtórzyła pustym głosem. — Boże, Doug...

— Tak — pędził tunelem, czując się jak sparaliżowany. Kret minął skrzyżowanie, z którego wyskoczył następny kret.

Melina obejrzała się.

— To Benny! — wykrzyknęła. — Uważaj, on potrafi jeździć!

Rzeczywiście, potrafił. Krety rozwijały jednakową szybkość, lecz ten z tyłu doganiał ich. Jego świder zaczął wirować.

— Uważaj! — krzyknęła Melina.

Ale Quaid nie wiele mógł zdziałać. Widział we wstecznym lusterku, jak kret Benny'ego dopadł ich i wkręcił się w tył ich pojazdu. Gigantyczny świder miał mielić skały, jak zareaguje na metal?

Rozległ się przeraźliwy zgrzyt, gdy metal zaczął przeżuwać metal. Przez kabinę przeleciały odłamki. Cały pojazd drżał gwałtownie.

Bez głupich pytań!

Quaid pędził już z maksymalną prędkością, ale udało mu się wydobyć trochę pary z silnika i wyskoczył do przodu. Nic to nie dało, Benny nadrobił i wkręcił się znowu.

Czubek świdra pojawił się w kabinie. Pochylili się do przodu, żeby ująć przed nim, lecz mieli zbyt mało miejsca. Huk był ogłuszający. Świder mógł ich zmielić na miazgę!

Nagle się zatrzymał, kilka cali od ich pleców. Melina spojrzała na niego.

— Chyba dalej nie wejdzie — powiedziała.

— Przeznaczony jest do skał, a one pękają i odskakują. Utknął w metalu.

— Utknął? — Quaid uśmiechnął się ponuro. — No, to może chwyciliśmy go za jaja.

— Za jaja? — spytała, spoglądając na niego kątem oka.

— Za cokolwiek. Zobaczymy, czy dzięciołowi spodoba się nasza akcja.

Quaid zakręcił w lewo, potem w prawo, powodując, że jego kret chwiał się w tunelu w tył i w przód. Kret Benny'ego złapany za nos, był rzucały na kamienne ściany. Pospiesznie zahamował i oderwał się od kreta Quaida, mimo to utknął dwoma kołami w ścianie.

— Zapamiętam sobie ten numer, jeśli kiedyś nie spodoba mi się twoja akcja — wymruczała Melina.

Quaid zachował kamienną twarz. Widział jak Benny manewruje nieporadnie, rżąc maszyną. Po pewnym czasie odzyskał swobodę i wznowił pościg. Wjechali do ciemnej groty. Quaid przesunął reflektory w bok i zobaczył, że można tu było zrobić pętlę. Zgasił światło i zaczął zawracać w ciemnościach.

— Co robisz? — spytała zaniepokojona Melina.

— Może tym razem dobiore mu się do dupy — powiedział Quaid. — Zobaczymy, czy polubi własną metodę.

Wykonał prawie pełną pętlę i zwolnił, mając światła nadal wyłączone. Zobaczył reflektory Benny'ego, potem usłyszał hałas jaki robił zbliżający się wolno kret. Jego reflektor przeszukał grotę.

Quaid uruchomił silnik i włączył reflektory. Oświetliły jasno bok pojazdu Benny'ego.

Z wyciągniętym świdrem, obracającym się dziko, Quaid popędził wprost na kabinę Benny'ego.

— Pieprz się — powiedział zwięźle.

W blasku świateł zobaczył szeroko otwarte oczy Benny'ego, który ujrzał pędzący na niego świder. Próbował umknąć, lecz było za późno. Kret Quaida przebił kabinę roznosząc bez kłopotu plastik i szkło, przeżuając je jakby był karmiony w gigantycznym procesorze żywności. Benny został rozszarpany na strzępy, w stopniu wystarczająco dosłownym nawet dla No'ui.

Kret Benny'ego znajdował się tuż obok ściany groty. Pojazd Quaida nie mógł zahamować, wkręcał się w ścianę. Piach i żwir wpadały przez dziury. Cały pojazd grzechotał i klekotał.

Mogli jedynie jechać naprzód. Kamienna ściana zaczęła się walić. Quaid parł przed siebie, mając nadzieję, że nie utkną. Miał szczęście, po drugiej stronie ściany była pusta przestrzeń.

— Doug! — wrzasnęła Melina, patrząc w otchłań. Zrozumiał, że szczęście wcale mu nie sprzyjało. Przed nimi nie było niczego. Wkręcali się w reaktor Obcych! Nacisnął na hamulce. Kret przechylił się przez otwór, zaczynał spadać. Lecz jego rozerwany tył zahaczył o sufit tunelu, zatrzymując go na sekundę.

— Skacz! — krzyknął Quaid, zrywając pas bezpieczeństwa.

Ledwo zdążyli wyskoczyć i chwycić się rusztowania, gdy wielka maszyna ruszyła sama z miejsca i poleciała w przepaść.

Ale dlaczego się nie udusili?

Otchłań z jego snu była wypełniona próżnią, używali skafandrów kosmicznych, by do niej wejść. Jak mógł zapomnieć swoje niezadowolenie, gdy próbował pocałować Melinę przez hełm! Ale tutaj było powietrze, i odpowiednie ciśnienie.

Wówczas przypomniał sobie jeszcze trochę z tego, co wiedział Hauser. Do głównej części reaktora włączano powietrze, ponieważ Cohaagen próbował dowiedzieć się nieco więcej na jego temat. Cohaagen był ciekawy, co również miało swoje dobre strony, gdyby zrobił coś niewłaściwego, Słońce już dawno byłoby „nową”. Tłoczenie powietrza na szczęście nie spowodowało katastrofy, konstrukcja reaktora wytrzymała ciśnienie atmosferyczne, ponieważ miał brać udział w tworzeniu atmosfery. Hauser i Melina weszli do niezbadanej części, do której nie tłoczono powietrza, bo Cohaagen myślał, że nie ma ona żadnego znaczenia — i odkryli coś wręcz przeciwnego. Nie była to jedna sekcja, lecz zestaw połączonych sekcji, a reaktor jądrowy niemal w dosłownym sensie stanowił wierzchołek góry lodowej.

Opuścili się z rusztowania, stanęli i zbadali wzrokiem rozległą przestrzeń.

— Miałaś rację — wyszeptała przestraszona Melina. — Nigdy tego nie widziałam. To jest dziesięć razy większe niż myślałam i...

— ...i sto razy jako cały kompleks — powiedział, również przestraszony, chociaż zbadał większą jego część w trakcie poprzedniego pobytu i poznał wyjaśnienie przekazane przez No'ui.

— To jest nasza przyszłość — przyszłość człowieka — jeśli go uruchomimy, zanim zniszczy go Coahaagen.

Nadal się przyglądali. Olbrzymi metalowy wspornik sięgał ze ściany w przestrzeń, przypominając starożytną Wieżę Eiffle'a położoną na boku. Cztery takie łukowate podpory podtrzymywały ogromną kolistą platformę pośrodku przepaści. Platforma była metalową płytą, która podtrzymywała pęk potężnych kolumn biegnących przez specjalne otwory. Kolumny sięgały od szczytu przepaści aż do jej dna, gubiąc się w ciemnościach. Kolejne łukowate podpory i platformy podtrzymywały kolumny na wielu innych poziomach, u góry i w dole. Quaid zszedł niżej i skoczył na wspornik.

— Chodź — zawołał do Meliny, machając ręką.

Zeszła obok niego i podziwiała długi, niebezpieczny most, po którym musieli przejść, sięgający w atramentową czerń. Mógł wytrzymać tysiąclecia, ale teraz nie wydał się jej zbyt pewną ścieżką. Nagle aż podskoczyli na dźwięk przerażającego łoskotu, który przetoczył się przez otchłań.

— To kret — powiedział Quaid, rozumiejąc co się dzieje.

Pojazd dopiero teraz doleciał do dna. Wydawało się, że od ich skoku minęły minuty, ale prawdopodobnie były to tylko sekundy, wspaniałość reaktora odwróciła ich uwagę od upływającego czasu. Zamyślił się.

— Oni zaraz tu będą — przypomniała Melina. — Musisz zrobić to pierwszy.

— Idziemy! — przytaknął. — Lubisz spacerować nad przepaścią?

— Nie specjalnie — przyznała. — Lecz zważywszy okoliczności, poradzę sobie.

— Dobra dziewczynka.

Ale ona nie była dziewczynką. Była kobietą.

Zaczęli przesuwać się po wsporniku tak szybko, jak pozwalała im odwaga, nie patrząc w dół.

ROZDZIAŁ 26

Decyzja

Ulice Venusville opustoszały. Ludziom udało się dotrzeć do ich nędznych nor, gdzie czekali na śmierć. W „Ostatniej Desce Ratunku” z rąk do rąk przechodził mały pojemnik z powietrzem. Tony siedział na podłodze, oparty plecami o plecy barmana, kołysał na kolanach głowę Paluszka. Mogli tylko czekać na koniec.

W Kopalni Piramidy Richter i szesnastu żołnierzy stało na platformie spoglądając w dół. Richter oświetlił mocnym reflektorem krawędzie dziury wywierconej przez kreta Quaida. Przesunął promień światła i ujrzał wspornik prowadzący od kamiennej ściany do najbliższej platformy. Skoncentrował wzrok. Niczym dwie mrówki, Quaid i Melina szli po wsporniku.

Richter uśmiechnął się. Tym razem ofiara nie umknie, a kobieta... — wiedział co z nią zrobi. Quaid był odpowiedzialny za śmierć Lori, więc odpłaci mu tą samą monetą. Oko za oko. Ale buntownicza flądra nie umrze tak czysto i szybko jak Lori. O, nie.

Richter upewni się, żeby Quaid obserwował, to co się będzie działo, zanim ją zabije. Zanim to zrobi, zmusi Quaida, by zebrał o jej śmierć. Wtłoczył się z żołnierzami do windy.

Quaid i Melina z mozołem wspięli się ze wspornika na platformę. W centrum umieszczono windę, jej kable biegły w mrok. Zdumiało go to, gdyż No'ui nie używali takich urządzeń. Ale oczywiście zrobili ją dla ludzi. Wędrowali przez las kolumn, ciągle wystraszeni. Były to potężne metalowe sekwoje o skorodowanej korze.

— To wszystko jest wielkim gigantycznym reaktorem jądrowym — powtórzył Quaid. — Pręty turbinytowe ześlizgują się z tych osłon i wpadają do dziur w lodowcu poniżej. To rozpoczyna reakcję łańcuchową. Promieniowanie rozszczepia lód na tlen i wodór. Gaz się unosi, zostaje schwytyany w pułapkę ciężenia...

— I na Marsie powstaje atmosfera — dokończyła Melina.

— Nie od razu. To zaledwie parowanie wody. Wodór i tlen. Nie moglibyśmy tym oddychać. Wodór używany jest do fuzji jądrowej, łączy się w hel, jak w starodawnych

bombach wodorowych. To dostarcza energii do większego procesu. Kwas azotowodorowy zgromadzony pod lodowcem rozkłada się na składniki, a azot z niego łączy się z tlenem pochodzącym z wody i tworzy powietrze, którym możemy oddychać. Mieszanka będzie trochę za bogata w tlen, lecz będzie to skompensowane przez zmniejszone ciśnienie na powierzchni. Ureguluje się, gdy proces tworzenia atmosfery zostanie ukończony. Wszystko stanie się szybko — o wiele szybciej niż jakikolwiek inny proces nam znany.

Był zdumiony swoją wiedzą, gdy na powierzchnię jego umysłu wypłynęła reszta informacji przekazanych przez No'ui.

— Ale to dopiero pierwsza faza. Mars jest zimny, musi więc zostać ogrzany, żeby rośliny mogły rosnąć, a ludzie żyć na powierzchni bez skafandrów kosmicznych. Tak jak na Ziemi. Wszędzie rozstawiono przewodniki ciepła...

Przerwał, słysząc jakiś dźwięk.

Winda się zatrzymała. Usłyszał jak otwierają się drzwi i wiele butów uderza w metalową kratę. Zobaczyli odległe promienie światła. Quaid pchnął Melinę za kolumnę, lecz gdy się o nią otarli kawałek skorodowanego metalu huknął o podłogę platformy. Natychmiast wszystkie latarki zostały skierowane w ich stronę.

— Czas na Plan B — wymruczał Quaid.

— Jaki plan?

— Zobaczysz.

Gdy żołnierze zbliżyli się, ujrzeli Quaida biegnącego i kryjącego się za jedną z kolumn, Richter i strażnicy popędzili w jego stronę, otoczyli kolumnę i otworzyli ogień.

Zdumiewające!

Quaida tam nie było, a czterech żołnierzy zostało zastrzelonych!

Richter nachmurzył się, nie wiedząc jakim cudem Quaid mógł mieć tyle szczęścia.

— Rozdzielić się.

Przeszukiwali cały teren. Do Quaida zbliżył się żołnierz, jeszcze go nie widząc.

Quaid manipulował przy swoim zegarku i w pobliżu pojawił się hologram. Oczy Meliny rozszerzyły się z podziwu.

A więc to tak ich oszukał. Nie zrozumiała za pierwszym razem. Miał projektor holograficzny, ustawiony na użytkownika. Mądry fortel!

Żołnierz zauważył hologram. Strzelił, pewny, że trafił.

Prawdziwy Quaid podszedł od tyłu do żołnierza i złamał mu kark. Hauser nie był wspaniałym człowiekiem, ale z pewnością potrafił walczyć, jego odruchy ułatwiły to, nad czym zawahałby się Quaid.

Richter kontynuował poszukiwania. Quaid wyskoczył zza następnej kolumny.

Tym razem jego sylwetkę dostrzegło wielu żołnierzy. Otoczyli ją. Posypały się kule, ale trafiły w ciała kolegów. Czterech następnych gryzło pył.

— Wstrzymać ogień! — krzyknął Richter. — To hologram! Nie dajcie się zwieść!

Ale dla dziewięciu żołnierzy jego ostrzeżenie nadeszło zbyt późno.

Quaid rzucił zegarek Melinie.

Dwóch żołnierzy w dwóch różnych punktach ujrzało przechodzącą obok Melinę. Otworzyli ogień do jej hologramu i pozabijali się nawzajem. Trzech żołnierzy podkrađło się do Quaida. Wiedzieli, że już był martwy.

Uśmiechnął się.

— Myślicie, że mnie znaleźliście?

Ale nie patrzył na nich tylko w bok. To było niesamowite. Uświadomili sobie, że to musi być hologram. Rozejrzeli się szukając prawdziwego Quaida.

Ale to był prawdziwy Quaid. Odwrócił się i zastrzelił ich.

— Tylko wam się zdawało — powiedział.

Zbliżyło się dwóch żołnierzy, gra dobiegała końca. Przed nimi stanęła Melina. Kule przeszły przez nią na wylot. Postrzępione kratery wykwitły na ich piersiach od kul, które prawdziwa Melina wpakowała im w plecy.

Prawdziwy Quaid spotkał prawdziwą Melinę, dotknęli się rękoma. Biegli ostrożnie od kolumny do kolumny w kierunku windy. Była otwarta i pusta. Rzucili się do wnętrza.

Quaid zasunął drzwi. Winda pojechała w górę ze zdumiewającą szybkością. Objęli się, całkowicie odprężeni.

— Nie wiedziałem, że uruchomili część systemu Obcych — zauważył. — Musi tu być jakaś szczątkowa moc, a może uruchomili linię. Cohaagen musiał być naprawdę zainteresowany tą aparaturą.

— Zamknij się i pocałuj mnie — powiedziała podnosząc twarz.

Nagle jej oczy rozszerzyły się i zeszywniała.

Co jest?

Usłyszał delikatny hałas nad nimi i spojrział w górę. Jedna z płytek sufitowych została odsunięta na kilka cali.

Na dachu był Richter!

Przez szczelinę wystawała lufa jego pistoletu. Huknął strzał. Kula zagruchotała we wnętrzu, omijając ich na szczęście. Quaid odepchnął Melinę nieco mniej romantycznie niż by sobie życzył i błyskawicznie podniósł pistolet. Razem z Meliną otworzyli ogień, lecz kule zrykoszetowały w ich stronę.

Jeśli będą strzelać sami się pozabijają!

Richter zmądrzał, nie poległ już na swoich żołnierzach. Zrobił z nich oddział dywersyjny, a sam założył małą zręczną pułapkę, wiedząc że Quaid przeżyje i przyjdzie tutaj. Teraz chronił go dach, dwójka w windzie nie miała żadnej osłony.

Quaid i Melina rzucali się po całej kabinie aby utrudnić Richterowi celny strzał. Ale to nie poprawiło ich sytuacji. Byli jak ryby w beczce.

Richter strzelił ponownie raniąc Quaida w rękę.

Źle!

Quaid otworzył drzwi. Oboje wydostali się z kabiny na boczne ściany windy. Richter strzelał, a oni odpowiadali ogniem ze swych pistoletów. Byli na zewnątrz, a Richtera nie chronił już niewrażliwy na kule metal. Musiał schodzić z linii strzałów.

Melina uchyliła się przed kulą, straciła równowagę, upuściła pistolet, uratowała się chwytając rękami krawędź windy, jej nogi zawisły nad przepaścią.

Richter wycelował w Quaida, który złapał go za ramię. W tym momencie Quaid spojrział w górę. Za Richterem zobaczył następną platformę. Winda pędziła w jej kierunku.

Wszystko co znajduje się poza kabiną i wystaje z jej boków zostanie zgilotynowane!

Richter też zobaczył platformę. Wyszczrzył zęby w nieszczerym uśmiechu. Quaid próbował wspiąć się na dach, lecz Richter go zepchnął. Quaid chwycił drugie ramię Richtera — i uwiesił się. Za sekundę cztery ramiona zostaną ścięte.

Teraz Richter dźwignął się w tył, chroniąc siebie, i tym samym ruchem podciągnął Quaida na dach windy. Ostatnią rzeczą jaką chciał zrobić, było uratowanie życia Quaidowi, lecz cenił własne zdrowie. Quaid zwinął nogi w ostatnim momencie przed minięciem platformy.

Melina akrobatycznym ruchem wskoczyła do windy, całe od ostrza, które prześlizgnęło się po jej stronie.

Cohaagen stał obok pomieszczenia centrum kontroli Obcych i obserwował jak grupa rozbiórkowa wyładowuje sprzęt. Miał nadzieję, że wynalazek Obcych okaże się dla niego przydatny, lecz nie mógł sobie pozwolić na to, żeby rozpoczął produkcję powietrza dla Marsa. Nie wiedział, komu Quaid mógł powierzyć swoje podejrzenia, nie mógł być pewien, czy wszyscy powstańcy zostali wyeliminowani. Najwyraźniej ta rebeliantka przekupiła Quaida i mogła wypaplać tajemnicę jak świat długi i szeroki. Musiał więc zniszczyć aparaturę, zanim inni pseudopatrioci wpadną na lepszy pomysł. Monopol był zabawną rzeczą. jeśli się go utraciło, nie można go było odzyskać. Widmo bezpłatnego powietrza produkowałoby nieskończoną liczbę ewentualnych powstańców. Nadszedł więc czas, żeby zatrzymać całą rzecz, eliminując wszelkie ewentualności. Głupi był, że tak długo to odkładał, ale wystąpiły różnice zdań na temat ochrony aparatury Obcych i urzędnicy rządu na Ziemi nie dawali mu spokoju. Po tym wszystkim umożliwi im swobodny dostęp do Kopalni Piramidy i będą mogli ku pokrzepieniu serc oglądać do niczego nieprzydatny wrak.

Jednej rzeczy był pewny. nie będzie bezpłatnego powietrza, a jego władza zostanie umocniona.

Spojrział w głąb szybu. Zobaczył dwie małe figurki walczące na dachu wznoszącej się windy. To znaczy, że Quaid przeżył czystkę Richtera i ciągle sprawiał kłopoty. Musiał podziwiać upór Quaida — korzystał z umiejętności Hausera, który był niezastąpiony

jako agent. Szkoda, że przeszedł na złą stronę. Richter nigdy nie będzie tak dobry. Ale nadszedł czas, żeby prawdziwy zawodowiec wziął sprawy w swoje ręce.

Cohaagen wydobyl granat i ostrożnie umieścił go w układzie napędowym windy. Potem pobiegł do centrum kontroli. Granat zmiażdżony przez tryby eksplodował niszcząc mechanizm i wyrывая podtrzymujący ją legar.

Cohaagen spojrział z zadowoleniem. Pozbył się Quaida i Richtera, który udowodnił swoją nieprzydatność.

Tymczasem Quaid i Richter, walcząc zajadle, usłyszeli wybuch i poczuli wstrząs. Kable okręciły się niebezpiecznie. Winda zatrzymała się. Legar windy wysuwał się z uchwytów, powoli, miarowym ruchem małej wskazówki zegarka.

Richter spojrział w górę, pojmując co się stało.

— Kurwa! Mnie też odciął! — wykrzyknął.

— Ciężko znaleźć przyjaciela w gnieździe żmij — powiedział Quaid z udanym współczuciem.

Obaj zaczęli walczyć o życie, gdy legar pochylił się nad przepaścią jak padające drzewo.

Quaid, choć wyśmiewał się z wroga, nie dałby w tym momencie grosza za własne życie. Wyglądało na to, że czeka ich długa droga w dół! Nagle legar zahaczył o jeden z olbrzymich wsporników tworząc most z przeciwległą ścianą. Nie spadną — na razie.

Wprawdzie legar był zaklinowany, ale wstrząs powędrował dalej i zrzucił ich z dachu windy. Obaj wyciągnęli rozpaczliwie ręce. Quaid uchwycił luźno wiszący kabel. Richter zrobił to samo. Nie poprawiło to ich sytuacji, kable nie były przywiązane.

Spadali...

Przed oczami Quaida nie rozbłysły sceny z jego wcześniejszego życia, ani nawet z tego które wiódł ostatnio. Myślni był z Meliną, która za chwilę wychyli się z windy i ujrzy jak on spada, poczuł przez moment żal, że ich związek musi się tu skończyć. Ich — i ludzkości, jeśli „nowa” No’ui zostanie zaktywizowana.

Hwang!

Upadek został nieoczekiwanie przerwany. Kabel zaczepił się na czymś. Nie... Quaid i Richter wisieli na końcach długiego kabla, owiniętego wokół legaru. Kołysali się dziko w przód i w tył, służąc sobie nawzajem jako przeciwwaga, około dwudziestu pięciu stóp poniżej windy. Uratowali sobie życie. Kolejna ironia.

Quaid rozejrzał się szukając wyjścia. Nie było żadnego, dyndali poniżej legara nie mając się czego uchwycić. Quaidowi mignęły otwarte drzwi windy i nieruchome ciało Meliny leżącej na podłodze, oszołomionej wstrząsem. Nie mogłaby mu pomóc nawet gdyby była przytomna. Quaid i Richter mogli razem przeżyć, albo razem zginąć. Kiedy się tak huścili, Richter skorzystał z chwilowej nieuwagi Quaida i przysunął się bliżej. Kopnął Quaida w krocze. Quaidowi udało się wykręcić w ostatnim momencie i przyjąć

impet kopnięcia na udo, jego ciało rozkołysało się osłabiając siłę ciosu, który mimo to był niezwykle bolesny. Ruch spowodował, że kabel ześlizgnął się odrobinę. Quaid był nieco cięższy i zjechał w dół, podczas gdy Richter powędrował w górę.

— Nie! — krzyknął Quaid.

Po kolejnym bujnięciu, Richter znalazł się jeszcze wyżej. Kopnął Quaida w żebra. Znow Quaid próbował zrobić unik, lecz ponownie odczuł siłę ciosu.

— Idioto! — krzyknął Quaid. — Posłuchaj mnie!

Przez chwilę huśtali się poza zasięgiem nóg i rąk.

— Jeśli mnie skopiesz, sam też spadniesz!

— Bzdury! — odpowiedział Richter. Potem, zbliżywszy się kopnął Quaida w twarz. Jeszcze raz Quaid mógł tylko zmniejszyć siłę ciosu, ale nie mógł go uniknąć. Dzwoniło mu w uchu.

— Pomyśl tylko! — wykrzyknął. — Jeśli zlecę, mój koniec kabla prześlizgnie się górą!

Richter podniósł wzrok i wreszcie zrozumiał, że Quaid miał rację. Powstrzymał nokautujący kopniak. Nie był wystarczająco sprytny, żeby samemu dostrzec niebezpieczeństwo, ani żeby dostrzec ratunek. Już taki był, po prostu.

Quaid chwycił stopę Richtera i szybko owiązał bujający się koniec kabla wokół jego kostki. Richter z furią próbował go kopnąć. — Co ty wyrabiasz? Quaid podciągnął się na własnej części kabla i zasypał Richtera gradem ciosów i kopniaków. Richter był zaskoczony tym głupim atakiem.

— Przestań! — krzyknął. — Idioto! — dokładnie tak jak przed chwilą krzyczał Quaid.

Quaid okładał pięściami Richtera, który tylko starał się bronić. Zobaczył otchłań otwierającą się pod nim.

— Jeśli spadnę, to ty też! — krzyknął.

— Mylisz się — powiedział Quaid. Potężnym ciosem w twarz odrzucił Richtera od kabla. Przywiązany za nogę Richter poleciał głową w dół. Rozmach jego upadku przeciągnął kabel przez legar, spuszczać Richtera kolejne dwadzieścia stóp i jednocześnie podnosząc Quaida. Quaid trzymając legar zawołał do Richtera, wiszącego nogami do góry, kołyszącego się jak worek z piaskiem.

— Zobaczmy się na przyjęciu, Richter.

Richter próbował odpowiedzieć, lecz strach wykrzywił mu twarz, gdy zrozumiał, że go oszukano.

Wtedy Quaid puścił kabel.

— Miłego lądowania!

Kolejne osiem stóp kabla przeleciało przez jego ręce, ponad legarem i Richter poleciał głową w dół. Ścigał go własny okrzyk przerażenia.

Quaid miał nadzieję, że znajdzie równie szybkie wyjście w górę. Nadal musiał powstrzymać Cohaagena przed zniszczeniem reaktora — i całej ludzkości.

Cohaagen i jego ludzie pracowali w centrum kontrolnym reaktora. Była to kamienna grota wypełniona skomplikowaną aparaturą i elektronicznymi konsolami, takimi, jakie Quaid widział w pamięci uwolnionej przez Kuato. Potężne kolumny zmieniały się tutaj w mniejsze. Przez kwarcowy sufit wpływało światło słoneczne. Po jednej stronie znajdowała się kamienna ściana z pokrytą hieroglifami mandalą. Żołnierze pracowali w różnych częściach potężnego pomieszczenia, mocowali ładunki wybuchowe, rozwijali kable i wiercili dziury. Hałas był ogłuszający.

Jeden z żołnierzy zajęty był wierceniem otworu. Ktoś postukał go w ramię. Podniósł wzrok. To była Melina. Zdumiony, zamarł. Za jego plecami, Quaid uchwycił świder i przejechał nim przez pierś żołnierza.

Sąsiedni pracownik zobaczył Quaida i podbiegł do niego trzymając w rękach świder. Lecz ta broń odpowiadała Quaidowi. — Chyba ci wywiercę dziurę w brzuchu! — krzyknął, nabijając przeciwnika na ostrze. Walcząc z ciągle nadbiegającymi przeciwnikami starał się dotrzeć do mandali. Cohaagen chwycił detonator i ukrył się.

Melina podniosła pistolet zabitego żołnierza. Rozejrzała się. Do Quaida podkraść się inny robotnik. Melina zastrzeliła mężczyznę w ostatniej chwili.

Cohaagen podłączył przewody do detonatora.

Quaid walczył z robotnikiem przy mandali, rozrywając go na strzępy. Potem odrzucił młot, wyciągnął ładunek wybuchowy z dziury wywierconej w mandali i odrzucił go daleko.

Wyciągnął rękę, by przyłożyć swoją dłoń do hieroglificznej kamiennej dłoni, gdy usłyszał głos Cohaagena.

— Przykro mi, Doug. Nie mogę pozwolić ci na to. Quaid odwrócił się i zobaczył Cohaagena trzymającego detonator. Dał ręką znak, żeby Quaid odszedł od ołtarza. Quaid zrobił to.

— Gdyby reakcja się rozpoczęła, jej fala dotarłaby do turbinytu na całej planecie — powiedział Cohaagen — i Mars roztopiłby się. Dlatego budowniczy nigdy nie włączyli reaktora.

— Nie wiesz, o czym mówisz — powiedział Quaid.

— A ty wiesz? — głos Cohaagena ociekał sarkazmem. — Wielki Doug Quaid, przybył żeby ocalić planetę. Przykro, że cię rozczarowałem, lecz za trzydzieści sekund wielki Doug Quaid będzie martwy. Wówczas wysadzę tu wszystko i zdążę do domu na owsiankę.

Cohaagen westchnął i smutno pokręcił głową. Spędził tak wiele czasu przygotowując Hausera, czyniąc z niego doskonałą maszynę na usługach Agencji. Dyskutowali o użyteczności władzy i terroru. Hauser był naturalnym talentem. Był najbliższym

przyjacielem jakiego kiedykolwiek miał Cohaagen. Brakowało mu go.

— Nie chciałem, żeby to się tak skończyło — powiedział. — Chciałem, żeby Hauser wrócił. Ale nie, ty musiałeś być Quaidem.

— Jestem Quaidem!

— Jesteś nikiem! — wrzasnął Cohaagen, nagle ogarnięty wściekłością na człowieka, który zajął miejsce jego przyjaciela. — Jesteś głupim programem kręcącym się na dwóch nogach. Wymyśliłem wszystko, co dotyczyło ciebie. sny, wspomnienia, wybujałe ambicje. Mogłeś być kimś — kpił. — Mogłeś być prawdziwy. Ale zamiast tego, wolałeś być snem.

Cohaagen trzymał detonator jedną ręką, drugą wyciągnął pistolet spod marynarki. Podniósł go. — A wszystkie sny się kończą. Odgłos wystrzału zabrzmiał w całym reaktorze. Cohaagen upadł na plecy trafiony w ramię. Obok windy stała Melina i naciskała spust. Quaid podbiegł i kopniakiem odrzucił pistolet spoza zasięgu ręki Cohaagena, zobaczył, że udało mu się jednak utrzymać detonator.

Nie, pomyślał Quaid, on blefuje. Cohaagen chciał tak samo żyć, jak wszyscy. Nie spowodowałby wybuchu, który by go zabił.

Cohaagen zobaczył zwątpienie w oczach Quaida. Uśmiechnął się złośliwie. I nacisnął detonator.

Potężna eksplozja wstrząsnęła pomieszczeniem, niszcząc prawie wszystko z wyjątkiem mandali, z której Quaid usunął ładunek.

Cohaagen nie blefował!

W kwarcowym dachu została wyrwana potężna dziura. Niesamowite ssanie wciągało wszystko do otworu. Przedmioty i ciała wkręcane w spiralę, szalejącego tornada.

Cohaagen przyglnął do kawałka reaktora. Melina upadła. Quaid wysany w kierunku dziury, czynił nadludzkie wysiłki machając rękoma pod wiatr, by dosięgnąć mandali. Nie uległa zniszczeniu i stanowiła klucz w tej sprawie, ciągle mieli szansę, jeśli była sprawna! Jaki stopień zniszczenia przetrzyma reaktor zanim włączy własny mechanizm destrukcji? Czy No'ui zaprogramowali w nim margines tolerancji na uszkodzenie spowodowane uderzeniem meteorytu? Może nie reagował od razu?

Quaid mógł tylko mieć taką nadzieję.

Chwycił linę naprężoną przez wiatr i podciągnął się. W kopule powstała dziura, ale dopóki wiał wiatr, mieli czym oddychać. Jeśli skończy się powietrze...

Cohaagen podniósł się i stanął między Quaidem a mandalą. Wiedział, że walka jeszcze nie została zakończona.

Quaid trzymając linę lewą ręką, prawą wyciągnął ku hieroglificznej dłoni.

— Nie rób tego! — Cohaagen przekrzykiwał ryk wiatru. — Wszystkich nas zabijesz!

Quaid zastanowił się. W głosie Cohaagena brzmiała żarliwość i pewność. Quaida

ogarnęły nagłe wątpliwości. Skąd mógł wiedzieć, że wspomnienia, którym Kuato pozwolił wypłynąć na powierzchnię były prawdziwe? A jeśli też je wszczepiono? Jeśli Coahaagen miał rację i aparatura Obcych zabije wszystkich ludzi na Marsie. I Quaid będzie za to odpowiedzialny.

Cohaagen pokuśtykał ku niemu, ciągle krzyżąc.

— Zabijesz wszystkich! Każdego mężczyznę i kobietę! Każde dziecko!

Wściekle walnął obcasem lewą rękę Quaida.

— Umrą, Quaid! Oni umrą!

Nagle umysł Quaida wypełniły twarze wszystkich tych mężczyzn, kobiet i dzieci, których widział w Venusville. Apatyczne twarze ludzi, którym odebrano godność. Ludzi, których używano i odrzucano jak śmieci, bezlitośnie, niemiłosiernie, lecz ten kto to robił bronił teraz ich życia. Szczególnie jedna twarz nie chciała go opuścić. zdeformowana twarz dziecka, które Quaid ujrzał przelotnie z taksówki Benny'ego. To wspomnienie nie zostało wszczepione. Było tak realne, jak ból w lewej ręce. Jaką przyszłość będzie miało to dziecko pod rządami takiego człowieka, jak Coahaagen?

Quaid znał odpowiedź. Widział ją wszędzie w Venusville.

Cohaagen kłamał — znowu. Coahaagen igrał z jego umysłem — znowu. Coahaagen próbował manipulować nim, jak manipulował innymi. Coahaagen powiedziałyby wszystko, zrobiłyby wszystko, żeby utrzymać się przy władzy. To on zniszczyłby każdego mężczyznę, każdą kobietę, każde dziecko na Marsie, gdyby pozwolono mu nadal rządzić.

Ale tym razem Quaid go zatrzyma.

— Bzdury! — krzyknął do Coahaagena, i przyłożył prawą dłoń do hieroglificznej dłoni.

Poczuł mrowienie. Jakiś głos mówił do jego umysłu. Zrobione.

Przerażający grzmot wstrząsnął centrum kontrolnym.

Zaczynało się!

Reszta aparatury musiała być na pokaz, lub przeznaczona do czegoś innego. Coahaagen zniszczył ją, lecz przypominało to wyłamanie gałki w radioodbiorniku. trudno było go wyregulować, ale części w jego wnętrzu pracowały normalnie.

Wszystkie systemy mechaniczne rozpoczęły pracę. Starożytna aparatura skrzypiała i jęczała. Jednocześnie setki prętów pojechały w dół. Coahaagen został wessany ku sufitowi i wyrzucony przez dziurę. Nie mógł już nic zrobić.

Pręty opadały z osłon do otworów w lodzie. Leżący głęboko pod nimi lodowiec zaczął się topić. Rozpoczął się samosterujący proces.

Quaid zrobił co do niego należało. Zacznie się proces chemiczny, fuzja jądrowa i będzie trwał tak długo, aż Mars będzie miał atmosferę, ciepło i wodę. Melina była wsysana coraz bliżej dziury. Quaid skorzystał z wiatru by przesunąć się ku niej i

próbował utrzymać ją na miejscu. Gdyby mogli wytrzymać aż ciśnienie się wyrówna — lecz wydawało się to niemożliwe. Wiedział, że ciśnienie spadnie, a wtedy umrą.

Wszystkie rupiecie z otchłani zostały wyniesione do góry. Ciała, karabiny, kawałki kretów, skały, piach. Umrą, gdy wszystko wyleci, a ciśnienie powietrza opadnie — lecz Mars i ludzie zostaną uratowani. Zginie, ale będzie trzymał Melinę w ramionach, jeśli musiał odejść, to był to najlepszy sposób.

Komorę wypełnił huragan niosący śmieci. Miał dziwny zapach, był ciepły i wilgotny.

Powietrze i para wodna z reaktora!

Powstawała nowa atmosfera!

Fala powietrza wyrzuciła kolejne śmieci. Benny... Richter wleczący za sobą kabel...

Melina została pchnięta ku dziurze. Quaid chwycił ją, lecz razem zostali rzućeni przez niezmordowany wiatr. Był teraz nawet silniejszy, gdyż fabryka No'ui nabierała mocy.

Quaid wiedział, że większość powietrza wydobywa się przez inne otwory, na powierzchni całej planety, lecz dopóki pozostanie tu ta dziura, huragan będzie trwał.

Pożeglowali w stronę kopuły, ciągle złączeni. Quaid wyciągnął rękę i próbował zablokować dziurę, lecz ciśnienie było zbyt mocne, silne. Zgięło go i wywiało razem z Meliną.

Na zewnątrz wiatr szybko ustawał. Quaid i Melina opadli na zbocze wulkanu, kilka jardów od ciała Coahaena. Wyglądało groteskowo, gałki oczne wyszły na wierzch, nabrzmiały język sterczał sztywno, w uszach pojawiła się krew.

Cohaagen zgładził niezliczoną liczbę ludzi w urządzeniu dekompresyjnym za takie drobiazgi jak stawianie oporu przy niesłusznym aresztowaniu, teraz poniósł podobną karę. Sprawiedliwości stało się zadość.

Powietrze wylatywało z płuc Quaida. Oboje z Meliną łączywie chwyтали oddechy.

Quaid mrużył oczy, próbując chronić je tak długo, jak to możliwe. Nawet w tej beznadziejnej sytuacji, chciał przedłużyć życie choć o kilka sekund!

Z kopuły wystrzelił olbrzymi gejzer pary wodnej i gazu, tworząc ogromną białą chmurę. Ogarnęło ich jej ciepło.

Quaid chwycił dłoń Meliny i ścisnął jej palce. Umrą razem, wiedząc, że Mars i ludzie będą żyć.

Góra zadrżała, gdy aparatura No'ui zintensyfikowała swoje działanie, wydobywał się z niej strumień wiatru. Ziemia została wywiana ze zbocza Góry Piramidy, odsłaniając ślady prawdziwej piramidy Obcych. Przez lata była ukryta, ale teraz nie stanowiła już tajemnicy.

Błony śluzowe Quaida i Meliny zaczęły krwawić. Chwycili się mocniej za ręce, wiedząc, że nadchodzi koniec.

Wówczas załała Ich rozszerzająca się chmura. Krople ciepłej wody rozbijały się o

ich ciała, kłaczkowate drobinki żeglowały w powietrzu. Quaid domyślił się, że były to uskrzydłone nasiona specjalnych roślin, które wyhodowali No'ui, niesione wiatrem, zapuszczają korzenie i pokryją wrogą glebę Marsa tworząc organiczne podłoże dla późniejszych ziemskich roślin. Zaczynało się upodobnianie Marsa do Ziemi, tworzenie z niego raj. Ucieszył się, że zobaczył to przed śmiercią.

I wtedy uświadomił sobie, że oddycha!

Melina oddychała z trudem stojąc obok niego. Żarłocznie wciągnęli więcej powietrza. Spojrzeli na siebie. Czy tak wyglądała druga strona śmierci, a ich duchy oddychały swobodnie?

Chmura przesunęła się, ale oni nadal mogli oddychać. Popatrzyli w górę.

Nad górami czerwone niebo Marsa zachodziło błękitem. Nowe powietrze rozchodziło się i wkrótce będą mogli z niego skorzystać wszyscy! To dlatego nie umarli, mimo że cierpieli, a teraz powietrze się nawarstwiało i oddychali prawie normalnie! Nie umrą mimo wszystko! Odzyskali nieco sił i usiedli. Uświadomili sobie, że powietrze jest chłodne. Dobywało się z góry ciepłe, lecz ulegało schłodzeniu. Padały na nich płatki śniegu. Ale grunt był ciepły, gdyż rozchodziła się pod nim fala gorąca wydzielana przez reaktor jądrowy.

Rozejrzeli się wystraszeni. Niebo było błękitne, lecz padał coraz gęstszy śnieg.

Chwycili się w objęcia, szukając ciepła, całując się.

Życie było cudowne!

Tę myśl odbiły okrzyki radości przebiegające przez Venusville.

Wszystkie kopuły na Marsie popękały, gdy reaktor wystrzelił energią.

Pozbawieni ochrony ludzie padli tam gdzie stali, umierając od dekompresji. Bogaci turyści wili się w spazmach na korytarzach Hiltona, a górnicy ciągle zajęci pracą w wielkich kopalniach rzucili narzędzia i runęli na kolana. Powstańcy niemal z wdzięcznością przyjęli rozpad kopuły. Śmierć w dekompresji była straszna, lecz przynajmniej nadejdzie szybki koniec i przestaną się dusić. W „Ostatniej Desce Ratunku” Tony miał jeszcze tylko tyle siły, by pogrozić słabą pięścią niebu i potem...

Zdarzył się cud. Paluszek poruszyła się na podłodze, i usiadła. Barman uniósł głowę złożoną na piersiach i odetchnął. Wziął głęboki oddech, potem drugi.

Powietrze! Nie powinno go tu być — wielkie wentylatory nie wznowiły pracy — lecz było! Łyknał powietrza w płuca i zaśmiał się głośno. Powietrze!

W jednej chwili wszyscy się śmiali. Wstali i zatańczyli z radości. Wybiegli na ulicę i przyłączyli się do innych — mężczyzn, kobiet, dzieci — razem tworząc szalonego węża wijącego się po całym rynku i ulicach Venusville. Powietrze!

Tyrania Coahagena została złamana!

Można było myśleć, iż wydarzył się cud.

Quaid i Melina spojrzeli pod nogi. Śnieg topił się na wilgotnej i gąbczastej ziemi.

Przez wysuszoną glebę przeciekała woda. Dojdzie do niewielkiej erozji — lecz rośliny No'ui już wylądowały. Szybko zapuszczą korzenie, przykrywając błoto, zmieniają je w próchniczą glebę. Czerwony Mars stanie się zielony!

Melina przytuliła się do Quaida.

— Więc, panie Quaid, mam nadzieję, że podobała się panu wycieczka na naszą cudowną planetę.

— „Podobała” to niewłaściwe słowo — odpowiedział ponuro.

Zdobyli prawo do przeprowadzki jako jednostki i jako ludzie, lecz zbyt dobrze pamiętał okropną cenę, jaką trzeba było za to zapłacić.

— Daj spokój. Czy nie widziałeś tutejszych osobliwości, nie zabiłeś złych facetów i nie uratowałeś planety? — uśmiechnęła się uwodzicielsko. — Zdobyłeś nawet dziewczynę ze swoich snów.

Droczyła się z nim, ale znajome słowa ochłodziły go.

— Pomyślałem o czymś okropnym — powiedział. — Co zrobimy jeśli to naprawdę jest tylko sen?

— Pocałuj mnie więc szybko — powiedziała poważnie. — Zanim się obudzisz.

Quaid przegnał koszmary. Wziął Melinę w ramiona i pocałował mocno.

Skończył śnić, rzeczywistość była znacznie lepsza.

SPIS TREŚCI

ROZDZIAŁ 1	
Mars	2
ROZDZIAŁ 2	
Lori	6
ROZDZIAŁ 3	
Sen	10
ROZDZIAŁ 4	
Praca	17
ROZDZIAŁ 5	
„Recall”	23
ROZDZIAŁ 6	
41 A	29
ROZDZIAŁ 7	
Problem	35
ROZDZIAŁ 8	
Harry	40
ROZDZIAŁ 9	
Żona	44
ROZDZIAŁ 10	
Metro	53
ROZDZIAŁ 11	
Pomoc	60
ROZDZIAŁ 12	
Johnny	70

ROZDZIAŁ 13	
Hauser	73
ROZDZIAŁ 14	
Statek	81
ROZDZIAŁ 15	
Kosmodrom	87
ROZDZIAŁ 16	
Venusville	92
ROZDZIAŁ 17	
Melina	101
ROZDZIAŁ 18	
Edgemar	108
ROZDZIAŁ 19	
Ucieczka	119
ROZDZIAŁ 20	
Kuato	126
ROZDZIAŁ 21	
Rewelacja	135
ROZDZIAŁ 22	
Zdrada	147
ROZDZIAŁ 23	
Pogorszenie	152
ROZDZIAŁ 24	
Przełom	158
ROZDZIAŁ 25	
Reaktor	165
ROZDZIAŁ 26	
Decyzja	172